

*Wstrząsająca historia kobiecej walki: o zdrowie ukochanego męża,  
jego prawo do położenia kresu cierpieniu, a na końcu – o siebie – MIRROR*

JILL ANDERSON  
DOTRZYMANA  
OBIETNICA



Prószyński i S-ka

JILL ANDERSON  
DOTRZYMANA  
OBIETNICA

Przełożył  
Arkadiusz Nakoniecznik

*Prószyński i S-ka*

Tytuł oryginału

**UNBROKEN TRUST**

Copyright © 2012 by Jill Anderson All rights reserved Projekt okładki

Prószyński Media

Zdjęcie na okładce © Rekha Garton/Trevillion Images Redaktor prowadzący  
Grażyna Smosna

Redakcja

Joanna Sobota

Korekta

Michał Załuska

Agnieszka Ujma

ISBN 978-83-8069-240-4

Warszawa 2016

Wydawca

Prószynski Media Sp. z o.o.

02-697 Warszawa, ul. Rzymowskiego 28

[www.proszynski.pl](http://www.proszynski.pl)

CZĘŚĆ I

*Moja rola polega wyłącznie na tym, by zwrócić waszą uwagę na pewne sprawy, i w ten sposób pomóc wam w podjęciu decyzji. Chciałbym także powiedzieć kilka słów o współczuciu i uprzedzeniach. W żadnej sprawie kryminalnej, rozstrzyganej na terenie Anglii lub Walii, albo gdziekolwiek indziej, nie ma na nie miejsca.*

*Oskarżona odmówiła składania zeznań. Miała, rzecz jasna, prawo zachować milczenie. Nie zmienia to jednak faktu, że jej zeznania mogłyby być wam bardzo pomocne, zwłaszcza przy próbie rozstrzygnięcia trzech kwestii:*

*Po pierwsze, dlaczego nie wezwała pomocy, kiedy Paul Anderson powiedział jej, że przedawkował leki? Po drugie, dlaczego jej wyjaśnienia składane w charakterze świadka tak bardzo różnią się od późniejszych ze śledztwa? Wreszcie, po trzecie, czym różniły się siedemnasty i osiemnasty lipca dwa tysiące trzeciego roku, kiedy nie wezwała fachowej pomocy medycznej, od tych wszystkich dni, kiedy to robiła?*

Z mowy końcowej prokuratora

**17 LIPCA 2003**

Dzień był rozbrzęczany. Niebo zmieniało barwy od indygo poprzez turkus i róż po głęboki granat, a potem zaczęło się robić coraz jaśniejsze. Wstałam z materaca, na którym sypiałam w salonie. On leżał na piętrze. Rozpoczęłam zwyczajny dzień. Umyłam się, zjadłam tosta, zaniiosłam mu filiżankę herbaty. Jęczał przez całą noc. Wiedziałam, że nie chciał tego robić, ale już od tak dawna był całkiem cicho. Nie mógł patrzeć na mnie ani ja na niego. Nie mogłam go przytulić, bo to by za bardzo bolało. Nie mogłam też spać przy nim, bo moje ruchy tylko wzmagaly jego ból. Poszłam do garderoby, zgarnęłam jakieś ciuchy i ubrałam się szybko; czekało mnie mnóstwo roboty. Wiedziałam, że mnie obserwuje.

– Dlaczego za mnie wyszłaś? – zapytał.

– Bo jesteś wspaniałym człowiekiem – odparłam.

Uśmiechnął się.

– Nie dałam ci zbyt wiele, prawda?

Wcześniej wiele razy odpowiadałam na to: „Dałam mi wszystko”. Tym razem nie powiedziałam nic. Słowo „miłość” padało między nami stanowczo zbyt często.

Poruszałam się powoli, miałam wrażenie, że oczy zapadły mi się do środka głowy. Patrzył, jak sprzątam w sypialni: zbieram czasopisma, opakowania po słodyczach rozsypane na szafce i podłodze, czekoladki i herbatniki. Ten dzień był jakiś inny; jakby słońce weszło nie w tym miejscu co zwykle albo nie weszło wcale. Zadrzałam. Poszłam do gabinetu i wzięłam się do pracy. Organizowałam tłumaczenia na dwie konferencje. Ranek minął szybko; dzwoniłam do tłumaczy i klientów, by się upewnić, że wszyscy wiedzą, gdzie mają się pojawić i czego oczekiwać. Około południa wróciłam do sypialni. Oglądał transmisję z francuskich wyścigów konnych, ale od razu wyłączył telewizor.

– Masz ochotę na lunch? – spytałam.

Pokręcił głową, a następnie poprosił, żebym mu podała wniosek o uznanie inwalidztwa. Mieliśmy go już od pół roku, ale wciąż był pusty.

– Wypełnijmy go – powiedział.

Poszłam po dokument, wróciłam i usiadłam na krawędzi łóżka. Strzepnęłam z kołdry okruszki, a on podciągnął się wyżej.

Formularz był okropny: sześćdziesiąt stron pytań dotyczących wszystkich ułomności, jakie mogą przytrafić się człowiekowi. Czytałam na głos każde pytanie, po czym wpisywałam ołówkiem odpowiedzi, których mi udziela. Przy końcu każdej strony okazywało się, że uzyskał mnóstwo punktów niemal w każdej dziedzinie, z wyjątkiem zdrowia psychicznego, które było bez zarzutu. Około

drugiej po południu formularz był wypełniony do połowy.

– Zmęczyłem się – oświadczył. – Dokończymy jutro.

Idąc do drzwi, powiedziałam mu, że tak jak mi poradzono, zaniósę dokument do Obywatelskiego Biura Doradczego w Ripon. Ten formularz był już nieaktualny, powiedziano mi więc, żeby wypełnić go tylko na próbę, a oni go sprawdzą i pomogą mi złożyć wniosek o drugi, aktualny. Skinął głową i opadł na poduszki.

– Masz ochotę na lunch?

Pokręcił głową.

Od tej papierkowej roboty zachciało mi się spać. Zapytałam go, czy miałby coś przeciwko temu, żebym ucięła sobie drzemkę.

– W żadnym razie. Odpocznij trochę.

Na palcach wyszłam z sypialni. Oboje słyszeliśmy brzęczenie w powietrzu. Było upalnie, chyba trzydzieści stopni w cieniu, siedemnastego lipca dwa tysiące trzeciego roku. Decyzję z pewnością podjął wcześniej. Właśnie spisałam czarno na białym cały jego ból. Z trudem mógł poruszyć wątłymi ramionami. Zdawał sobie sprawę, że już wkrótce to samo zacznie się dziać z jego nogami. Zdrzemnąłam się jakąś godzinę i wróciłam do niego. Wszystko toczyło się jak zawsze, co najwyżej był trochę bardziej milczący.

– Dobrze spałaś? – zapytał.

– Tak. Czuję się dużo lepiej.

Zaszła w nim jakaś zmiana. Wydawał się jakby... oddalony.

– Przeszkadzałoby ci, gdybym wzięła sobie wolne do końca dnia?

– Ani trochę – odparł z uśmiechem. – Rób, co uważasz za stosowne.

– Muszę kupić coś do jedzenia. Pojadę do Pateley Bridge, przejdę się trochę, a później zajrzę do tej nowej włoskiej restauracji i zamówię na wynos pizzę z serem i sosem pomidorowym.

Leżał w łóżku – taki mały, blady, z zaciśniętymi ustami.

– Na pewno nie chcesz, żebym zawiozła cię do szpitala?

– Na pewno – odparł stanowczo.

Wyszłam.

W połowie drogi do Pateley Bridge zatrzymałam się w miejscu, w którym wiele razy urządzaliśmy sobie postoje. Roztaczał się stamtąd rozległy widok. Przy dobrej pogodzie widać było katedrę w York, a za nią ogromne kominy elektrowni w pobliżu Selby. Tym razem jednak niczego nie widziałam; w głowie miałam mętlik, oczy przesłaniała mi mgła zmartwienia. Wiedzioną instynktem, zawróciłam do domu, do Paula. Zatrzymałam samochód przy tylnej werandzie, tam gdzie posadziłam pachnący groszek. Właśnie tego dnia zakwitł. Zerwałam kilka kwiatów, nalałam wody do małego szklanego wazonu i zaniósłam go do sypialni. Postawiłam na stoliku, opowiadając Paulowi o tym, co dzieje się w ogródku. Patrzył na mnie, ale był jakiś nieobecny.

- Tylko nie rób żadnych głupstw, dobrze?
- W porządku.
- Muszę pojechać na zakupy, lodówka jest pusta. Niedługo wrócę.
- Czy możesz mi najpierw przynieść trochę whisky?

Zeszłam na dół i wróciłam z niedawno kupioną butelką. Nie pił wiele, ale na wszelki wypadek zaopatrzyłam się w whisky sprzedawaną w Marks & Spencer pod ich własną marką. Dałam mu ją, choć było dopiero wczesne popołudnie – nigdy nie pijał o tej porze. Nie mam pojęcia, dlaczego to zrobiłam. Nie nalałam mu nawet do szklanki. Ujął butelkę w obie dłonie i pociągnął łyk. Odstawiłam ją na nocną szafkę, między lekarstwa, obok porcelanowej filiżanki z obrazkiem przedstawiającym leśne zwierzęta. Pił z niej w nocy wodę. Musiałam już iść. Zamierzałam uwinąć się najprędzej, jak to będzie możliwe. Nawet jeśli oznaczało to niebezpiecznie szybką jazdę.

Nie było mnie może godzinę. Dwadzieścia minut do Ripon, dwadzieścia minut w markecie Safeway, dwadzieścia z powrotem. Przywiozłam pizzę i pieczonego kurczaka na następny dzień, a także trochę innych rzeczy: mleko, chleb, masło, soki. Rzuciłam torby z zakupami na krzesło w kuchni i pobiegłam na górę po schodach. Siedział na brzegu łóżka odwrócony plecami do drzwi, z palcami zaciśniętymi na materacu.

- Co się stało? – zapytałam. – Wszystko w porządku?

Odwrócił się nieco w moją stronę.

- Wybacz. Tym razem wziąłem tyle, ile trzeba.

I opadł na wznak na łóżko. Na piersi miał kartkę. Wzięłam ją do ręki. „Wybacz, ale nie mogę już znieść tego bólu. Kocham Cię. Twój Ukochany Niedźwiedź Paul”.

Puste opakowania po lekach stały na szafce przy łóżku. Nie mogłam na nie spojrzeć, nie mogłam wziąć ich do ręki. Nie mogłam nawet zrobić kroku w tę stronę. Serce biło mi szybko. Miałam wrażenie, że wszystko się już rozstrzygnęło, że cokolwiek zrobię, jakkolwiek podejmę decyzję, to i tak niczego już nie zmieni. Żegnał się ze mną od miesięcy. Musiałam się z tym pogodzić. Uspokajałam go, przekonywałam, ale teraz już nie mogłam tego robić. Ogarnęła mnie rezygnacja i poczucie klęski. Miałam nadzieję, że jednak nie wziął wystarczająco dużo, że się obudzi; gdyby jednak to nie nastąpiło, powinnam uszanować jego decyzję. Była szósta wieczorem. Upał zelżał. Do sypialni sączyło się różowe światło. Upewniłam się, że leży wygodnie i śpi głęboko. Wciąż nie potrafiłam zmusić się do tego, by spojrzeć na opakowania po lekarstwach. Wzięłam do ręki butelkę z whisky; była prawie pełna, wypił najwyżej parę łyków. Zaniiosłam ją do kuchni i wstawiłam z powrotem do szafki.

Trudno mi powiedzieć, czy wieczór i noc minęły szybko czy powoli. Oglądałam ciemnopomarańczowy zachód słońca. W tę letnią noc wszystko



zdawało się świecić własnym blaskiem. Nie spałam ani trochę. Wysłałam do dwóch tłumaczy maile w związku z konferencją. Wysprzątałam żeliwny kominek, oczyściłam szczotkę i szufelkę. Co jakiś czas zaglądałam do sypialni, by pogłaskać go po twarzy i otrzeć mu pot z czoła. Kładłam się obok niego i mówiłam, tak jakby mógł mnie słyszeć. Narwałam w ogrodzie lawendy i włożyłam mu w dłonie. Leżał na wznak, pogrążony we śnie. Otuliłam go kocem; tak bardzo cierpiał z powodu nerek. Od lat nie spał tak głęboko. Głośno chrapał. Ten odgłos sprawiał mi wielką radość.

Noc była spokojna. Sowy milczały, podobnie jak owce na pobliskim pastwisku. Obudził się o drugiej. Spojrzał mi w oczy i poprosił, żeby mu włożyć słuchawkę do ucha. Nocami lubił słuchać świata na falach krótkich. Zaraz potem znowu zapadł w głęboki sen; może jednak nie wziął aż tak dużo, może rano wróci do mnie. Modliłam się, żeby tak było. Powtarzałam imię jego matki: „Isla, Isla, Isla”. Spał spokojnie, głęboko, mocno. Przez otwarte okna płynęło nocne powietrze o zapachu świeżej trawy, siana, kwiatów. Otworzyłam je jeszcze szerzej, żeby te zapachy otoczyły go ze wszystkich stron, żeby mógł napełnić nimi płuca.

Noc mijiała, długa i krótka zarazem. Kiedy się obok niego kładłam, nasłuchiwałam uderzeń serca. Około wpół do szóstej odsunęłam koc i patrzyłam, jak najpierw jego stopy, potem nogi, a wreszcie całe ciało przybierają upiorną, ciemnosiną barwę. Kiedyś czytałam o jakiejś kobiecie, która wybrała się na rejs jachtem, upiła się, zsiniała i umarła. Zdawałam sobie sprawę, że to ostatnia chwila na podjęcie decyzji. Wzięłam go za rękę; była bezwładna i spocona. W sypialni leżał jego telefon komórkowy, lecz nie miałam zamiaru z niego skorzystać. Zeszłam na dół; tam, na parapecie, stał telefon stacjonarny. Za oknami roztaczał się przepiękny widok: pola, drzewa, wzgórze i fioletowe wrzosowiska. Ponownie wzięłam się za sprzątanie. Kominek błyszczał jak nowy. Wiedziałam, że władze na pewno się tym zainteresują, to nie ulegało wątpliwości. Słyszałam jego oddech. Już nie chrapał, tylko łapał powietrze krótkimi, gwałtownymi łykami. Koniec nie mógł być odległy, zbliżało się wyzwolenie.

Wspięłam się na górę i ponownie położyłam obok niego. Obserwowałam, jak zmienia się światło w pokoju. Było czyste i głębokie. Zapowiadał się kolejny upalny dzień – osiemnasty lipca dwa tysiące trzeciego roku. Wciąż był ciepły. Patrzyłam na jego zadbane dłonie i stopy z zakrzywionymi paznokciami, których nie pozwalał mi obciąć. Poczułam pierwsze ukłucie smutku; słowa i śmiech Paula odeszły na zawsze, zupełnie jakby jego dusza uleciała. A ja leżałam obok pustego ciała, które kiedyś było nim. Jego umysł gasł, a ja na to pozwalałam. Uderzyło mnie okrucieństwo tej wyniszczającej choroby. Teraz oddychał powoli i płytko, każdy oddech bulgotał mu w piersi.

O wpół do dziesiątej otworzył oczy. Nie wiem, dlaczego zapamiętałam godzinę. Spojrzał na mnie, zakrztusił się, po raz ostatni wciągnął powietrze

i odszedł. Już nie żył. Na zewnątrz panował całkowity spokój. Kilka godzin wcześniej słyszałam, jak sąsiedzi wychodzą do pracy. Wcześniej wstawali i ciężko pracowali. Przechodzili obok naszego domu, nawołując psy, ale teraz byłam całkiem sama w naszym bezimiennym zaułku.

Chciałam zostać z nim kilka godzin, zanim zawiadomię władze. Byłam samolubna, ale tylko tyle mi z niego zostało. Ogarnęła mnie przedziwna euforia. Ból wreszcie zniknął z tego domu.

**18 LIPCA 2003**

Zawiadomiłam rodzinę i najbliższych przyjaciół. Przyjechał lekarz. Miał na sobie wymięty granatowy garnitur, do sandałów założył skarpetki. Spojrzał przeze mnie na wylot i szybko poszedł do sypialni. Ujął Paula za nadgarstek, sprawdził puls, osłuchał go stetoskopem, po czym z kamienną, ponurą twarzą zszedł do salonu. Poszłam za nim.

– Co się stało? – zapytał.

– Za bardzo cierpiał – odparłam, po czym opowiedziałam mu, co się wydarzyło.

– Przykro mi. – Usiadł w fotelu przy oknie, wziął słuchawkę do ręki i wybrał numer. – Chciałem zgłosić zgon w domu.

Jego słowa docierały do mnie bezładnie, niepowiązane ze sobą, niezrozumiałe. Wreszcie odłożył słuchawkę, wstał i spojrzał na mnie. Poszłam za nim do wyjścia, nie wiedząc, co powiedzieć. Był dobry dla Paula i tylko to się dla mnie liczyło. Kiedy znalazł się na ścieżce przed domem, spojrzał na mnie tak, jakby przyglądał mi się przez teleskop. Był zły, wiedziałam.

Usiadłam i czekałam – jak we śnie. Byłam zupełnie pusta w środku. Upał narastał, pocilałam się. Wróciłam do sypialni, żeby być z Paulem, ale niczego nie czułam.

Mniej więcej po godzinie zjawiała się policjantka. Zaprowadziłam ją do sypialni, sama zaczekałam na zewnątrz. Słyszałam, jak chodzi po pokoju. To było zupełnie surrealistyczne: mundur, radiowóz przed domem. Ta sama policjantka zjawiała się po drugiej próbie samobójczej, która w gruncie rzeczy była raczej wypadkiem. Wyszła po kilku minutach. Miała ciemne włosy i – jak mi się wydawało – wrażliwe szare oczy. Usiadłyśmy w salonie: ja na kanapie, ona w fotelu naprzeciwko. Przyglądała mi się badawczo. Oficjalnym tonem poprosiła o złożenie zeznania. Wtedy po raz pierwszy się rozplakałam. Notowała wszystko.

– Był jak ptak z połamanymi skrzydłami – powiedziałam.

Spojrzała na mnie.

– Muszę zadzwonić.

Wyszła przed dom.

Koniecznym chciałam go znowu zobaczyć, więc wróciłam na górę. Był taki nieruchomy. Poprawiłam stos czasopism, wzięłam jego filiżankę, zeszałam na dół, umyłam ją i wstawiłam do szafki. Policjantka weszła do kuchni. Stałam przy zlewozmywaku i gapiłam się w okno.

– Napije się pani herbaty?

Wkrótce potem przed dom zajechały trzy kolejne radiowozy, a do środka zwalił się tłum funkcjonariuszy. Mieli specjalne foliowe kombinezony

i rękawiczki. Stałam bez ruchu, oni zaś kręcili się po całym domu. Kilku poszło na górę do sypialni, tam gdzie leżał Paul, fotograf zrobił zdjęcia. Policjantka nie odstępowała mnie na krok. W pewnej chwili jeden z mundurowych zapytał mnie, co się stało z filiżanką.

– Z jaką filiżanką?

– Z tą, która stała na szafce.

– Umyłam ją.

Potęźnie zbudowany policjant przedstawił się jako detektyw, po czym oświadczył: – Muszę zadać pani kilka nieprzyjemnych pytań i spisać zeznania. Czy czuje się pani na siłach?

– Tak.

– Wyjdźmy stąd.

Poszedł pierwszy.

Usiedliśmy przy stole, który Paul zrobił dla mnie. Ogród był piękny, jak z obrazka. Ciężko pracowałam, by doprowadzić go do takiego stanu. Powiedziałam detektywowi prawdę, a on spisał moje zeznanie. Przyglądałam się jego dużym dłoniom o krótkich palcach, pokrytych nikotynowymi plamami. Pytania zadawał spokojnym, opanowanym tonem, ale ja i tak czułam się nieswojo. Na koniec kazał mi przeczytać moje zeznania. Nie mogłam. Poprosił więc, żebym podpisała się u dołu strony na potwierdzenie, że powiedziałam prawdę. Podpisałam.

Kiedy wróciliśmy do środka, właśnie znosili Paula po schodach w worku na zwłoki. Chciałam go dotknąć, ale nie mogłam. Odprowadziłam ich do bramy i patrzyłam, jak ładują jego ciało do ambulansu. Podszedł do mnie detektyw.

– Mieszkam w wiejskiej chacie krytej dachówką – powiedział.

Patrzyłam na niego, ale nie rozumiałam, o czym mówi. Byłam zupełnie otepiała. Odprowadziłam wzrokiem niknącą w oddali kolumnę wozów policyjnych. Był w niej też ambulans wiozący ciało Paula.

**19 LIPCA 2003**

Musiałam go zobaczyć. Uparłam się i w końcu matka zgodziła się mnie zawieźć. Pojechaliśmy do Harrogate, dwadzieścia pięć minut od nas, a potem kolejne czterdzieści pięć minut wąskimi, zatłoczonymi ulicami wzdłuż statecznych rzędów bliźniaczych wiktoriańskich domów z tarasami, do Szpitala Okręgowego. Uświadomiłam sobie, że nigdy nie byłam w innych, mniej eleganckich częściach miasta. Weszliśmy do tak dobrze znanego mi szpitala i zapytałśmy w recepcji o drogę do kostnicy. Kazano nam czekać. Odniosłam wrażenie, że kobieta w recepcji przygląda nam się z dziwną miną. Jakiś czas potem zjawiała się inna kobieta i poprowadziła nas szpitalnymi korytarzami. Zagadnęłam ją o coś, ale chyba nie chciała rozmawiać.

Weszliśmy do jakiegoś pokoju. Kobieta powiedziała, że Paula już przywieziono z kostnicy i że jest w sąsiednim pomieszczeniu. Weszliśmy tam, a ona została za otwartymi drzwiami. Miałam ochotę je zamknąć, ale tego nie zrobiłam. Jakiś instynkt kazał mi podejść do Paula. Leżał przykryty prześcieradłem na wąskim szpitalnym łóżku. Dotknęłam jego twarzy, zimnej jak z kamienia, i mówiłam do niego, a łzy płynęły mi po policzkach. W końcu odciągnęła mnie matka. Musiałyśmy już iść. Później, podczas rozprawy, prokurator przytoczył zeznania kobiety z kostnicy.

**20 LIPCA 2003**

Leżałam w łóżku, tuląc się do wszystkiego, co miało w sobie jego zapach: do poduszek, prześcieradła, jego szlafroka, kołnierza ortopedycznego, którego używał dla podtrzymania głowy. Nie chciałam wstać. Poprzedniej nocy przyjechali moja matka i brat, i zjedli pizzę z serem i sosem pomidorowym oraz pieczonego kurczaka. Słuchali mnie, a ja mówiłam przez łzy. Zastanawiałam się, czy kiedykolwiek przestanę płakać. Mojej matki już tu nie ma; wróciła opiekować się moim ojczymem, czterdzieści minut drogi stąd. Brat wrócił do domu w Manchesterze. Paru przyjaciół pytało, czy chcę, żeby zostali ze mną, ale wszyscy mieli albo rodziny, albo pracę. Nadchodziły maile, listy i kwiaty. Listy i kartki wieszalam na żyłce, jakby to były kartki z życzeniami świątecznymi. Napisałam wspomnienie o nim i rozesłałam je mailem. Sąsiedzi z naprzeciwka złożyli wyrazy współczucia i zapytali, czy mogą w czymś pomóc. Podziękowałam, chciałam zostać sama ze swoją rozpaczą. Myślałam o tym wszystkim tak długo, aż nadszedł świt, i wtedy zmusiłam się, by wstać z łóżka. W łazience przyjrzałam się swoim zaczerwienionym oczom. Zeszłam na dół, wypiałam kilka kaw, po czym przeniosłam się do gabinetu, gdzie przekładałam papiery na biurku. Powinnam wykonać kilka telefonów w sprawach służbowych. Powinnam zawiadomić współpracujących z nami tłumaczy, ale gdy tylko usłyszałam, że do skrzynki na drzwiach wrzucono pocztę, natychmiast zeszłam na parter.

Wśród wielu kopert znajdował się także mały pakiecik. Otworzyłam go natychmiast. Wewnątrz znajdowały się prezenty, które dziewięć dni temu wybrał dla mnie w sieci. Zostaliśmy laureatami jakiegoś konkursu, co go niezmiernie ucieszyło. Podekscytowany i szczęśliwy, przeszedł przez całą procedurę klikania i zaznaczania, żeby otrzymać nagrodę. Były nią dwie dowolne płyty kompaktowe.

– Co byś chciała? – zapytał.

– Sam wybierz – odparłam.

I oto dwudziestego lipca dotarła nasza nagroda: jedna płyta z hiszpańskim dla początkujących, druga z rodzinną encyklopedią zdrowia. To jedne z jego ostatnich podarunków. Później znajdowałam jeszcze inne rzeczy, które mi zostawił. Kiedy zaczęłam zagłębiać się w instrukcję obsługi nowego telefonu komórkowego, który kupiliśmy zaledwie kilka miesięcy temu, odkryłam, że wprowadził do pamięci telefonu numery dwóch moich najlepszych przyjaciółek. Jak udało mu się to zrobić? Pewnie kiedy spałam, bo przecież musiał skorzystać także z mojego starego aparatu. Jakim cudem wyłowił akurat te dwa numery?

Moja lista kontaktów była prawdziwym labiryntem, a raczej dżunglą, w której nawet ja sama często traciłam orientację. On jednak zdołał jakimś sposobem ustalić, który numer należy do której osoby, i przeniósł je do nowego telefonu.

Otworzyłam żółtą książkę telefoniczną i zaczęłam dzwonić do zakładów pogrzebowych w okolicy. Wszystkie głosy, które odzywały się po drugiej stronie, były współczujące i przyjazne, dyskretne i nienatarczywe. Najbardziej spodobał mi się zakład w Harrogate. Mogli przeprowadzić kremację za dwanaście dni. Ustaliłam szczegóły, po czym obdzwoiłam tych, których chciałam powiadomić o terminie ceremonii. Na koniec zatelefonowałam do biura koronera w Ripton, żeby zapytać, kiedy będą mogli wydać ciało. Sekretarka kazała mi chwilę poczekać, a potem w słuchawce odezwał się męski głos i ogarnął mnie niepokój.

**30 LIPCA 2003**

Rankiem, kiedy jeszcze byłam w sypialni, usłyszałam pukanie do drzwi. Wyrzłam przez okno i zobaczyłam detektywa, który mnie przesłuchiwał, w towarzystwie umundurowanego policjanta. Zeszłam na dół i wpuściłam ich do środka. Kiedy znaleźliśmy się w salonie, zaproponowali, żebym usiadła. Opadłam na jeden z foteli, ale oni nadal stali. Cała się trzęsłam. Detektyw Bosomworth odchrząknął, po czym poinformował mnie o prawie do zachowania milczenia. Zostałam aresztowana pod zarzutem pomocy w samobójstwie. Nie przestając drzeć na całym ciele, zapytałam, czy wsadzą mnie do celi. Powiedzieli, że nie. Kazali mi zgłosić się nazajutrz na posterunek policji w Harrogate.

– Miał dopiero czterdzieści trzy lata – powiedziałam. – Będę już zawsze musiała z tym żyć.

Jak tylko wyszli, zadzwoniłam do matki i powiedziałam jej, co się stało. Obiecała zasięgnąć porady. Odłożywszy słuchawkę, przez jakiś czas chodziłam bez celu po domu, nie wiedząc, co począć. Wreszcie matka oddzwoniła. Jakiś przyjaciel rodziny był kiedyś koronerem w Zachodnim Yorkshire. Zgodził się porozmawiać ze mną po południu. Matka przyjechała po mnie i pojechałyśmy przez wrzosowiska do jego domu na przedmieściach Skipton. To był bardzo wygodny dom na niewielkim osiedlu przylepionym do zbocza wzgórza. Wydawało się, że ma mnóstwo pięter, kiedy wspinaliśmy się po schodach, by wreszcie dotrzeć do pokoju, którego okna wychodziły na zadrzewioną dolinę. Tu chyba mieściło się jego biuro. Przyjął nas, siedząc za biurkiem wśród książek. Poznałam go na ślubie matki z moim ojczymem.

Wysłuchał w skupieniu mojej przerywanej płaczem relacji, po czym oświadczył, że podczas całej swojej kariery nie zetknął się z podobnym przypadkiem. Powiedział też, że ma przyjaciela, który cieszy się opinią jednego z najlepszych adwokatów w okolicy. Zadzwonił do niego, tamten zaś rzucił wszystko i zjawił się przed upływem pół godziny. Był wysoki, ciemnowłosy, i od razu mi się spodobał. W towarzystwie tych dwóch mężczyzn czułam się znacznie pewniej. Obaj słuchali tego, co miałam im do powiedzenia. Adwokat kazał mi niczym się nie martwić i obiecał, że nazajutrz rano będzie na mnie czekał na posterunku policji w Harrogate.



**31 LIPCA 2003**

Kolejny piękny letni dzień. W przejrzystym powietrzu wirowały motyle i pyłki roślin, jedne szukały nektaru, drugie – ziemi. Matka wiozła mnie do Harrogate przez wszystkie odcienie zieleni. Jak tylko dotarliśmy na posterunek, zostałam zaprowadzona przed szeroki kontuar, zza którego obserwowali mnie uważnie trzech funkcjonariusze. Jeden z nich poprosił mnie o klucze do domu, przeszukał moją torebkę i zwrócił mi ją. Po jeszcze kilku formalnościach znalazłam się w niewielkim, beżowym pokoju bez okien. Usiadłam przed biurkiem naprzeciwko detektywów Richardsona i Bosomwortha. Obok mnie siedział mój prawnik. Jego długie, szczupłe nogi prawie stykały się z moimi, a rękaw eleganckiej koszuli muskał moje ramię. Gdzieś w oddali mrucał klimatyzator. Detektyw Richardson mierzył mnie jastrzębim spojrzeniem. Wyobraziłam go sobie pochłaniającego obfite, tłuste śniadanie albo mnóstwo pączków. Mój mąż leżał w chłodni w Szpitalu Okręgowym w Harrogate. Był tam już od trzynastu dni. Rozluźniłam apaszkę na szyi, poprawiłam ją, przesunęłam, znowu rozluźniłam. To była moja ulubiona, w lamparcie cętki. Dostałam ją od teściowej. Detektyw Bosomworth był łagodny i spokojny. Podejrzewałam, że na śniadanie zjadł owsiankę albo grejpfruta bez cukru. Mój prawnik poruszał się nerwowo. Zastanawiałam się, czy cierpi na jakiś tik. Detektyw Richardson poinformował mnie o moich prawach, przypomniał, dlaczego znalazłam się w tym pomieszczeniu, a następnie znacznie łagodniejszym tonem zapytał, czy może mówić do mnie „Jill”. Przez jego twarz przemknął cień uśmiechu, ale szybko znikł. Czułam kropelki potu spływające po plecach, nylonowa bluzka kleiła mi się do ciała pod żakietem.

## CZEŚĆ II

**PRZESŁUCHANIA POLICYJNE, POSTERUNEK W HARROGATE.  
TAŚMA 1: 31 LIPCA 2003, 11.24–12.00**

**DETEKTYW RICHARDSON:** Ja cię aresztowałem, Jill. Mogę się w ten sposób do ciebie zwracać?

**JILL ANDERSON:** Tak.

**DETEKTYW RICHARDSON:** W porządku. No więc, zostałaś aresztowana pod zarzutem nieumyślnego samobójstwa... Przepraszam, nieumyślnego spowodowania śmierci oraz współudziału i pomocy w samobójstwie. Kiwasz głową, ale chciałbym od ciebie usłyszeć, czy rozumiesz, dlaczego zostałaś aresztowana.

**JILL ANDERSON:** Tak, rozumiem, dlaczego zostałam aresztowana.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Wiem, że to bardzo delikatna i przygnębiająca sprawa, ale ma związek ze śmiercią twojego męża, Paula Andersona.

**JILL ANDERSON:** Tak.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Możesz mi powiedzieć, jak długo byliście małżeństwem?

**JILL ANDERSON:** Osiem lat. Pobraliśmy się dwudziestego czwartego marca tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego piątego roku.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Nie musisz odpowiadać na to pytanie, ale czy to był udany związek?

**JILL ANDERSON:** Było cudownie.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Byliście szczęśliwi?

**JILL ANDERSON:** Bardzo.

**DETEKTYW RICHARDSON:** O ile wiem, Paul był chory.

**JILL ANDERSON:** Tak.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Czy chorował już wtedy, kiedy go poznałaś?

**JILL ANDERSON:** Nie. W sumie byliśmy razem dziesięć lat i dziesięć miesięcy.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Rozumiem.

**JILL ANDERSON:** Jeszcze dwa lata przed małżeństwem.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Czyli najpierw chodziliście ze sobą przez dwa lata?

**JILL ANDERSON:** Tak.



## WRZESIEN 1992

Miał niedużą owalną twarz i wrażliwe zielononiebieskie oczy. Właśnie ta wrażliwość sprawiła, że zwróciłam na niego uwagę. Siedzieliśmy całą grupą w barze U Henry'ego w Richmond-upon-Thames. Bar znajdował się nad samą rzeką, co ogromnie się wszystkim podobało. Był to duży lokal, wypełniony gośćmi. Ściągnęła mnie tam moja przyjaciółka Annabelle. Było to jedno z jej ulubionych miejsc na spotkania po pracy. Siedzieliśmy w piątkę przy stoliku: Paul, Annabelle, ja oraz dwaj przyjaciele Paula – John i Irańczyk Pervas. Annabelle przedstawiła mnie wszystkim. Mówiłam o tym, czy Rabin wpłynie w jakiś sposób na przebieg konfliktu izraelsko-palestyńskiego. Nikt mnie nie słuchał, z wyjątkiem Paula. Słuchał mnie i patrzył na mnie.

Wyszliśmy razem. Annabelle chciała, żebym poszła z nią, musiałam dokonać wyboru. Wybrałam jego.

Zaledwie dzień wcześniej, siedząc na swoim balkonie w Putney, powiedziałam sobie: „Już nigdy nie spotkam nikogo, z kim chciałabym spędzić życie”. Chodziłam na randki, ale od lat nie miałam nikogo na stałe. Akurat były moje urodziny. Dostałam kartki z życzeniami i prezenty, ale w domu nie czekał nikt, z kim mogłabym się tym podzielić. Dzięki temu tak dokładnie pamiętam, kiedy go poznałam: dzień po moich urodzinach.

Najpierw w ogóle nie chciałam wyjść z domu, a teraz spacerowałam z nim nad rzeką. Jak zwykle, pracowałam do wieczora. Byłam zatrudniona w Twickenham Film Studios jako sekretarz produkcji serialu *The Good Guys*. Pierwszy reżyser regularnie raczył nas opowieściami o tym, jak to kiedyś do miasta przyjechał Jack Nicholson i które bary wtedy odwiedzał. Podpisałam umowę na prawie pół roku, ale okazało się, że zwijamy się znacznie wcześniej. Zwolniono już siedem osób, ja jakoś przetrwałam, ale byłam zadowolona, że za trzy tygodnie będzie po wszystkim. Nosiłam okulary w grubych brązowych oprawkach i miałam przetłuszczone włosy, lecz mimo to Annabelle posadziła mnie obok niego.

– No chodź, chodź! – powtarzała uparcie.

– Ja chcę do domu! – jęknęłam.

– Przecież wczoraj były twoje urodziny, musimy to jakoś uczcić!

Wzruszyłam ramionami. Wyglądało na to, że nie ustąpi.

– W porządku – powiedziałam wreszcie. – Ale tylko na chwilę.

Uśmiechnęła się.

A teraz patrzyłam na niego i oboje się uśmiechaliśmy. Szliśmy w kierunku małego parkingu nad rzeką, na którym zostawiłam samochód. Woda migotała w półmroku ciepłego wrześniowego wieczoru. Powietrze było czyste, patrzyliśmy

na gwiazdy i mówiliśmy o sobie. Nie mogłam zostać dłużej. Odwiozłam go do domu, czego zwykle nie proponowałam obcym. Od pierwszego spotkania czułam się przy nim pewnie i bezpiecznie, a przeczucie podpowiadało mi, że nigdy się na nim nie zawiodę. Przeczucie nie kłamało: nigdy mnie nie zawiódł.

Nie potrzebował wiele czasu, żeby zdobyć moje serce. Zajrzeliśmy do sklepu spożywczego na rogu, gdzie gawędził z pochodzącym z Azji właścicielem, jakby byli przyjaciółmi. Potem zabrał mnie do domu, w którym mieszkał z dwójką młodych współlokatorów: kobietą i mężczyzną. Poczęstował mnie kawą w porcelanowej filiżance. Podał ją na spodeczku od innego kompletu, ale sam fakt, że o tym pomyślał, ogromnie mnie rozczulił. Poszliśmy do jego pokoju. Był pomalowany na brzoskwiniowo i skromnie urządzony. Regał ze starannie uporządkowanymi książkami, łóżko, telewizor, biurko, krzesła, obrazki na ścianach, i to wszystko. Pokój był wygodny i schludny. Zorganizowany człowiek, pomyślałam. Do tego obrazu nie pasowały tylko porzucone na podłodze bokserki. Zawstydzony, schował je szybko do szuflady, po czym wziął do ręki książkę leżącą na nocnym stoliku – mały, mocno sfatygowany słownik angielsko-duński. Przewracał kartki, czytając mi różne słowa. Był lingwistą, doskonale władał duńskim. Usiadłam na brzegu łóżka i słuchałam. Podobał mi się. Naprawdę. Mówił z delikatnym szkockim akcentem. Urodził się w Dumfries, a wychowywał w pobliskim Annan.

Minuty mijały, my siedzieliśmy coraz bliżej siebie, wreszcie się pocałowaliśmy. Pocałunki stawały się coraz bardziej namiętne, aż w końcu położyliśmy się na łóżku. Pod narzutą wyczułam jakieś wybrzuszenie. Spojrzałam na niego.

– Co to jest?

Zawstydzony, odwrócił wzrok. Wsunęłam rękę pod narzutę i wyjęłam małą pluszową sówkę. Była biało-pomarańczowa, w tartanowym berecie. Zaczerwienił się i uśmiechnął.

– To Pan Hu-hu...

Roześmiałam się i wstałam. Pocałował mnie w policzek, po czym wyszłam.

Nazajutrz wieczorem przyszedł do mnie. Przygotowałam kolację, znowu się całowaliśmy. Tydzień szybko minął. Codziennie rozmawialiśmy przez telefon; raz ja dzwoniłam do niego, raz on do mnie. To było takie naturalne. Łatwo się z nim rozmawiało. Kiedy nadszedł weekend, został u mnie na noc.

Dwa tygodnie później doszliśmy do wniosku, że chcemy być razem. Moje mieszkanie stanowiło oczywisty wybór, więc wyprowadził się ze swojego domu, a ja pomogłam mu przenieść się do mnie. Pamiętam, jak jego współlokatorzy z niedowierzaniem i rozbawieniem przyglądali się pakowaniu. To był szalony romans, ale byliśmy szczęśliwi i żyło mi się z nim bardzo dobrze. Wszystko doskonale do siebie pasowało, jak w układance. Jedyna zmiana, jakiej musiałam

dokonać w swoich przyzwyczajeniach, dotyczyła sposobu parzenia herbaty. Ja pochodziłam z Sheffield, on ze Szkocji; pokazał mi, jaką herbatę lubi, i na dobrą sprawę było to wszystko, co musieliśmy wiedzieć o swoich potrzebach i upodobaniach. Nie czytał mojego CV ani nie obchodził go mój wiek, choć byłam pięć lat starsza. Kochał mnie. Cała reszta po prostu wskoczyła na właściwe miejsca. Okazało się, że nie trzeba mu nawet przypominać o opuszczaniu deski klozetowej! Wychowywał się w dużej rodzinie, w licznym gronie krewnych i znajomych, nie był więc egoistą. Kiedy jadł czekoladę, zawsze zostawiał mi kilka kawałków.

*Ta sprawa, bez względu na to, jak ją oceniacie, jest tragedią. Tragedią Paula Andersona, który odebrał sobie życie. Tragedią jego rodziny, która pamiętała go z czasów, kiedy był zdrowy, a także tragedią Jill Anderson, która spędziła z nim dziesięć wspaniałych, cudownych lat i która go kochała.*

Z mowy końcowej obrońcy



TAŚMA 1: 31 LIPCA 2003, 11.24–12.00, C.D.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Kiedy więc zaczęła się jego choroba?

**JILL ANDERSON:** Złapał wirusa dwudziestego pierwszego marca tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego piątego roku. Trzy dni przed ślubem. Wielu ludzi, którzy mieli to samo co on, czyli zespół chronicznego zmęczenia, potrafi wskazać dokładną datę, kiedy zarazili się wirusem.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Jak ta choroba wpłynęła na niego? Jakie były objawy?

**JILL ANDERSON:** Poczul się nie najlepiej. Początkowo myśleliśmy, że to grypa albo coś z zatokami. W ogóle nie skojarzyliśmy tego z tym wirusem.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Kiedy przeprowadziliście się do Pateley Bridge?

**JILL ANDERSON:** W kwietniu tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego piątego. Założyliśmy firmę, która całkiem dobrze sobie radziła.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Rozumiem, że pracowaliście w domu?

**JILL ANDERSON:** Tak.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Czyli moglibyście to robić właściwie w dowolnym miejscu?

**JILL ANDERSON:** Tak.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Możesz mi powiedzieć, co to była za firma?

**JILL ANDERSON:** Biuro tłumaczeń. Mieliśmy mnóstwo zleceń. Szło nam fantastycznie, byliśmy bardzo szczęśliwi, ale potem zaczął chorować. Jeździliśmy na konsultacje, odwiedzaliśmy wielu lekarzy, ale nikt nie potrafił postawić diagnozy. Tymczasem postanowiliśmy przeprowadzić się z Pateley Bridge na wieś, bo mieliśmy nadzieję, że to okaże się korzystne dla jego zdrowia. Nie mogliśmy kupić niczego dużego, bo wciąż jeździliśmy do szpitali i lekarzy, a on coraz więcej czasu spędzał w łóżku. Pamiętam, jak jeden z lekarzy powiedział mu, że nic mu nie dolega, żeby wrócił do domu i wziął aspirynę, ale oczywiście nie miał racji.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Kiedy to było?

**JILL ANDERSON:** W tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym piątym, albo coś koło tego. Naprawdę źle się czuł. Był moim mężem. Stał się śmiertelnie blady i, żeby streścić wszystko w jednym zdaniu, nie mógł już pracować tak dobrze jak kiedyś, głównie ze względu na częste wizyty w szpitalach.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Oboje tam jeździliście?

**JILL ANDERSON:** W tym czasie czuł się trochę lepiej, więc jeździł sam.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Prowadził samochód?

**JILL ANDERSON:** Tak. Ja zostawałam w domu i zajmowałam się interesami, a on jeździł po szpitalach na konsultacje. Nikt nie potrafił mu pomóc. Podobnie jest z większością osób dotkniętych zespołem chronicznego zmęczenia. Wszyscy pacjenci cierpiący na te choroby – bo to w gruncie rzeczy kilka różnych chorób – doświadczają tego samego co my, to znaczy kompletnego lekceważenia ze strony lekarzy i bezradności współczesnej medycyny, ponieważ nie ma jeszcze ani badań, ani lekarstw, które pozwoliłyby walczyć z tą przypadłością. Nie dogadano się nawet co do samej nazwy, i dlatego raz mówi się o zespole chronicznego zmęczenia, kiedy indziej zaś o syndromie przewlekłego zmęczenia. Tak czy inaczej, każda z tych nazw obejmuje wiele schorzeń występujących u danej osoby w tym samym czasie.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Kiedy dokładnie zdiagnozowano u niego ten zespół?

**JILL ANDERSON:** Zrobił to jeden z konsultantów, ale nie jestem w stanie podać dokładnej daty. To był albo tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiąty siódmy, albo dziewięćdziesiąty ósmy. Pierwsze objawy pojawiły się w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym piątym.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Czyli możemy bezpiecznie przyjąć, że przed rokiem dwutysięcznym?

**JILL ANDERSON:** Tak. Postawienie diagnozy, która wydała mu się sensowna, czyli osłabienie po infekcji wirusowej, trwało około trzech lat. Dopiero wtedy mogliśmy ustalić pierwotne źródło choroby, czyli zarażenie wirusem w roku tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym piątym.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Wtedy, kiedy brał antybiotyk w związku z grypopodobnymi objawami?

**JILL ANDERSON:** Tak. Po tej infekcji już nigdy nie doszedł do siebie. Przez osiem lat byłam świadkiem powolnego, stopniowego pogarszania się stanu zdrowia kogoś, kto wcześniej był zupełnie zdrowy. W Londynie trzy razy w tygodniu grywaliśmy w tenisa. Robiliśmy wszystko, na co tylko mieliśmy ochotę.

LIPIEC 1993

Zgubiliśmy się w Surrey, gdzieś między Guildford, Horsham i Dorking. Zatrzymaliśmy samochód na jakiejś wiejskiej drodze. Paul wyjął mi mapę z rąk, odwrócił o sto osiemdziesiąt stopni, prześledził naszą trasę i ustalił, gdzie dokładnie jesteśmy. Droga była wąska, po obu stronach rosły drzewa i wysokie żywopłoty. Byliśmy gdzieś na pustkowiu między miastami, wsiami i błyskawicznie rozrastającymi się osiedlami, wśród łagodnych wzgórz Surrey.

– Chcesz jechać do Haslemere czy nie? – zapytał.

– Sama nie wiem... – Spojrzałam na zegarek. – Jest dziesięć po czwartej, trochę późno. Niedługo zaczną zamykać sklepy.

– Zresztą i tak już tam byliśmy.

– Możemy kiedy indziej poszukać jakichś ciekawych staroci.

Milczeliśmy przez jakiś czas.

– To twoja wina, że się zgubiliśmy – powiedział wreszcie. – Już dawno bylibyśmy na miejscu.

– Wcale nie.

– Tak.

Spojrzeliliśmy wokół. Żar lał się z nieba, samochód niemal skwierczał na słońcu.

– Nie wkurzaj się tak.

– Ty też.

Wysiadłam z samochodu. Wiał lekki wietrzyk. Miło było znaleźć się poza miastem i jego rozgrzanyymi betonowymi ścianami. Zaraz po drugiej stronie żywopłotu rozciągały się zielone pola. Wszystko było na miejscu, wszystko tak jak trzeba: pola, żywopłoty i drzewa były właśnie tam, a nie gdzie indziej, ponieważ przez stulecia właśnie tu, a nie gdzie indziej, orano, siano i wypasano bydło. Znajdowaliśmy się na lekkim wzniesieniu, wzrok sięgał daleko. Słońce kierowało się ku zachodowi. Osłoniłam oczy.

– Wsiadaj.

– W porządku.

Wróciłam do samochodu.

– W takim razie, dokąd chcesz jechać?

– Nie wiem.

Przez jakiś czas obojętnie gapiliśmy się na mapę. To był nasz wolny dzień po całym tygodniu pracy.

– Przejdźmy się – zaproponował. – Może znajdziemy jakąś ścieżkę?

Skinęłam głową. Paul ruszył powoli, wypatrując bocznej dróżki. Wkrótce ją

zauważyliśmy. Zaparkował na trawiastym poboczu.

Weszliśmy w zielony tunel o ścianach i sklepieniu utworzonych przez krzewy i drzewa. Przez płataninę gałęzi i liści widzieliśmy zarysy dwóch płotów biegnących równolegle do ścieżki. Roślinność tłumiała wszystkie dźwięki. Wydawało mi się, że przeszliśmy już wiele mil, kiedy nagle rozległ się najpierw stłumiony, a następnie szybko przybierający na sile tętent niezliczonych kopyt. Narastał błyskawicznie, ale my niczego nie widzieliśmy. Chwyciłam Paula za rękę. Chwilę potem płot po naszej prawej stronie zadrżał od uderzeń rozpędzonych ciał. Ukryłam się za Paulem.

– To jakieś stado – powiedział. – Wspaniale.

– Co ty wygadujesz? Przecież chcą nas zaatakować! Zwalą płot, stratuja nas!

– Spokojnie. Są tylko ciekawe. To pewnie jałówki.

– A może młode byki?

Nic nie widzieliśmy. Słyszeliśmy tylko parskanie i prychanie, nerwowe tupanie i ocieranie się o ogrodzenie. Kurczowo ścisnęłam rękę Paula. Ruszyliśmy dalej, a niewidzialne zwierzęta podążyły za nami.

– Wcale mi się to nie podoba – powiedziałam.

– Nic nam się nie stanie. Pewnie im się nudzi, chcą bronić swojego terytorium i sprawdzić, co się dzieje za płotem.

– Czy te chaszczki nigdy się nie skończą?

– Nie wiem.

I nagle się skończyły, podobnie jak drewniany płot, który ustąpił miejsca ogrodzeniu z drutu kolczastego. Przed nami roztaczał się widok na rozległe zbocze łagodnego wzniesienia. Cały teren pokrywało ogromne pastwisko, hen w dole widać było dachy South Downs. Po prawej stronie ujrzeliśmy duże stado. Zwierzęta przyglądały się nam wielkimi orzechowymi oczami, podobnymi do oczu łani. Było ich około sześćdziesięciu. Wszystkie wpatrywały się w nas intensywnie, z szeroko rozwartymi nozdrzami, jakbyśmy nadawali się do zjedzenia.

– Lamy! – powiedzieliśmy równocześnie.

– Farma lam...

– Są wspaniałe.

Podeszłam do ogrodzenia. Lamy były w rozmaitych kolorach, od bieli po różne odcienie brązu. Część białych miała czarne i brązowe łaty na głowach i tułowiach. Pyski przypominały jednocześnie jelenie i misie koala. Uszy wyglądały jak banany, tułowia były krępe, szyje długie, ogony niczym wielkie pompony, nogi krótkie, zakończone małymi raciczkami. Wyobraziłam je sobie w Ameryce Południowej, objuczone bagażami.

– Skąd one się tu wzięły? – zapytałam.

– Nie wiem. Może hodują je dla wełny, może dla mięsa...

– Sprawdzę w encyklopedii. Nie mogłabym zjeść czegoś takiego. Są takie

milutkie.

Jedna z lam szturchnęła mnie lekko pyskiem. Podrapałam ją za uszami, potem jeszcze jedną, i jeszcze. Pewna znajoma hodowała dwie lamy i wyprowadzała je na spacer na smyczy, ale nigdy nie widziałam tych zwierząt na własne oczy. Postanowiłam wypytać ją dokładniej następnym razem, kiedy do niej zadzwonię. Lamy tłoczyły się przy ogrodzeniu, usiłując do nas dosięgnąć. „Jeść”, zdawały się mówić, ale kiedy tylko stwierdziły, że nie stanowimy zagrożenia i nie możemy im niczego dać, straciły zainteresowanie nami i zaczęły znowu skubać trawę. Ruszyliśmy dalej.

## **TAŚMA 1: 31 LIPCA 2003, 11.24–12.00, C.D.**

**JILL ANDERSON:** Wszystko było zupełnie normalnie. Miewał zapalenie stawów, ale objawiało się to najwyżej raz albo dwa w roku. Od czasu do czasu chorował na coś, tak jak wszyscy. Nie powiedziałabym jednak, że cieszył się doskonałym zdrowiem. Moim zdaniem miał nie całkiem wydolny system odpornościowy, i zapewne dlatego na osiem lat został przykuty do łóżka i bezskutecznie walczył o powrót do zdrowia. Z powodu jego choroby zbankrutowaliśmy i wpadliśmy w długi. Pożyczaliśmy pieniądze, ale nie mieliśmy z czego ich oddać, bo nie mógł pracować.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Zgadza się.

**PRAWNIK:** Przepraszam, że się wtrącam, ale użyła pani sformułowania „zbankrutowaliśmy”. Czy to prawda?

**JILL ANDERSON:** Nie całkiem. Bankructwo dotyczyło tylko jego, Paula Andersona.

**DETEKTYW RICHARDSON:** W takim razie, w jaki sposób Paul wpadł w długi?

**JILL ANDERSON:** Zaciągaliśmy kredyty z myślą o tym, że spłacimy je z przyszłych zysków.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Co prawda nie znam się na prawie upadłościowym, ale wydaje mi się, że by móc ogłosić bankructwo, Paul musiał mieć jakieś własne pieniądze?

**JILL ANDERSON:** Pieniądze należały do firmy.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Czyli?

**JILL ANDERSON:** Banki chętnie udzielały nam kredytów w oparciu o nasze dotychczasowe wyniki finansowe. Wszystko wskazywało na to, że interes będzie się rozkręcał, ale właśnie wtedy stan jego zdrowia zaczął się pogarszać. Nie byliśmy w stanie spłacać zadłużenia, więc najrozsądniejszym wyjściem było ogłoszenie bankructwa. To było okropne, ale jedynym powodem była jego choroba.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Czyli od roku tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego piątego było już tylko coraz gorzej?

**JILL ANDERSON:** Stan zdrowia mojego męża stale się pogarszał. Zaczęłam czytać o jego dolegliwości i skontaktowałam się z ponad czterystu osobami cierpiącymi na zespół chronicznego zmęczenia. Zapisalam się do grupy wsparcia w Harrogate. Chciałam się dowiedzieć, o co tak naprawdę w tym chodzi.

Bez przerwy szperałam w Internecie.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Szukając informacji o tej chorobie?

**JILL ANDERSON:** Właśnie. Usiłowałam zrozumieć, dlaczego lekarze reagują w ten sposób, ponieważ ze wszystkich badań wynikało, że nic mu nie dolega.

**DETEKTYW RICHARDSON:** A ty uważałaś, że to powinno tym bardziej ich zaniepokoić?

**JILL ANDERSON:** Oboje byliśmy zdruzgotani, bo wiedzieliśmy, że jest chory. W niczym nie przypominał człowieka, za którego wyszłam za mąż.

MARZEC 2002

Lekarz przysłał pielęgniarkę, żeby pobrała Paulowi krew do analizy. W ten sposób chciał wyeliminować inne przyczyny choroby. Zastanawiałam się, co jeszcze zostało do wyeliminowania? Pielęgniarka była szczupła, ciemnowłosa, rzeczowa i miła. Spojrzała na niego ze współczuciem.

– Jak długo to trwa? – zapytała łagodnie.

– Od siedmiu lat, i jest coraz gorzej – odparł.

Wzięła go za ramię i zaczęła szukać miejsca do wkłucia.

– Chyba marnie żyje się w łóżku – zauważyła.

– Lekarze nie bardzo nam pomagają – powiedziałam.

– Traktują was jak pacjentów chorych na raka w latach pięćdziesiątych.

Nie zareagowaliśmy. Przylepiła mu plaster i wyszła. To wszystko było takie okrutne. Przygryzłam wargę i po raz setny zadałam mu to samo pytanie: – Dlaczego sam się nie wyleczysz? Na litość boską, przecież masz IQ 192!

Patrzył w sufit.

– A jak ci się wydaje, co cały czas próbuję robić?

Zdjęłam ubrania suszące się na grzejniku i zaczęłam je składać. Leżał bez ruchu, a potem złapał kubek stojący na nocnej szafce i rzucił go na podłogę. Kubek roztrzaskał się na kawałki. Bez słowa wzięłam się za sprzątanie.

– Potrzebowałbym wielomilionowego budżetu, laboratorium i zespołu uczonych. Prace trwałyby wiele lat...

Spojrzałam przez okno. Marzec. Był wietrzny dzień, żółte żonkile tuliły się do siebie, jakby szukając ciepła. Podeszłam do niego.

– Tylko nie umieraj, proszę. Na pewno w końcu ustalą, co ci jest.

W jego oczach dostrzegłam lęk. Kiedyś powiedział mi, że ma tak czuły słuch, że słyszy nawet, jak rośnie trawa. Nie mogłam sobie wyobrazić jego cierpienia, mogłam tylko być jego świadkiem. Dlaczego musiało trafić właśnie na niego? Dlaczego musiało trafić właśnie na nas?



## **TAŚMA 1: LIPIEC 2003, 11.24–12.00, C.D.**

**JILL ANDERSON:** Coraz bardziej tracił zdrowie, ale walczył. Wciąż miał dość sił, żeby wybrać się na przechadzkę, co zresztą uwielbiał. Najpierw pokonywaliśmy siedem kilometrów, potem sześć, potem cztery, potem tylko dwa, potem zaledwie sto metrów. W końcu nie mógł przejść nawet kilku kroków. Dwadzieścia pięć procent osób cierpiących na tę chorobę szybko niedołącznieje, i mój mąż należał do tej grupy. Zdaje się, że podstawową przyczyną jest niewydolność systemu odpornościowego. Wcześniej miewał zapalenia stawów i podobne schorzenia, więc wirus zapewne tą właśnie drogą wtargnął do jego organizmu i zniszczył jego system immunologiczny.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Ktoś ci to powiedział czy sama do tego doszłaś?

**JILL ANDERSON:** To moje wnioski. Mieliśmy mnóstwo konsultacji w Szpitalu Okręgowym w Harrogate, a ja w pewnej chwili zaczęłam chodzić z nim na wszystkie wizyty, bo potrzebowałam wsparcia. Uważałam, że powinnam tak robić, ponieważ takie postępowanie zaleca Stowarzyszenie Osób z Zespołem Chronicznego Zmęczenia.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Wydaje ci się, że Paul zadawał lekarzom właściwe pytania?

**JILL ANDERSON:** Tak sędzę. Choroba jest uznana przez Światową Organizację Zdrowia, ale brytyjska służba zdrowia zaczęła ją diagnozować dopiero w roku 2002, po tym jak rząd nakazał lekarzom, żeby traktowali ją poważnie.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Wygląda na to, że musieliście toczyć nieustającą walkę...

**JILL ANDERSON:** Dla niego z pewnością była to walka w sensie fizycznym.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Czy masz jakieś wykształcenie medyczne?

**JILL ANDERSON:** Nie. Nie chciałam nic wiedzieć o tej chorobie. Zgadaliśmy się, że nikomu nigdy nie życzylibyśmy czegoś takiego. Nigdy wcześniej nie widziałam takiego cierpienia i dopiero kiedy zaczęłam czytać na ten temat, uwierzyłam, że nie kłamie.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Rozumiem. Czyli nigdy nie miałaś żadnych wątpliwości?

**JILL ANDERSON:** Nigdy. Naturalnie zdarzały się różne sytuacje, bo przecież jestem tylko człowiekiem, kłóciliśmy się i sprzecaliśmy, ale w sumie byliśmy bardzo dobrym małżeństwem. Któryś z lekarzy wziął mnie na stronę i powiedział, że jego zdaniem on to wszystko zmyśla. Zadzwoiłam do Izby

Lekarskiej, a tam powiedzieli mi, że powinnam zrezygnować z usług tego lekarza. Poszłam do psychiatry i powtórzyłam mu wszystko, co mi mówił. W ubiegłym roku minister zdrowia dostał najwięcej listów w sprawie tej choroby.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Czy możemy wrócić do ostatnich dwunastu miesięcy?

**JILL ANDERSON:** Oczywiście. Zaczął wędkować, ale nie był w stanie zarzucić wędki.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Łowił na muchę?

**JILL ANDERSON:** Tak. Uwielbiał to, ale mógł wychodzić najwyżej raz na dziesięć dni. Chwiał się na nogach. Wozłam go nad rzekę. Wymiotował w samochodzie i nie mógł sam otworzyć drzwi.

## CZERWIEC 2002

– Niech to szlag! – wrzasnął i cisnął wędzisko na ziemię. Twarz miał czerwoną z wściekłości. – Niech to szlag trafi!

Był skrajnie zdenerwowany. Nie zwracał uwagi na innych wędkarzy. Spojrzał na mnie, a ja przewróciłam oczami i odwróciłam wzrok. Nie chciałam, by ktoś się domyślił, że jesteśmy razem. Chciałam się zdystansować. Czułam, że moja twarz płonie ze wstydu. Najchętniej znalazłabym się gdzieś daleko stąd. Kopnął wędkę i odszedł, zostawiając ją na brzegu.

Zaczął wędkować zaraz po swoich czterdziestych urodzinach. Spędził je w łóżku, ale kiedy tylko mógł wstać, natychmiast poszedł na ryby. Ojciec dał mu w prezencie wędkę dla początkujących. Pomysł wziął się stąd, że wielu lekarzy zaleca wędkowanie pacjentom po udarach, więc liczyliśmy na to, że jemu też to pomoże. Jeździłam z nim nad wodę. Spędzaliśmy razem cały dzień. Czytałam albo myślałam o niczym.

Najczęściej jeździliśmy nad Leighton. Jeden z miejscowych urządził w budce na parkingu sklepik, w którym sprzedawał muchy i kołowrotki. Zaprzyjaźniliśmy się z nim. Miejscami zbiornik ma trzydzieści metrów głębokości. Wykopano go na mokradłach ponad sto lat temu. Został zarybiony pstrągami tęczowymi i potokowymi. Niektóre ważyły nawet dziesięć kilogramów. Aż po horyzont ciągnęły się ponure, surowe wzgórza porośnięte krótką trawą. Po drugiej stronie niemal do brzegu dochodzi las, dalej ciągną się mokradła. Kilka lat temu jakiś zapalony wędrowiec natrafił tam na czyjeś kości. Po dokładnym badaniu okazało się, że przeleżały spokojnie od lat pięćdziesiątych. Nie udało się ustalić przyczyny śmierci nieszczęśnika, lecz najprawdopodobniej było nią wycieńczenie. Nie znaleziono przy nim żadnych dokumentów, w związku z czym tożsamość denata, jak również powód, dla którego tam się znalazł, pozostały zagadką.

Większość wędkarzy to mieszkańcy okolic Newcastle. Spodobała nam się spokojna, przyjazna atmosfera. Paul wyszukiwał w czasopiśmie wędkarskich informacje o tym, jakie muchy należy stosować w jakich porach roku. Odwiedziliśmy sklep wędkarski w Ripon i poznaliśmy się z jego właścicielem, Rolandem, i jego kolegami. Dużo wędkowali w okolicy; to oni powiedzieli nam o Leighton oraz innych miejscach wartych odwiedzenia. Od tej pory często do nich zaglądaliśmy. Polubiliśmy koleżeństwo panujące między wędkarzami. Uciekaliśmy tam na popołudnie, niekiedy zostawialiśmy do wieczora. Teraz jednak Paul nie był już w stanie zarzucić wędki. Przenikliwy ból uniemożliwiał mu podniesienie ręki. Usiadł obok mnie i oboje wbiliśmy wzrok w leżącą na ziemi wędkę. Pozostali wędkarze wciąż przyglądali nam się z ciekawością, czekając na kolejny atak. Nie

mogłam mieć im tego za złe. Liczyli na trochę rozrywki w ten spokojny czerwcowy dzień. Wiedział, że jest mi wstyd.

– Idziemy? – zapytałam.

Spojrzał jeszcze raz na wodę i na wędkę, po czym wstał, podniósł ją i jeszcze raz spróbował zarzucić. Tym razem przynęta wpadła do wody. Wędkarze przestali się nami interesować, a ja odetchnęłam głęboko.

Tego dnia nic nie złowiliśmy. Paul nie mógł zarzucić przynęty wystarczająco daleko. W końcu spakowaliśmy sprzęt, a w drodze powrotnej do samochodu jak zwykle słuchaliśmy dolatujących do nas strzępków rozmów. Jak zawsze dotyczyły obfitości połowów. W pewnej chwili podszedł do nas postawny mężczyzna z czterema pstrągami w rękach.

– Złowiłem za dużo, a mogę zabrać tylko dwa. Wy nie macie żadnego. Proszę.

Podał nam dwa pstrągi, a my je przyjęliśmy.

To była jedna z naszych ostatnich wypraw wędkarskich. Zamiast jeździć na ryby, Paul zamówił z katalogu drut, pióra, szpagat, błyszczący materiał i robił muchy, leżąc w łóżku. Powtarzał, że z pewnością wróci jeszcze nad wodę.

– Oczywiście – odpowiadałam.

Chętnie oglądał w telewizji satelitarnej program o wędkowaniu w różnych zakątkach świata. Szczególnie zainteresowali go australijscy wędkarze oraz ryby, jakie występują w tamtych wodach. Lubił też brytyjski program, w którym występowali dwaj wędkarze, którzy w trakcie każdej wyprawy wypijali jedną lub dwie butelki czerwonego wina.

*Postanowili wycofać się z wyścigu szczurów i zamieszkać w wiejskim domu z dala od ludzi, by spokojnie pracować. Pracowali razem. Prowadzili wspólne interesy: ona była administratorem, on tłumaczem.*

*Można przyjąć, że stopniowo coraz bardziej zamykali się w świecie, którego środek stanowiły jego choroba i cierpienie. Nie wychodzili z domu, nie przyjmowali przyjaciół, nie wpadali na drinka do pubu, nie odwiedzali klubu, nie chodzili do kina, czy gdziekolwiek. W pewnym sensie był to niezwykle silny i lojalny związek. Tego życzył sobie Paul, a Jill zastosowała się do jego pragnienia. Zerwali nawet kontakty z rodziną i nie można wykluczyć, iż to właśnie stało się przyczyną tragedii.*

Z mowy końcowej obrońcy

**TAŚMA 1: 31 LIPCA 2003, 11.24–12.00, C.D.**

**DETEKTYW RICHARDSON:** Kiedy więc to się skończyło? Kiedy ostatni raz był na rybach?

**JILL ANDERSON:** Kiedy nie mógł już zarzucać wędki.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Oczywiście. Potrafisz określić, kiedy to było?

**JILL ANDERSON:** Jakies trzynaście miesięcy temu. Mniej więcej wtedy pojawiły się problemy z górnym odcinkiem kręgosłupa i z powodu bólu zaczął miewać myśli samobójcze. Wcale mu się nie dziwię. Po pierwszej próbie samobójczej odwiozłam go do Szpitala Okręgowego w Harrogate. Zdiagnozowano wtedy porażenie barku. Jeśli chodzi o stan umysłu, to na co dzień był zadowolony i pozytywnie nastawiony do życia, ale zdarzały się chwile, kiedy ból stawał się nie do zniesienia, i wtedy nawiedzały go myśli samobójcze.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Miał dosyć.

**JILL ANDERSON:** Tak właśnie mówili lekarze, a potem ratowali go, wracałam z nim do domu, a ból powracał.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Jak czuł się potem? Ożywił się trochę?

**JILL ANDERSON:** Nie, ponieważ jego stan stale się pogarszał, a system odpornościowy działał coraz gorzej. Teraz mam czas spokojnie się nad tym zastanowić, bo wtedy, kiedy przez osiem lat opiekowałam się nim, nie potrafiłam ocenić powagi sytuacji. Wciąż wynajdywał sobie nowe zajęcia. Uwielbiał ogrodnictwo. Uprawialiśmy ogród przy pierwszym domu, Rose Cottage, i oboje bardzo to lubiliśmy. Wtedy był jeszcze wystarczająco silny, żeby się tym zajmować, ale po przeprowadzce do Westowe rzadko wychodził do ogrodu, co świadczyło o tym, jak bardzo był chory.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Zdaje się, że nawet sam zrobił stół?

**JILL ANDERSON:** Zaraz po przeprowadzce.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Do Westowe?

## PAŹDZIERNIK 1999

Popytaliśmy miejscowych i znaleźliśmy w pobliżu tartak. Jechało się do niego błotnistą drogą przez sosnowy las. Żałowaliśmy, że nie mamy terenówki, kiedy nasz kupiony z drugiej ręki vauxhall podskakiwał na wybojach. Wyszliśmy i rozejrzeliśmy się dokoła. Znajdowaliśmy się na podwórku starej farmy. Wszędzie piętrzyły się stosy drewna, ziemia była zasłana wiórami i trocinami. Z wnętrza dobiegał jazgot pił. W pobliżu kręciło się około dziesięciu mężczyzn: układali deski, jeździli wózkami widłowymi albo stali i palili papierosy. Powietrze było przesycone zmysłowym zapachem świeżo pociętego drewna. Przywitał nas młody człowiek o solidnej posturze, z czerwonym nosem, rudymi włosami i błękitnymi oczami. Uśmiechnął się, prezentując krzywe zęby. Tak jak wszyscy, miał na sobie sfatygowane robocze ubranie: powyciągany wełniany sweter, podarte spodnie z nogawkami wepchniętymi w cholewy wysokich butów, rękawice z poobcinanymi palcami.

– Chcemy zrobić stół – powiedział Paul.

Przeprowadziliśmy się do nowego wiejskiego domu, zwanego Westowe, i Paul z dnia na dzień odzyskał siły. Nabral energii, twarz ponownie mu się zaróżowiła, cały pierwszy wieczór przetańczyliśmy w salonie. Poustawiał komputery w nowym biurze, zrobił półki do spiżarni na parterze, zachwycał się kafłowym piecem w kuchni. Był bardzo stary i można było w nim palić zarówno drewnem, jak i węglem. Natychmiast go przetestowałam: w całej chacie słychać było bulgotanie, kiedy w rurach zaczęła krążyć gorąca woda. Bardzo szybko zrobiło się tak gorąco, że musieliśmy pootwierać okna na oścież.

Paul wręczył młodemu człowiekowi kartkę z liczbą i wymiarami desek. Przez cały poprzedni wieczór obliczał, ile i jakich kawałków drewna będzie potrzebował do zrobienia stołu i ławek, na których będzie można siadywać w letnie wieczory. Zaraz za tylną werandą znajdował się mały skrawek ubitej ziemi. Na werandzie, która miała pełnić także funkcję pracowni, przez kolejne lata trzymaliśmy rozsady pomidorów.

Młody człowiek zniknął z kartką w jednym z budynków. Nie bardzo wiedzieliśmy, co ze sobą robić, więc przechadzaliśmy się po podwórzu, zagadując pracujących tam ludzi. Paul podniósł deskę z jednego ze stosów. Jakiś wystraszony owad pospiesznie poszukał schronienia pod dolną warstwą drewna.

Wróciliśmy do domu z deskami wystającymi przez okna samochodu. Później pomagałam Paulowi wymierzyć je starannie w garażu, zaznaczyć ołówkiem miejsca pod otwory i wywiercić je elektryczną wiertarką. Powoli kończył się dzień, blask dogasał nad horyzontem. Włączyłam światło w garażu. Paul wiercił i wbijał

gwoździe do późnej nocy, ja zaś robiłam wszystko, co mi kazał, i przynosiłam mu napoje. Pracował także nazajutrz, a trzeciego dnia ustawiliśmy w wydeptanym miejscu stół i dwie ławki, i długo siedzieliśmy, nic nie robiąc. Były całkowicie stabilne, wszystkie deski doskonale dopasowane. Podaliśmy sobie ręce nad stołem i się uśmiechnęliśmy.



## **TAŚMA 1: 31 LIPCA 2003, 11.24–12.00, C.D.**

**JILL ANDERSON:** Na kilka dni jakby odzyskał zdrowie, i to było niesamowite. Naturalnie, to trwało tylko jakiś czas. Nie pamiętam medycznego określenia.

**PRAWNIK:** Remisja.

**JILL ANDERSON:** Remisja. Przez chwilę myśleliśmy, że będzie lepiej, że kryzys minął, ale tak się nie stało i jego stan znowu zaczął się pogarszać.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Czy możesz powiedzieć, co się działo po jego powrocie do domu?

**JILL ANDERSON:** Bardzo cierpiał, zdiagnozowano u niego porażenie nerwu barkowego. Była też dobra wiadomość: lekarz powiedział, że to powinno się cofnąć. O ile wiem, to bardzo bolesna dolegliwość. Dokuczał mu także kark; miał o to do siebie ogromne pretensje. „Nie możesz siebie winić”, tłumaczyłam mu, ale to nie pomagało. Powiedział, że któreś nocy zszedł na dół, niepotrzebnie odwrócił głowę i wtedy to się zaczęło. Stwierdzono u niego osteoporozę. To wszystko jest w dokumentacji medycznej. W końcu to była kombinacja wielu chorób. Wcześniej poruszał się przynajmniej po domu, więc było trochę lepiej. Zdawał sobie sprawę z tego, że musi ćwiczyć mięśnie. Zawsze chciał mieć sprawne ciało.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Kiedy to było?

**JILL ANDERSON:** Jakies osiem miesięcy temu.

**DETEKTYW RICHARDSON:** I jakie dało rezultaty?

**JILL ANDERSON:** Tragiczne, dla nas obojga. Rozpaczliwie zależało nam na uzyskaniu poprawy, bo skarżył się już nie tylko na bark i kark, ale i na mnóstwo innych dolegliwości. Najpierw miał zespół jelita drażliwego, który ustąpił, potem był ten bark, a równocześnie dokuczały mu inne części ciała, których ból towarzyszył mu we wszystkich stadiach choroby.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Jakie skutki spowodowało porażenie nerwu barkowego? Jak wpłynęło na jego możliwości ruchowe?

**JILL ANDERSON:** Poruszał się coraz mniej i coraz rzadziej. Za to coraz więcej czytał i oglądał telewizję.

**DETEKTYW RICHARDSON:** A więc jednak poruszał się po domu?

**JILL ANDERSON:** Tak.

**DETEKTYW RICHARDSON:** O ile wiem, mniej więcej wtedy podjął drugą próbę samobójczą?

**JILL ANDERSON:** Tak. W ciągu ostatniego roku jego stan bardzo się pogorszył. Do tej pory, mimo że był przykuty do łóżka, bardzo interesował się ptakami. Czytał książki o nich i dzielił się ze mną zdobytymi informacjami.

Dowiedziałam się o ptakach chyba wszystkiego: jak się nazywają, gdzie gniazdują... Jednak tego lata po raz pierwszy prawie wcale się nimi nie zainteresowałam.

## KWIECIEŃ 2003

Zauważyłam, że czegoś nasłuchuje. Powiedział, że spod okna w sypialni dobiega skrzypiący, to narastający, to znów opadający odgłos i że takie właśnie dźwięki wydają pisklęta czekające na karmienie. Z trudem wstał i podszedł do okna. Wychyliliśmy się i bardzo szybko zauważyliśmy sikorę modrą, a chwilę potem usłyszeliśmy podekscytowane piski, kiedy wylądowała z pokarmem. Najprawdopodobniej uwiła gniazdo w jakimś pęknięciu lub załomie ściany. Wysłał mnie na dół, a ja, kierując się odgłosami, zlokalizowałam gniazdo w murze. Szybko wróciłam na górę i zameldowałam, co widziałam: cztery albo pięć puchatych kuleczek z maleńkimi dzióbkami i w pełni rozwiniętymi pazurkami.

Wieki czekałam, aż uda mu się usiąść. Podnosił się niemiłosiernie powoli. Najpierw opuścił stopy na podłogę. Były zakrzywione i podkurczone jak ptasie szpony. Mógł poruszać tylko przedramionami, górna część ramion była zupełnie bezwładna. Prawie nie był w stanie obracać tułowia.

W roku tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym dziewiątym zamierzał umieścić kamerę w budce lęgowej. Zawiesił budkę na drzewie w taki sposób, żeby było ją widać z okna sypialni. Planował pociągnąć kable do telewizora, żebyśmy mogli obserwować cały proces budowania gniazda, zalotów, wysiadywania jaj, wykluwania się piskląt, dorastania, a wreszcie nauki i usamodzielnienia się młodych ptaków. Nie zdołał tego zrobić, ale kiedy oglądaliśmy filmy dokumentalne o zwierzętach, często wracał do tego pomysłu.

Teraz był tak blady, właściwie szary, że starałam się na niego nie patrzeć. Zeszliśmy na dół; ja szybko, on bardzo powoli, za mną. Zaczekałam u dołu schodów. Minął mnie, ocierając się o mnie. Wyszliśmy na zewnątrz. Podeszłam do gniazda i znowu na niego czekałam. Dotarł, powłócząc nogami, i powiedział: „No, wstawać, maluchy”. Pisklęta natychmiast zareagowały. Popiskiwały i rozpychały się, starając się zwrócić naszą uwagę. Z przodu były dwa większe, z tyłu trzy mniejsze i chudsze. Wróciliśmy do domu. Wydawało się, że wizyta u piskląt trwała bardzo długo. Starałam się zachować cierpliwość. Prychnął, mijając mnie, choć w gruncie rzeczy nie było to prychnięcie tylko jakby westchnienie, albo nawet tylko skrzywienie. Dowłókł się do salonu, opadł na fotel przy oknie i patrzył na podwórze. Widziałam, że siadanie przysparza mu mnóstwo bólu.

– Posiałam dla ciebie mak w ogrodzie – powiedziałam, żeby powiedzieć cokolwiek. – Niedługo powinien wzejść.

– Dziękuję. – Przez jakiś czas w milczeniu patrzył w okno, po czym, nie odwracając wzroku, powiedział: – Koniec ze mną.

Wstałam i podeszłam do niego. Uklęłam, objęłam jego kościste kolano,

wstałam. Dźwignął się z fotela i przechodząc obok, leciutko mnie dotknął.

*A teraz list pożegnalny, który znaleziono w domu. Nie ma nic wspólnego z tą próbą, dotyczy poprzedniej.*

*Z mowy końcowej obrońcy Do mojej drogiej Jill.*

*Kocham Cię bardziej, niż potrafię to wyrazić. Tak mi przykro. Nie wytrzymuję już bólu. Dziękuję za wszystko, co dla mnie zrobiłaś. Proszę, postaraj się przeżyć resztę życia najlepiej jak potrafisz. Zawsze będę Cię kochał, Twój Paul.*

*List pożegnalny Paula*

*napisany przed pierwszą próbą samobójczą.*

**Taśma 1: 31 lipca 2003, 11.24–12.00, c.d.**

**DETEKTYW RICHARDSON:** Jesteśmy tu już pół godziny, chciałbym teraz skoncentrować się na jego próbie samobójczej. Nie na tej, w wyniku której umarł, ale poprzedniej. To z pewnością będzie dla ciebie bardzo przykre.

**JILL ANDERSON:** Zaczęłam sypiać na parterze, bo tak bardzo cierpiał, i któreś nocy usłyszałam, jak hałasuje na górze... Nie, to nie było tak. Przepraszam.

**DETEKTYW RICHARDSON:** W porządku, nie musisz się spieszyć.

**JILL ANDERSON:** Między nami wciąż wszystko układało się cudownie. Nadal spałam na piętrze. Tę drugą próbę samobójczą zapamiętałam tak dobrze przede wszystkim dlatego, że to był całkiem zwyczajny wieczór. Rozmawialiśmy jak zwykle, oglądaliśmy film, wszystko tak jak robią małżeństwa przed pocałunkiem na dobranoc. Obudziłam się około trzeciej albo czwartej nad ranem. Zataczał się po sypialni, objijając się o szafy. Wpadłam w panikę. „Co się z tobą dzieje?”, pytałam, ale on nie odpowiadał. Był kompletnie zamroczony, więc natychmiast wezwałam karetkę, która zawiozła go do szpitala. Zabrali wszystkie lekarstwa z szafki nocnej, podłączyli go do aparatury, a potem zbadali mu krew i stwierdzili, że wziął za dużo lekarstw, a szczególnie zoplikonu.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Czy to paracetamol?

**JILL ANDERSON:** Ani Paul, ani ja nie wiedzieliśmy, czy tej nocy brał akurat paracetamol, bo bardzo cierpiał i łykał różne leki. Na wszelki wypadek zatrzymali go w szpitalu, ale nie wziął tego aż tyle, żeby groziło mu coś złego.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Czy zostawił list?

**JILL ANDERSON:** Wtedy nie. To był okres, kiedy podejmował kolejne próby samobójcze, tym razem nie wezwałam pomocy tylko sama go uratowałam, tłumacząc, że powinien żyć. Kiedy przyjechaliśmy do Szpitala Okręgowego w Harrogate, przyjął go ten sam lekarz co tamtej nocy, kiedy próbował popełnić samobójstwo. Znowu podłączyli go do aparatury, a on po prostu wszystko odespał. Wróciłam na krótko do domu, po czym przyjechałam, żeby go zabrać. Leżał w łóżku i czekał na mnie, i powiedział po prostu: „Przepraszam”. A ja powiedziałam: „Wiem, że cierpisz, nie przejmuj się”, i przywiozłam go z powrotem do domu.

LUTY 2003

Potrzebował iść do łazienki. Powoli zsunął nogi z łóżka. Jakoś zdołał dźwignąć się do pozycji siedzącej i opuścił stopy na podłogę. Spoczęły na sztucznym ciemnozielonym dywanie w różowe kwiaty. Znalazł kapcie. Przez minione osiem lat miał ich wiele par. Te były granatowe, wyściełane futerkiem, i choć miały dopiero pół roku, wyglądały na znacznie starsze.

Sypiał z brzegu łóżka, jak najdalej od drzwi do pokoju. Prawa część należała do mnie. Po jego stronie było okno wychodzące na pole właściciela. Za drogą teren opadał. Wydawało się, że ziemia, na której stoi nasz dom, jest płaska, ale w rzeczywistości było to łagodne zbocze. Wokół pól ciągnęły się pofalowane wzgórza, w oddali zaś majaczyły wrzosowiska północnego Yorkshire. Przy dobrej pogodzie można było dostrzec Białego Konia wyrzeźbionego na stromym zboczu Sutton Bank. W połowie dziewiętnastego wieku wymyślił go miejscowy nauczyciel; kazał uczniom najpierw wykonać obrys sylwetki, a potem wypełnić go białymi kamyczkami. Nasze pole miało powierzchnię trzech akrów, dom stał w jego najwyższym punkcie i był ogrodzony. Z tyłu, po drugiej stronie wysypanego żwirem podwórza, znajdował się garaż, do którego można było dotrzeć, przechodząc przez pomalowaną na biało bramę. Na lewo od domu mieliśmy nieduży ogród z rosnącym pośrodku wielkim dębem. Otaczały go pola, było w nim cieniście i spokojnie. Jedyny inny dom, jaki dało się stamtąd dostrzec, należał do naszych sąsiadów – bezdzietnej pary, niezbyt towarzyskiej, ale miłej. Ich wielki stary dom stał zwrócony bokiem do drogi, mogli więc liczyć na odosobnienie. Prowadzili firmę dostarczającą karmę dla zwierząt, więc całymi dniami nie było ich w domu.

Paul włożył kapcie, poszedł do łazienki, umył się i ogolił. Nie chciał korzystać z pomocy. Żeby się uczesać, musiał się schylić. Miał problemy z podniesieniem rąk na wysokość głowy, odkrywał więc nowe sposoby wykonywania różnych codziennych czynności.

Nasz dom pełnił niegdyś funkcję stodoły, a jego przebudowę przeprowadzono szybko i nieporządnie. Był to niewielki budynek o pobielonych ścianach i czerwonym dachu, z bramą z pomalowanych na biało sztachet. Wewnętrzne ściany miały kolor magnolii, żadna powierzchnia nie trzymała pionu ani poziomu. Duży salon znajdował się pod sporych rozmiarów sypialnią, której podłoga zapadała się nieco pośrodku, ale za to było tam zawsze ciepło. W kącie stała stara komoda z szufladami, a na niej siedział mały pluszowy miś i Pan Hu-hu.

Okno naprzeciwko łóżka wychodziło na stary ogromny kasztanowiec. Paul doskonale znał to drzewo: każdą gałąź o każdej porze roku. Teraz było nagie.

Jesienią dzieciaki z niedalekiej posiadłości zamieszkaney przez parę architektów zakradały się do ogrodu i strącały kasztany, słyszał wtedy ich wrzaskliwy śmiech. Przywodziło mu to na myśl jego przygody z dzieciństwa: podniecenie, z jakim wracał do domu, taszcząc torbę wypchaną skarbami, i radość, kiedy pokazywał rodzicom lśniące kasztany. Drzewo rosło na skraju pola sąsiadów, przy dzielącej nas wąskiej alejce. Pole wznosiło się łagodnie, tłoczyły się na nim kury, gęsi i kaczki, spędzające całe dnie na gderliwych pogaduszkach i szukaniu pożywienia. Z łóżka nie widział jednak alejki ani pola, tylko kasztanowiec. Nocami widywał cienie przesiadujących tam sów. Lubił sowy: pójdzki, puszczyki, płomykówki. Na kasztanie najczęściej pojawiały się płomykówki.

Którejś niedzieli znudziło mu się leżenie w łóżku. Uparł się żeby wyjść na dwór. Na jego twarzy pojawiła się determinacja. Pozwolił, żebym go ubrała. Założyłam i zapięłam mu koszulę, pomogłam wciągnąć gruby wełniany sweter i džinsy. Na wierzch założyłam mu kurtkę. Kiedy unosił ramiona, by wcisnąć je w rękawy, słyszałam skrzypienie jego kości. Spojrzał na mnie.

– Skrzypię i trzeszczę – powiedział.

Kurtka była z goreteksu, zielona z fioletowym kołnierzem. Wyglądała bardzo po skandynawsku. Nie mógł zawiązać sznurowadeł brązowych turystycznych butów. Wypastował je starannie zaraz po tym, jak je kupił, ale teraz były całe w błocie. Ja zawiązałam sznurowadła. Czułam wyrzuty sumienia: powinnam była wyczyścić mu buty, ale miałam tyle ważniejszych rzeczy na głowie. Potem wzięłam się za zakładanie swoich butów, ale on się niecierpliwił.

– Szybciej! – poganiał mnie.

– Już prawie jestem gotowa.

– Dlaczego nie potrafisz się zdobyć na odrobinę spontaniczności?

– Bo muszę pamiętać o milionie różnych spraw, może dlatego? Mózg mi się zawiesza.

Wyprowadziłam z garażu samochód, srebrnego forda fiestę. Skrzynia biegów zazgrzytała, bo trochę zbyt gwałtownie wrzuciłam wsteczny. Zaczekałam, aż wsiądzie. Wyglądał jak drobny, zasuszony staruszek.

– Jestem cieniem dawnego siebie – powiedział.

Był zirytowany i niemiły. Przegrywał walkę. Zdawałam sobie z tego sprawę. Znalazł jakiś pretekst, żeby wszcząć kłótnię, po czym oświadczył, że nigdzie nie jedzie. Wysiadł, trzasnął drzwiami, odwrócił się i zapatrzył na pola. Kilka chuderlawych wron polatywało w powietrzu, znacznie więcej siedziało na płotach i przyglądało się nam. Jedna trzymała w dziobie na pół zjedzoną dżdżownicę. Pasące się krowy nie zwracały na nas najmniejszej uwagi. Zacisnął wargi i wrócił do samochodu. Udałam, że szukam czegoś w schowku, żeby ukryć gniew.

– Nie marnujmy czasu – zaproponowałam. – Przecież to był twój pomysł.

– Wiem.



Zaraz za bramą skręciliśmy w prawo. Siedział skulony w fotelu pasażera. Jechaliśmy drogą przez Pateley Moor. Znał każdy kawałek tej szosy, bo pokonywaliśmy ją niezliczoną ilość razy. Od Pateley Bridge dzieliło nas około piętnastu kilometrów. Szosa prowadziła między polami i sosnowymi zagajnikami. Krajobraz urozmaicały porzrzucone rzadko wiejskie zabudowania. Po obu stronach drogi ciągnęły się niskie murki z płaskich kamieni, takie same od stuleci. Przynajmniej raz w roku gdzieś w okolicy odbywały się zawody we wznoszeniu budowli z takich właśnie kamieni, bez zaprawy. Obok mignął nam pub o nazwie Drovers Inn. Byłam w nim raz. Zaraz potem minęliśmy ogrodzenie dla bydła i wyjechaliśmy na mokradła. We wrześniu, kiedy kwitły wrzosy, jak okiem sięgnąć królowały różne odcienie fioletu; teraz dominowały zieleń i szarość, upstrzone tu i ówdzie brązowymi pasmami krótkiej trawy. Pasły się na niej zabiedzone owce. Sprawiały wrażenie porzuconych, na niektórych wełna wisiała w strzępach, jakby przedzierały się przez zasieki z drutu kolczastego. Żyły swobodnie, jak Cyganie albo koczownicy, radząc sobie nawet z najgorszą pogodą. Wiele godzin spędziliśmy na poznawaniu tych okolic. Populacja ptaków składała się głównie z kuropatw, czajek, kulików, przepiórek, szybujących wysoko pustulek, jastrzębi i bekasów. Dawniej Paul z napięciem wypatrywał wszelkich śladów miejscowej fauny – ptaków, gronostajów i wydr. Wymyślał o nich rozmaite historie, nadawał im imiona, obdarzał zawodami i cechami charakteru. Teraz nic go nie obchodziło; jedną ręką trzymał się deski rozdzielczej, drugą przyciskał do żołądka. Jechaliśmy w milczeniu.

To była dzika i wolna okolica. Dobrze wiedział, że miałam ochotę wykrzyknąć „Heathcliff!”, ponieważ zwykle tak robiłam. Gdybym teraz to uczyniła, z pewnością pokręciłby głową. Haworth znajdowało się jakieś pięćdziesiąt kilometrów na północny wschód. Choć mieszkaliśmy w tej okolicy od ośmiu lat, nigdy tam jeszcze nie byliśmy. Z pewnością miał ochotę na tę przejażdżkę. Czułam, że patrzy na mnie, i wiedziałam, że martwi się o mnie i o to, że ja martwię się jego chorobą. Wzajemny żal był niemal namacalny.

Wreszcie dojechaliśmy. Wokół nas rozciągały się wrzosowiska, przed nami biegła droga. Znaleźliśmy się na jednym z zacisznych krańców świata. Praktycznie żadnego ruchu samochodowego, bardzo mało ludzi. Czasem, kiedy inną krętą drogą jeździliśmy na Dallowgill Moor, nie widzieliśmy absolutnie nikogo i czuliśmy się tak, jakbyśmy tylko my dwoje żyli na Ziemi. Dallowgill Moor miało jeden powód do chwały: Bing Crosby polował tam na kuropatwy. Z myślą o takich jak on rozstawiono tam betonowe stanowiska strzelnicze. W pobliżu stał pomnik upamiętniający ostatniego wilka w północnej Anglii, którego zastrzelono tam około 1850 roku.

W miarę jak wznosił się teren, robiło się coraz chłodniej. Okolice sprawiała wrażenie znużonej zimą, jakby zawieje, wichury i kęsający mróz dały jej się

porządnie we znaki. Była zmęczona, poraniona i smutna, zupełnie jak ja. Wiatr rozwlekał po szosie uschnięte liście paproci. Niebo było szaroniebieskie, sprane, z odrobiną żółtego odcienia i poszarpanymi, gnany wiatrem obłokami. On chyba niczego nie widział. Skupiał się wyłącznie na sobie, skulony i obolały. Chciał tylko dojechać na miejsce. Jechałam powoli. Gdyby to on prowadził, pokonalibyśmy tę trasę dwa razy szybciej. Już nie pamiętałam, kiedy ostatnio siedział za kierownicą. Wyjątkowo nie udzielał mi gderliwych wskazówek, w ogóle się nie odzywał, tylko coraz mocniej zaciskał dłoń na desce rozdzielczej. Minęliśmy ostatnią przegrodę dla bydła i znaleźliśmy się na odcinku drogi wiodącym prosto ku Pateley Bridge. Znajdowaliśmy się wciąż na grzbiecie łagodnego wzgórza, wokół nas we wszystkie strony biegły kamienne murki, pola były zupełnie pozbawione drzew. Tylko od czasu do czasu dało się dostrzec jakiś krzew głogu przygięty do ziemi przez wiatr. Minęliśmy kilka przepiórek i kuropatw; przycupnięte na murku, gapiły się na nas bezmyślnie. Miały nastroszone pióra, które powinny chronić je przed lodowatym wiatrem, szyje i głowy wtuliły w tułowia, tak że widać było tylko sterczące dzioby. Niebo i ziemia zdawały się ciągnąć bez końca, odnosiłam wrażenie, że otacza nas wieczność. W dawnych wiekach zamiast dróg były tu ścieżki wydeptane przez mnichów, wędrujących z wytwarzanymi przez siebie produktami między opactwami Fountains, Bolton i Jervaulx. Całkiem niedaleko stał zamek Bolton, w którym więziono Marię Stuart, królową Szkotów.

Dotarliśmy do szczytu wzniesienia i naszym oczom ukazało się Pateley Bridge. To niewielkie targowe miasteczko w Yorkshire, wyrzeźbione w dolinie, słynące z wełny i wydobywania rud cyny. Domy wzniesiono z szarego kamienia z Yorkshire. Zawsze zatrzymywaliśmy się w tym miejscu, by z góry podziwiać misterną sieć ulic miasteczka. Z niektórych kominów unosił się dym. Łatwo można było zlokalizować dawną fabrykę: ogromny, dwupiętrowy budynek przy jednej z ulic. Ile historii, ile opowieści kryło się w jego murach? Paul nie patrzył. Leżał z zamkniętymi oczami na rozłożonym fotelu. Oboje milczeliśmy.

Ruszyliśmy w dół stromą, krętą drogą, która w miasteczku zamieniała się w High Street. Przemysł turystyczny dotarł i tutaj, więc przy ulicy tłoczyły się sklepy z najróżniejszym asortymentem: mnóstwo antykwariatów, sklep zoologiczny, sklep wyłącznie ze słodyczami (chlubiący się tym, jakoby był najstarszym takim sklepem w Anglii), dwaj rzeźnicy, z których każdy utrzymywał, że sprzedaje najlepsze mięso i wędliny w mieście, sklep spożywczy prowadzony przez gburowate siostry, rozmaite kawiarnie i restauracje. Najlepiej można było zjeść w najskromniejszej z nich; miała tę dodatkową zaletę, że mogłeś siedzieć tam, ile chciałeś, pogrążony w myślach. Był także pub, The Crown. Po przeprowadzce do Pateley Bridge, Paul grywał tam w snookera. Na pierwsze święta, które spędzaliśmy w Pateley, kupiliśmy prezenty w galerii przy High Street. Wszystkie sklepy były takie same: z szarego kamienia, z dużymi witrynami,

zielonymi albo czerwonymi markizami oraz kwiatami w koszykach dla ozdoby. Fryzjer, sklep z urządzeniami elektrycznymi, bank, spółdzielnia mieszkaniowa, tapicer oraz nowość w postaci indyjskiej restauracji. Na samym końcu ulicy znajdowały się bank spółdzielczy i kiosk z gazetami. Wszędzie tam pracowali mili ludzie. Dalej płynęła rzeka, przecinająca miasto na pół. Była niewielka, ale miała skłonność do wylewania w porze zimowej, a wtedy woda docierała do samej High Street. Raz czy dwa zdarzyło się, iż poziom wody był tak wysoki, że trzeba było zamknąć most łączący oba brzegi. Od tego miejsca zabudowa stawała się znacznie rzadsza. Zaraz za miastem rozciągał się teren wystawowy – we wrześniu urządzano na nim wielką ekspozycję rolniczą, a w święta zamieniał się w parking dla przyczep kempingowych. Był też park z placem zabaw dla dzieci, pomnikiem bohaterów wojny i muszlą koncertową. Zaraz za parkiem zaczynało się pole kempingowe, oddzielone od miasta szpalerem drzew. High Street kończyła się kilkoma sklepami specjalistycznymi, stacją benzynową, warsztatem samochodowym i konkurencyjnym pubem The Royal Oak. Zostawiliśmy samochód na parkingu przy moście, u stóp wzgórza, obok kawiarni usytuowanej nad brzegiem rzeki. Paul nie odezwał się ani słowem. Kiedy wysiadłam i poszłam do parkomatu, wcisnął się głębiej w fotel. Zaczekał, aż podejść od drugiej strony i otworzę mu drzwi. Wysiadł z trudem, bardzo powoli. Wyprostował się, trzymając się mnie kurczowo. Miałam ochotę go odepchnąć. Oboje byliśmy spięci. Fryzjerka zamknęła zakład i gdzieś sobie poszła.

Chwycił się mego ramienia i ruszyliśmy przed siebie ulicą. Tak jak wiele razy przedtem, oglądaliśmy sklepowe witryny. Stawiał drżące, niepewne kroki, ale ja go prowadziłam. Weszliśmy do jednego z antykwariatów u szczytu wzniesienia. Trudno było uwierzyć, jak entuzjastyczni i pełni nadziei na przyszłość byliśmy dawno temu, kiedy po raz pierwszy zobaczyliśmy tę ulicę.

Wstąpił w niego nowy duch. Widziałam, jaką przyjemność sprawia mu widok mebli, drewna, tych wszystkich starych przedmiotów. Gdyby mógł, zapełniłby nasz dom takimi skarbami. Uważnie oglądał ekspozycję: mosiądze, obrazy, książki, krzesła, stoły, szafki wszelkich kształtów i rozmiarów, misy, porcelanę, ozdoby, wypchane zwierzęta w szklanych gablotach, fascynujące obiekty – takie jak narzędzia chirurgiczne z osiemnastego wieku, lampy Tiffany’ego, stare obrusy, jedwabne i koronkowe chusty. Patrząc na szklane naczynia wypełnione skrzącą się biżuterią, wymyślaliśmy historie naszyjnikom, kolczykom, złotym pierścieniom i broszkom, noszonym dawno temu przez rozmaitych ludzi. Sklep przypominał jaskinię Aladyna wypełnioną dziwami i skarbami.

Podszedł do ozdobnego biurka wykonanego z cedru lub drewna różanego. Było piękne, misternie rzeźbione. Przesunął po nim dłonią, po czym przekręcił kluczyk i wysunął blat do pisania. Otwieraliśmy kolejno wszystkie szuflady

z delikatnymi kluczykami tkwiącymi w misternych złotych zameczkach. Zagląaliśmy we wszystkie zakamarki, wyobrażaliśmy sobie atrament, szeleszczący papier listowy, listy, książeczki czekowe, rachunki, gęsie pióra, klej, gumki, spinacze do papieru i bibułę. Zastanawialiśmy się, do kogo należało i kto z niego korzystał. Sprzedawczyni była niska, krępa, z przyjaznym uśmiechem na twarzy. Zapytaliśmy o cenę.

– Trzysta czterdzieści funtów.

Odwrócił się do mnie.

– Kupić ci je, kiedy wyzdrowieję?

Uśmiechnęłam się.

Wyszliśmy ze sklepu, ale on nie mógł już iść pod górę, więc ruszyliśmy z powrotem w dół. Kolana uginały się pod nim, potykał się co kilka kroków. Musiałam go mocno trzymać. Nie chciał się widzieć z nikim znajomym. Nie chciał być zmuszony w ten ziąb do stania na ulicy i prowadzenia towarzyskiej rozmowy o niczym. To nie był człowiek, za którego wysłałam za męża. Chciałam odzyskać tamtego. On też. Aktywnego, pełnego zapału i życia, a nie obciążonego tym bezużytecznym ciałem. Był poirytowany i opryskliwy. Kiedy dotarliśmy do samochodu, musiałam pomóc mu wsiąść. Spojrzał na mnie z miejsca pasażera; w oczach miał rozpacz.

Podróż powrotna do domu upłynęła w milczeniu. Nic nie mówiliśmy, bo nie mieliśmy nic do powiedzenia. Słyszeć było tylko szum silnika samochodu jadącego przez zimne, milczące wrzosowiska graniczące z ciemniejącym niebem. Był wycieńczony. Zerkałam na niego, skulonego w fotelu, zmęczonego chorobą. To była krótka wycieczka. Przebywał poza domem zaledwie półtorej godziny, ale dla niego było to tak, jakby wspiął się na kilka wzgórz i pokonał pieszo wiele mil. Wreszcie dotarliśmy z powrotem. Musiałam wynieść go z samochodu. Idąc ku drzwiom, opierał się na mnie jak na lasce. Jakoś wspiął się po schodach do swego „więzienia” i zdołał sam się rozebrać. Zużywszy w ten sposób całą energię, opadł na łóżko. Zajęłam się tym co zwykle: wstawiłam samochód do garażu, otworzyłam komórkę na węgiel, załadowałam pełne wiadro. Potem napaliłam na dole, tak jak mnie tego nauczył, a znał się na tym od dzieciństwa. Wreszcie przyniosłam mu kolację, przytuliliśmy się do siebie i zapadł wieczór.

## **TAŚMA 2: 31 LIPCA 2003, 12.26–13.07**

**DETEKTYW RICHARDSON:** Jill, pod koniec poprzedniej rozmowy wspomniałaś, że były też inne próby samobójcze?

**JILL ANDERSON:** Tak.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Nikt o nich nie wiedział, ponieważ nie zawiadamiałaś służb ratowniczych?

**JILL ANDERSON:** Zgadza się.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Mogę cię prosić, żebyś o nich teraz opowiedziała?

**JILL ANDERSON:** Tak.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Zgadzasz się opowiedzieć czy tylko, żebym cię o to poprosił?

**JILL ANDERSON:** Opowiem.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Dziękuję.

**JILL ANDERSON:** Mój mąż zasugerował lekarzom, że jego przypadłość jest spokrewniona z syndromem Zatoki Perskiej i że obie choroby charakteryzuje bardzo wysoki współczynnik samobójstw, co zostało udokumentowane. Teraz, kiedy go już nie ma, uświadomiłam sobie, że znajdował się w fatalnym stanie fizycznym. Brał mnóstwo leków i bardzo cierpiał. Stosował środki przeciwzapalne i zastrzyki ze sterydów. Z tego, co znalazłam w Internecie, wynikało, że została nam jeszcze tylko terapia laserowa. Umarł, czekając na wyznaczenie terminu kolejnej konsultacji. Przedtem inny lekarz powiedział mu, że jego chrząstki są jakby zespawane ze sobą. Łatwo sobie wyobrazić, jak okropna to była wiadomość dla kogoś, kto od ośmiu lat bez powodzenia walczył o powrót do zdrowia. Jego stan wciąż się pogarszał, dokuczały mu okropne bóle w całym ciele. Ciągle miał porażenie barku, poruszał się z coraz większym trudem. Wykonywał samodzielnie coraz mniej czynności, przestał się nawet czesać. Przypuszczam, że właśnie wtedy zaczął poważnie zastanawiać się nad samobójstwem, i wcale mu się nie dziwię. Nie uważam tego za samobójstwo, tylko za ucieczkę przed bólem. Podczas jednej z tych prób, których nie zgłosiłam, poszedł do garażu i jakimś cudem zdołał podłączyć kawałek gumowego węża do rury wydechowej.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Kiedy to było?

**JILL ANDERSON:** Myślę, że jakieś osiem tygodni temu. W końcu jakoś udało mi się go przekonać, żeby się nie poddawał. Zawsze używałam tego samego argumentu: „Może wynajdą jakieś lekarstwo albo terapię genową. Wytrzymaj”. Czekaliśmy na wyniki tomografii, zamierzał poprosić lekarza ze szpitala we Friarage o skierowanie na rezonans magnetyczny barku, żeby się przekonać, co

się tam właściwie stało, szukaliśmy informacji w Internecie. Podejrzewaliśmy, że to może być uszkodzenie stawu. Nie mogłam mieć do niego pretensji o to, że chciał umrzeć. Był śmiertelnie chory.

*Możecie być pewni, że Paul Anderson postanowił odebrać sobie życie. Możecie być pewni, że Jill Anderson nie uczyniła niczego, by go do tego nakłonić. Wystarczy wrócić pamięcią do jego wcześniejszych prób samobójczych, kiedy wzywała pogotowie albo odłączała gumowy wąż od rury wydechowej. Postanowił zakończyć życie z godnością, nie chciał umierać w szpitalnym łóżku po kolejnych latach cierpień.*

Z mowy końcowej obrońcy

## CZERWIEC 2003

Paul był wściekły. Nic nie mógł na to poradzić. Z trudem wstał z łóżka, ubrał się i zszedł na dół. Zdjął klucze z jednego z mosiężnych haczyków na ścianie między salonem i gankiem. Haczyki przytwierdzono do płytki z wizerunkiem dwóch kaczek i kaczątka. Powiesił ją na ścianie zaraz po tym, jak sprowadziliśmy się do Westowe. Z trudem poruszał kończynami. Wiedział, że obserwuję go z okna salonu. Nie patrzył na mnie. Był początek lata, powietrze miało słodki zapach, ale on tego prawie nie zauważał. Zamknęłam oczy. Odczekałam pięć, może dziesięć minut, po czym ruszyłam za nim. Paul wszedł do garażu. Pomieszczenie było obszerne, z betonową posadzką. Zdjął wiszący na ścianie zielony wąż ogrodniczy i odciął tyle, ile potrzebował, za pomocą noża, który leżał na warsztatowym blacie biegnącym wzdłuż ściany po prawej stronie. Znalazł jakąś szmatę, wetknął koniec węża w rurę wydechową, uszczelnił połączenie szmatą. Wgramolił się do samochodu, przeciągnął drugi koniec węża przez okno kierowcy, podniósł szybę i uruchomił silnik. Oparł głowę na zagłówku i zamknął oczy.

Otworzyły się drzwi. To byłam ja. Wyszarpnęłam wąż. Nie zwracając na mnie uwagi, wysiadł z samochodu, ponownie włożył koniec węża do kabiny, wsiadł i zamknął drzwi. Zaczekałam chwilę, po czym znowu wyszarpnęłam wąż. Wygramolił się na zewnątrz.

– Chcę umrzeć! – krzyknął.

– Nie możesz.

Słuchał, jak wyliczam mu wszystkie argumenty. Zakończyłam w ten sposób:  
– Nasza firma odniesie sukces, będziemy zarabiać pieniądze. Wyzdrowiejesz.

– Nienawidzę cię! – wrzasnął, czerwony z gniewu.

Pierwszy raz, odkąd się poznaliśmy, uderzył mnie w twarz. Zatoczyłam się. Patrzyliśmy na siebie z nienawiścią. Widział, jak na mojej twarzy pojawia się grymas wściekłego niedowierzania. Uderzenie było bardzo słabe. Wybiegłam z garażu. Oczami wyobraźni widziałam, jak ponownie wtyka koniec węża przez okno i wsiada do samochodu. Obeszłam dom dokoła, po czym wróciłam. Wyciągnęłam wąż i gwałtownym szarpnięciem otworzyłam drzwi.

Próbowałam go wyciągnąć, ale odepchnął mnie, sięgnął po końcówkę węża, ponownie wsadził ją do środka. Stałam przy drzwiach kierowcy, niepewna co począć. Przeszłam na drugą stronę samochodu i zatrzymałam się przy drzwiach pasażera. Przyszło mi do głowy, żeby do niego dołączyć. Czy byłoby łatwiej odejść razem, o wszystkim zapomnieć? Wyobraziłam sobie nagłówki w gazetach: „Kochankowie umierają w miłosnym uścisku”. Wyobraziłam sobie nasze rodziny przetrząsające nasz dobytek, zastanawiające się, co wyrzucić, a co zachować, ich



szok i oburzenie. Paul wpatrywał się pustym wzrokiem przed siebie. Miał zawziętą twarz i zaciśnięte usta. Na zewnątrz, w lekkiej mgiełce, pyszniło się soczystą zielenią angielskie lato. Zrobiło mi się słabo, a zaraz potem coś kazało mi otworzyć drzwi kierowcy. Spojrzał na mnie, a ja sięgnęłam do jego ramienia.

– Zostaw mnie!

– Nie możesz tego zrobić.

– A mam wybór?

Znieruchomieliśmy, patrząc na siebie. Serce biło mi tak mocno, jakby chciało się wyrwać z piersi. Tak bardzo pragnęłam, by żył dalej, dla siebie i dla mnie. Przeniósł wzrok na deskę rozdzielczą, a ja wróciłam do domu i zabrałam się za rzeczy, które już od dawna czekały na zrobienie. Byliśmy winni pieniądze tłumaczom. Myślałam o nich i myślałam o nim, siedzącym w naszym samochodzie, którego kabina z wolna wypełniała się tlenkiem węgla. Nie mogłam mieć do niego pretensji, ale nie chciałam, żeby to się skończyło w taki sposób. Wróciłam do samochodu. Ptaki umilkły, zapadła niemal całkowita cisza. Żyliśmy, odgrywając ten przedziwny dramat, pozbawiony jakiegokolwiek sensu. Dlaczego nie mogłam powiedzieć „tak” i pozwolić, żeby wszystko potoczyło się swoim torem? Ponownie szarpnęłam za klamkę. Obrzucił mnie gniewnym spojrzeniem.

– Wysiadaj.

– Nie!

– Proszę. Tak bardzo cię kocham, nie mogę bez ciebie żyć. Proszę. Nie zostawiaj mnie samej. Nie odchodź.

Patrzył na mnie tępo.

– Nie wytrzymam już. Nie dam rady.

– Proszę, kochanie. Proszę.

Odwrócił wzrok. Wróciłam do domu. Byłam roztrzęsiona i chciałam się poddać, ale nie mogłam. Znowu zawróciłam do samochodu, wyciągnęłam wąż i otworzyłam drzwi. Popatrzył na mnie, a ja odwróciłam się na pięcie i odmaszerowałam. Dom był milczący i pusty. Chodziłam to tu, to tam, brałam do ręki rozmaite przedmioty, po czym odstawiałam je na miejsce. Usiadłam, zaczęłam przeglądać gazetę. Wszystko było rozmazane, bez sensu.

Poszłam do garażu. Widziałam jego głowę. Obeszłam samochód dokoła, cały czas patrząc na niego. Wodził za mną wzrokiem. Wyszarpnęłam wąż. Byłam naprawdę wściekła. Gwałtownie otworzyłam drzwi i chwyciłam go za ramię.

– Wysiadaj.

– Nie.

– Kocham cię.

Popatrzył na mnie, potem prosto przed siebie. Wróciłam do domu, potem znów do garażu. Wreszcie górę wzięło zmęczenie. Zwyciężyłam. Pozwolił zaprowadzić się do domu i położył się z powrotem do łóżka. Zdawałam sobie

sprawę, że czekały tam na niego ból i cierpienie. Morfina, którą przepisał mu lekarz, tylko częściowo tłumiała nieustające pulsowanie i drzenie. Żeby jakoś radzić sobie z bólem, brał też leki dostępne bez recepty: nurofen, aspirynę, paracetamol, cokolwiek wpadło mu w ręce. Czy ktoś widział nasz dziwaczny taniec? Był spokojny letni dzień, znad pól nadlatywał leciutki wiaterek, niosący nasiona dmuchawca. Może właściciel? Nigdzie nie było go widać, pewnie zaszył się w stodole.

Paul przerzucał leżące na łóżku czasopisma komputerowe i wędkarskie. Powiedział mi, że kiedy siedział w samochodzie, wdychając tlenek węgla, zobaczył sikorkę latającą w garażu. Trafiła w pułapkę. Choć brama garażowa była otwarta, ona uparcie kierowała się w głąb pomieszczenia, ku oknu. Może powinien tam pójść i ją uwolnić? W końcu doszedł jednak do wniosku, że sama sobie poradzi. Poradziła sobie.

Później wstał, dowlókl się do gabinetu i zajął się porządkowaniem komputera. Skasował niepotrzebne pliki, sprawdził, czy wszystko działa jak należy.

Był piękny wieczór. Nietoperze śmigały jak myśliwce, polując w nieruchomym powietrzu na owady. Byliśmy w sypialni, kiedy usłyszeliśmy pukanie do tylnych drzwi. Zeszłam na dół, otworzyłam. Przedemną stał właściciel.

- Wszystko w porządku?
- Jak najbardziej – skłamałam.
- Paul dobrze się czuje?
- Jakoś się trzyma.

Poszedł sobie. Poczułam ulgę. Paul był na górze, żywy. Zebrałam płatki ze zwiędłych róż i sprawdziłam, co się dzieje z kompostem, który zaczęłam robić jesienią. Wrzucałam liście do czarnych worków na śmieci, które powiesiłam pod stropem szopy w ogrodzie. Zajrzałam do worków: liście wciąż wyglądały tak samo, nie zaczęły jeszcze gnić. Czytałam, że trzeba dużo czasu, żeby powstał kompost. Nie mogłam się doczekać, kiedy w workach znajdę żyzny nawóz. Nie doczekałam się, ale wciąż się zastanawiam, co dzieje się z tymi liśćmi.

**Taśma 2: 31 lipca 2003, 12.26–13.07, c.d.**

**JILL ANDERSON:** To daje jakieś wyobrażenie o tym, jak bardzo cierpiał. W każdym razie jakoś udało mi się wydostać go z samochodu i odstawić do domu. Potem był bardzo dobry okres, kiedy ciągle rozmawialiśmy o przyszłości. Zamierzał wymienić antenę satelitarną na większą i tak dalej. Najpierw powiedziałam „Nie, nawet nie ma mowy”, ale dwie godziny później zgodziłam się, bo byłam gotowa kupić mu wszystko, czego chciał, żeby tylko żył.

Detektyw Richardson: Czy więc można powiedzieć, że wtedy go powstrzymałaś? Czy sądzisz, że zrobiłby to, gdyby cię tam nie było?

**JILL ANDERSON:** Tak, tak, tak... Na pewno by to zrobił. Próbował całkiem na poważnie.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Czy próbował też kiedy indziej? Wiem, że z pewnością ciężko ci o tym mówić.

**JILL ANDERSON:** Tak, próbował.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Chciałbym dowiedzieć się więcej.

**JILL ANDERSON:** To były pomniejsze próby, nie takie poważne jak ta.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Co rozumiesz przez „pomniejsze próby”?

**JILL ANDERSON:** No, wie pan... Po prostu mówił, że się nad tym zastanawia i że nie wie, jak długo jeszcze wytrzyma.

*Z psychologicznego punktu widzenia powiedziałbym, że Paul był nieprzewidywalny. Gdyby zapytać go, jak się czuje, natychmiast zacząłby opowiadać o jednej ze swoich licznych przypadłości. Wiadomo, że już w roku 1984, w wieku zaledwie dwudziestu czterech lat, rzucony przez dziewczynę dwukrotnie podejmował próby samobójcze: za pierwszym razem podciął sobie żyły, za drugim przedawkował leki. Było to na długo przed pojawieniem się Jill na horyzoncie. Ze słów jego ojca wynika, że już w roku 1999 cierpiał na zdiagnozowaną znacznie później chorobę. Jak wiecie, ciągnęło się to bez chwili przerwy.*

Z mowy końcowej obrońcy

**TAŚMA 2: 21 LIPCA 2003, 12.26–13.07, C.D.**

**DETEKTYW RICHARDSON:** Rozumiem.

**JILL ANDERSON:** Zagadywałam go wtedy i jakoś to było. Nie dołączał coraz bardziej, stopami odkręcał i zakręcał kurki w wannie. Kręgosłup zaczął odmawiać mu posłuszeństwa. Powtarzałam mu, żeby wołał mnie, kiedy będzie chciał wyjść z wanny.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Powiedziałaś, że opiekowałaś się nim przez ostatnich osiem lat.

**JILL ANDERSON:** Tak.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Byłaś jego jedyną opiekunką?

**JILL ANDERSON:** Tak.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Jak to na ciebie wpłynęło? Co to dla ciebie oznaczało?

**JILL ANDERSON:** Zajmowałam się wszystkim. Początkowo robił, co mógł, ale stopniowo, w miarę jak nie dołączał, musiałam sama dbać o dom, ogród, samochód, zakupy i gotowanie, sama przywoziłam wszystko co niezbędne do życia, sama jeździłam po jego lekarstwa...

**DETEKTYW RICHARDSON:** Dostarczałaś mu też lekarstwa?

**JILL ANDERSON:** Tak. Moje życie całkowicie się zmieniło. Zaraz po ślubie, na początku małżeństwa, to on zajmował się wieloma pracami domowymi.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Aha.

**JILL ANDERSON:** Przynajmniej raz w tygodniu samodzielnie przygotowywał obiad. Wydawało mi się, że mam męża z bajki, bo zajmował się domem i lubił gotować.

## CZERWIEC 2000

Leżałam jak stos rzuconych byle jak łachmanów i drzemałam, kompletnie wycieńczona. Robiłam korektę tłumaczeń dla „British Medical Journal”. Ocknęłam się gwałtownie, bo usłyszałam, jak wchodzi na palcach na górę. Kiedy otworzyłam oczy, przede mną stała filiżanka herbaty. Często gotował, ale nigdy nie wiedziałam, czego się spodziewać.

Tego wieczoru poszedł do kuchni, kiedy się zdrzemnęłam, i przetrząsnął ją dokładnie. Nie mieliśmy dużo do jedzenia. Znalazł w zamrażarce rybne paluszki, zdrapał z nich panierkę i ułożył na blasze. Obrął i ugotował ziemniaki, z solonego masła i tłustego mleka zrobił sos, dodał cytrynę, wstawił rybę do piekarnika. Posiekał marchewkę, pociął zieloną fasolkę, obsmażył na patelni. Ustawił talerz na tacy, wyszedł do ogrodu, zerwał różową różę, wstawił do wazonu, wazon postawił na tacy. Nóż i widelec ułożył na złożonej zielonej serwetce. Następnie z szafy z różnościami wyjął białą świecę, umieścił ją na małym świeczniku, który również postawił na tacy. Otworzył piekarnik, wyjął blachę, delikatnie przełożył część potrawy na talerz, dokoła starannie poukładał obsmażone warzywa. Ponownie poszedł do ogrodu i przyniósł zioła: natkę pietruszki, tymianek, rozmaryn. Opłukał je, posiekał, a następnie posypał nimi talerz i dodał jeszcze odrobinę masła. Postawił na tacy pieprzniczkę i solniczkę, a także szklankę z wodą. Zapalił świecę i zaniósł wszystko na górę.

Przyglądał się, jak jem. Na dole zostawił trochę dla siebie. Zamierzał zjeść później. Kiedy skończyłam, zabrał tacę i otulił mnie kołdrą.

– Jak smakowało? – zapytał.

– Wspaniale.

– Zaparzę ci herbaty – powiedział i wyszedł.

Położyłam głowę na poduszce. Jedzenie było okropne, ale jak mogłam mu to powiedzieć? Za dużo cytryny, zbyt wiele ziół. Uśmiechnęłam się. Kiedy wrócił, objęliśmy się mocno.

Dużo później odprowadził mnie wzrokiem, kiedy założyłam szlafrok i zesłam na dół do kuchni, gdzie zastałam pobojuwisko. Tak jak się spodziewałam, powyciągał z szafek wszystkie garnki, patelnie i rondle. Na rozsypanej na podłodze mące widać było ślady stóp. O północy wszystko znowu świeciło czystością. Wróciłam na górę i zasnęliśmy przytuleni.

*Podstawową kwestią, którą należy rozpatrzyć, jest to, czy Jill Anderson była zobowiązana do opieki nad mężem, i co to w praktyce oznaczało.*

*W trakcie przesłuchania dała jasno do zrozumienia, że czuła się odpowiedzialna za męża. Zaakceptowała fakt, że przez osiem lat była jego jedyną opiekunką. Od nikogo nie można jednak oczekiwać, że będzie czuwał przez dwadzieścia cztery godziny na dobę, by powstrzymać podopiecznego przed ewentualnymi próbami samobójczymi. Chodziło raczej o to, by wypełniać podstawowe zadania opiekuńcze. Na czym mogłyby one polegać? Na przykład na tym, żeby wziąć do ręki słuchawkę, wybrać numer 999 i wezwać pomoc medyczną. To nie jest jakieś tytaniczne zadanie, tylko coś, co każdy mógłby bez trudu uczynić. Gdyby Jill Anderson wykonała tę prostą czynność, być może uratowałaby życie swojemu mężowi.*

*Odosobnienie, wyczerpanie oraz nieustający stres powinny tym bardziej skłonić ją do poszukiwania wsparcia u innych. Musicie starannie rozważyć wszystkie aspekty tej sprawy oraz jej okoliczności; jeśli dojdziecie do wniosku, że usprawiedliwiają takie, a nie inne postępowanie oskarżonej, to będziecie musieli także uznać, iż zaniedbanie, jakiego się dopuściła, nie jest przestępstwem natury kryminalnej.*

Z mowy końcowej oskarżyciela

**TAŚMA 2: 31 LIPCA 2003, 12.26–13.07, C.D.**

**JILL ANDERSON:** Przez ostatni rok nie był w stanie nawet samodzielnie zaparzyć herbaty.

**DETEKTYW RICHARDSON:** A czy chociaż sam się ubierał?

**JILL ANDERSON:** Próbował, ale przez sześć ostatnich miesięcy jego życia musiałam mu pomagać. Przygotowywałam mu kąpiel i szykowałam ubranie. Nie mógł wyjąć z szafy ręczników ani w ogóle niczego cięższego. Wieszałam mu ręcznik na drzwiach. Z wielkim trudem zakładał piżamę, ale często przy tym też musiałam mu pomagać. To go bardzo przygnębiało. Był mężczyzną i nie chciał być od nikogo zależny.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Rozumiem. Czy kontaktowałaś się w imieniu Paula z jego lekarzem?

**JILL ANDERSON:** Owszem, to także wzięłam na siebie.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Kiedy to było?

**JILL ANDERSON:** Pewnie da się to ustalić na podstawie wpisów na karcie pacjenta.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Z pewnością.

**JILL ANDERSON:** Przez jakiś czas dręczyły go nawracające infekcje palców u stóp. Wzywaliśmy lekarza do domu, bo był zbyt chory, żeby znieść podróż samochodem i czekanie w kolejce w przychodni.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Co wywoływało te infekcje?

**JILL ANDERSON:** Nie mieliśmy pojęcia. Nie mógł stać ani siedzieć.

**DETEKTYW RICHARDSON:** A czy był w stanie samodzielnie obciąć sobie paznokcie u stóp?

**JILL ANDERSON:** Nie. Ja robiłam to za niego.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Chciałbym pokazać ci pewne pismo. To dowód rzeczowy AML1/5, pozyskany z jego dokumentacji medycznej. Jest to napisana przez niego zgoda na to, żebyś w jego imieniu realizowała recepty. Czy rozpoznasz to pismo? Możesz naturalnie pokazać je także swojemu prawnikowi.

**JILL ANDERSON:** Tak.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Dziękuję. Pismo pochodzi ze stycznia roku dwa tysiące drugiego. Jego sens jest mniej więcej taki, że Paul wyraża zgodę, byś kontaktowała się z jego lekarzem w jego imieniu.

**JILL ANDERSON:** Tak.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Możemy uznać, że trafnie oddałem jego treść?

**JILL ANDERSON:** Jak najbardziej.



**DETEKTYW RICHARDSON:** Czy od tamtej pory rzeczywiście się tym zajęłaś?

**JILL ANDERSON:** Tak. Mówił mi, czego potrzebuje, a ja umawiałam się na wizytę u jego lekarza.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Rozumiem.

**JILL ANDERSON:** Na pewno jest dokumentacja moich wizyt. Omawialiśmy stan zdrowia Paula. Któregoś dnia jego lekarz niespodziewanie przyjechał do nas do domu, żeby pobrać mu krew, ze względu na to, że wciąż spieraliśmy się z lekarzami. Paul utrzymywał, że choroba powoduje u niego stan zapalny, ale oni nie byli w stanie niczego stwierdzić. Lekarz uważał, że badania są nieomyślne, Paul natomiast upierał się, że niczego nie dowodzą, a ja się z tym zgadzałam.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Rozumiem.

**JILL ANDERSON:** Przyszłość dowiodła, że Paul miał rację. Badania mogą się mylić.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Czy pamiętasz, kiedy zrealizowałaś ostatnią receptę?

**JILL ANDERSON:** To był chyba poniedziałek przed jego śmiercią.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Czyli około dziesiątego lipca?

**JILL ANDERSON:** Tak.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Jakie to były leki?

**JILL ANDERSON:** Morfina i zoplicon.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Zgadza się. Czy wiesz, jakie jest ich działanie?

**JILL ANDERSON:** Zoplicon pomagał mu zasnąć. Tak bardzo cierpiał, że miał kłopoty ze snem. Morfina była na ból.

**DETEKTYW RICHARDSON:** To prawda. O ile się nie mylę, lekarz przepisał sześćdziesiąt tabletek morfiny?

**JILL ANDERSON:** Tak.

**DETEKTYW RICHARDSON:** I dwadzieścia osiem zopliconu?

**JILL ANDERSON:** Tak.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Dwadzieścia osiem tabletek to zapas na miesiąc. Czy realizowałaś recepty raz w miesiącu?

**JILL ANDERSON:** Tak.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Jak to dokładnie było?

**JILL ANDERSON:** Pytałam go, czy czegoś potrzebuje, a potem dzwoniłam do przychodni i lekarz wypisywał co trzeba. To było prawdziwe błogosławieństwo losu. Mieliśmy mnóstwo nieporozumień ze służbą zdrowia, ale w końcu trafiliśmy na lekarza pierwszego kontaktu, który uwierzył, że Paul jest ciężko chory, i bez problemu wystawiał recepty.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Czy pamiętasz, jak często je realizowałaś?

**JILL ANDERSON:** Nie.

**DETEKTYW RICHARDSON:** A czy ta recepta była typowa?

**JILL ANDERSON:** Tak.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Rozumiem. Pamiętasz może, jak długo miał przepisywane właśnie takie recepty?

**JILL ANDERSON:** Mniej więcej przez rok.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Na tej recepcie wypisano leki, które mogły mu wystarczyć na miesiąc. Czy to normalne, że pacjentowi przepisuje się od razu tak dużą ilość leków?

**JILL ANDERSON:** Wydaje mi się, że tak.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Czy Paul zużył je wszystkie?

**JILL ANDERSON:** Tak. Sam je sobie dawkował zależnie od potrzeb, a wtedy powiedział, że zużył je szybciej, bo brał więcej niż zwykle, żeby uwolnić się od bólu.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Czy zdarzało się, że brał mniej? Na przykład, jeżeli lekarz przepisał mu sześćdziesiąt tabletek morfiny, powiedzmy, że na maj... Czy mogło się zdarzyć, że zażył tylko czterdzieści albo że ściśle stosował się do zalecanego dawkowania?

**JILL ANDERSON:** Wydaje mi się, że z reguły stosował się do dawkowania.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Chodzi mi o to, Jill, czy zauważyłaś, że po kryjomu gromadzi zapasy leków?

**JILL ANDERSON:** Nie wiem. Ufałam mu.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Rozumiem. Po prostu przyszła mi do głowy taka możliwość, to wszystko.

**JILL ANDERSON:** Był na liście pacjentów przewlekle chorych, cierpiących.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Aha.

**JILL ANDERSON:** Powinnam pilnować go przez dwadzieścia cztery godziny na dobę, prawda? Powinnam, ale... Ja nie mogłam tak żyć. Musiałam mierzyć się z tym codziennie i mieć nadzieję, że jakoś dotrwa do jutra.

MAJ 2003

Siedziałam w salonie, zajęta zaszywaniem jakiejś dziury, rozdarcia czy pęknięcia. Minął mnie i usiadł w fotelu przy oknie, tuż obok kominka. To był stary fotel z drewna orzechowego, o wysokim prostym oparciu, jedna z pamiątek po mojej zmarłej babce. Siadywał w nim od czasu do czasu, tak jak dzisiaj. Patrzył przez okno na wiejski krajobraz, chłonąc spokój i ciszę. Spojrzał na mnie. Z wyrazu mojej twarzy domyślił się, że coś jest nie w porządku. Czekałam. Przesunął wzrokiem po pokoju, dostrzegł kopertę na okapie kominka. Powoli podniósł się z fotela, sięgnął po nią. Wewnątrz było zaproszenie na ślub. Jedna z moich kuzynek wychodziła we wrześniu za męża. Była lekarzem, wiele podróżowała. Odwiedziła nas zaraz po tym, jak się tam sprowadziliśmy, bardzo nam współczuła i pomagała. Teraz, w wieku czterdziestu lat, wychodziła za męża za inżyniera od budowy statków. Uroczystość miała się odbyć w pobliżu Bath. Zapowiadał się uroczy ślub i radosny dzień. Spojrzeliśmy na siebie i – bez słów – równocześnie go sobie wyobraziliśmy. Skromna ceremonia, a potem przyjęcie w wiejskim domu otoczonym angielskim ogrodem. Miałam cztery kuzynki; trzy pozostałe miały już sporo dzieci. Myśleliśmy o dziecięcym śmiechu i zabawach. Wszyscy będą odświętnie ubrani, w najlepszych strojach i wyglansowanych butach.

Tak bardzo chcieliśmy tam być. Wciąż od nowa czytał zaproszenie: – Jill i Paul, z przyjemnością zapraszamy was na...

Zaproszenie wydrukowano na ładnym papierze, złożoną czcionką, z tłoczeniami. Obracał je w dłoniach, po czym schował do koperty i odłożył ją na kominek. Ja nadal szyłam.

– Czy mam odpisać, że przepraszamy, ale nie będziemy mogli skorzystać z zaproszenia?

Przygotowałam sobie kolejną nitkę. Niebo było bezchmurne, w kolorze spranego błękitu. Zbliżało się lato, a z nim od dawna wyczekiwane ciepłe dni. Drzewa już niemal całkowicie okryły się liśćmi, wszystko budziło się do życia. Trawa i chwasty rosły na wyścigi, ptaki zajmowały się piskletami.

– Tak.

W pokoju zapadła cisza. Gdzieś w domu bzycała mucha. Często otwieraliśmy okna na oścież; kiedyś przez jedno z nich wleciał ptak, pokrzywnica. Złapał ją, zarzucając ręcznik na jej drżące ciało. Zaniósł zawiniątko do okna i chwilę potem ptak odleciał, trzepocząc szaro-czarnymi skrzydłami. Chciałam go objąć, ale był rozpalony gorączką, podenerwowany. Zaproszenie przez jakiś czas pokrywało się kurzem na okapie kominka, aż wreszcie je wyrzuciłam. Dużo

później odwiedziłam w Bath moją kuzynkę i wreszcie poznałam jej męża, ale zrobiłam to sama.

**TAŚMA 2: 31 LIPCA 2003, 12.26–13.07, C.D.**

**DETEKTYW RICHARDSON:** Wspomniałaś wcześniej, że go czesałaś?

**JILL ANDERSON:** Mhm.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Robiałaś to za niego?

**JILL ANDERSON:** Musiałam, bo bardzo urosły mu włosy. Zwykle strzygł się sam, ale przestał to robić, bo nie był w stanie podnieść rąk.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Rozumiem. Zdaje się, że od czasu do czasu lubił napić się whisky?

**JILL ANDERSON:** Owszem. Był Szkotem. Przez jakieś trzy miesiące stosował ją jako środek przeciwbólowy. Nie działała, więc praktycznie przestał pić alkohol. Przez ostatni rok prawie go nie tknął.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Mnie zdarza się sięgać po whisky pod pretekstem bólu zęba.

**JILL ANDERSON:** Tak, kiedy się poznaliśmy, też lubił wychodzić raz w tygodniu do pubu.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Ale to skończyło się jakiś czas temu, prawda?

**JILL ANDERSON:** Wiele lat temu. Grywał w snookera. Był doskonałym graczem, bardzo to lubił.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Wspomniałaś, że Paul szukał analogii między swoją chorobą a syndromem Zatoki Perskiej?

**JILL ANDERSON:** Owszem.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Mogłabyś opowiedzieć o tym nieco dokładniej?

**JILL ANDERSON:** Ponieważ rozpaczliwie szukaliśmy lekarstwa, ponieważ choroba na stałe weszła do naszego życia i ponieważ medycyna nie była w stanie mu pomóc, bardzo dużo czytaliśmy i kilka lat temu przyszło mu do głowy to skojarzenie. Często słuchał radia na falach krótkich i oglądał dużo telewizji satelitarnej.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Rozumiem. Ale nie służył w wojsku ani nie był nigdy w rejonie Zatoki?

**JILL ANDERSON:** Nie. Przysłuchiwał się dyskusjom w telewizji.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Muszę przejść do tematów, które mogą być dla ciebie bardzo stresujące.

**JILL ANDERSON:** Wiem.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Siedemnasty lipca.

**JILL ANDERSON:** Byliśmy ze sobą niewiarygodnie blisko.

Nadzorowałam go bez przerwy.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Słucham?

**JILL ANDERSON:** Nadzorowałam go bez przerwy. Sprawdzałam, w jakim jest nastroju. Niemal zawsze, kiedy z nim byłam, był zupełnie spokojny. Budził się spokojny i zasypiał w takim samym nastroju. Zachowywał się spokojnie i pogodnie, bez negatywnego nastawienia. Myślał pozytywnie, był bystry, miał poczucie humoru, prawie zawsze. Od czasu do czasu, co łatwo można zrozumieć, ogarniał go gniew, robił się sfrustrowany i dawał się ponieść emocjom. Wybuchał, ale po dziesięciu, dwudziestu minutach wszystko wracało do normy. Takie właśnie były nasze stosunki. W weekend przed śmiercią czuł się gorzej niż zwykle. Wyglądał też gorzej, i to było okropne. Przez cały weekend płakaliśmy razem, a ja błagałam go, żeby nie umierał. Przytaczałam wszystkie argumenty, jakie przyszły mi do głowy, i w końcu oboje uwierzyliśmy, że wyzdrowieje. „Wyjdiesz na prostą” – powtarzałam. – Wstaniesz, będziesz chodzić, wydobrzejesz. Jestem pewna”. Myślę, że w końcu nie mógł już znieść bólu.

## GRUDZIEŃ 2002

Chciał zejść na parter, ale w końcu włączył telewizor w sypialni. Odbiornik stał na sosnowej szafce, którą zrobił specjalnie na telewizor, magnetowid i tuner satelitarny. Szafka miała dwie półki oraz dużą pustą przestrzeń na dole, do której zamierzał dorobić drzwiczki. Zaczął pracę przed rokiem. Był sfrustrowany, ponieważ choroba ograniczała mu ruchy jak kaftan bezpieczeństwa. Najchętniej wyrzuciłby telewizor przez okno. Miał już dosyć gapienia się w ekran. To był niewielki stary telewizor w czarnej obudowie. Nie miał telegazety, co bardzo irytowało Paula. Kupiony z drugiej ręki duży telewizor, który stał w salonie, zepsuł się. Często próbował go naprawić. Przełączał kanały, aż w końcu wybrał ten, na którym nadawano film o pingwinach. Kiedy większość pingwinów poszła polować w morzu, przypląnęły foki i pożarły jednego, który został.

Usłyszałam, jak się porusza, i zaniiosłam mu herbatę. Wymieniliśmy jak zwykle kilka tych samych miłych słów. Wiedział, że na niego czekam. Prędej czy później musiał zejść na dół. Zdobył się na wysiłek i pokonał drewniane stopnie dzielące go od salonu na parterze. Na podłodze leżała tam taka sama zielona wykładzina jak w sypialni, kanapa była przykryta różnokolorową narzutą. Naprzeciwko kanapy stały dwa szare pluszowe fotele, a między nimi niski mahoniowy stolik, który kiedyś należał do mojej babki. Dwa okna znajdowały się w tych samych miejscach co okna w sypialni. Przez jedno widać było kasztanowiec, z drugiego natomiast roztaczał się widok na wysypane żwirem podwórze i zaczynające się zaraz za nim pola. Na przeciwległej ścianie stał kominek z żeliwnym paleniskiem, w którym buzował ogień. Pod drewnem zawsze układaliśmy warstwę węgla, żeby ogień lepiej się palił. Nasz nowy dostawca powiedział Paulowi, że węgiel pochodzi z Ameryki Południowej, ponieważ nasz, angielski, stał się niezwykle trudny do zdobycia. Ten południowoamerykański był niezwykle twardy, przypominał grafit i strzelał po rozpaleniu. Drobne kawałeczki często wyskakiwały z paleniska i spadały na rozłożony przed kominkiem dywanik. Jedwabny dywanik, w odcieniach fioletu, purpury i indygo był podarunkiem od kogoś z mojej rodziny. Przedstawiono na nim sceny batalistyczne z odległej przeszłości: wojownicy na koniach, z mieczami i włóczniami. Tak się jakoś działo, że rozżarzone odpryski nigdy nie podpaliły dywanika; gasły, zanim go dotęły, niczym fajerwerki na nocnym niebie.

Zadzwoiłam tam, gdzie miałam zadzwonić, i teraz siedziałam na kanapie, gapiąc się w przestrzeń. Piekły mnie policzki – być może dlatego, że niedawno wróciłam z codziennego spaceru, a może dlatego, że siedziałam blisko kominka. Na obramowaniu jego okapu płonęły białe zapachowe świece; ich blask odbijał się

od obudowy. Z boku, na stoliku, stał pleciony koszyk z zielonymi jabłkami, granatami i mandarynkami. Na drugim stoliku leżał półmisek pełen fig oraz pudełko z tureckimi łakociami, na parapecie miska z kasztanami czekającymi na upieczenie w ogniu. Pokój był ozdobiony bluszczem, jemiolą i ostrokrzewem narwanymi z żywopłotów. Jagody ostrokrzewu błyszcząły w blasku płomieni. W powietrzu czuć było zapach liści.

Miałam na sobie bluzkę z czerwonego aksamitu i czarne spodnie. Założyłam naszyjnik, który kupił mi na pierwsze wspólne święta, oraz bransoletkę, także prezent z początków naszego związku. Co roku nosiłam je w ten jeden, szczególny dzień. Założyłam też skarpetki w renifery. Przysłała mi je przyjaciółka, ta sama, od której dostaliśmy dwie czerwone filcowe czapki w gwiazdki, z białymi pomponami. Przyjrzał im się, kiedy jeszcze leżały pod choinką.

– Założymy je za rok, kiedy będziesz zdrowy – powiedziałam.

Pobliskie miasteczko Ripon celebrowało tradycyjne coroczne niepowodzenie: przywieziona z Norwegii choinka, którą ustawiono w rynku, okazała się krzywa, zastąpiono ją więc inną, również krzywą. W związku z tym drugie drzewko podzieliło los pierwszego. Trzecia choinka była prawie prosta. Obywatele przyjęli to z umiarkowanym zadowoleniem.

Nasze drzewko prawie sięgało sufitu, co wcale nie znaczy, że było bardzo wysokie. Sufit, który podtrzymywały czarne dębowe belki, zrobiony był z pomalowanych na biało desek. Goście mający ponad metr osiemdziesiąt wzrostu musieli się schylać, żeby nie uderzyć w nie głową. Ponieważ Paul miał metr siedemdziesiąt siedem, ja zaś metr pięćdziesiąt dziewięć, byliśmy bezpieczni. Zamierzał pojechać ze mną po choinkę do pobliskiej szkółki, ale akurat tego dnia nie był w stanie wyjść z domu. Kupowanie choinki należało do jego ulubionych czynności. Ozdobiliśmy drzewko światełkami oraz najróżniejszymi świecidełkami, także ręcznie robionymi, starymi bombkami i łańcuchami, migoczącymi w blasku lampek. Pod choinką piętrzyły się stosy prezentów owiniętych w kolorowy papier, ze wstążkami i kokardami.

Podniosłam się z kanapy i podeszłam do Paula. Pocałowaliśmy się w policzki, po czym schyliłam się po prezenty. Był bardzo osłabiony, więc otwierałam je za niego. Dostał czerwony, puszysty szlafrok z niebieskim obszyciem.

– Miś Rupert – powiedział, siedząc na kanapie i głaszcząc miękki materiał. Uśmiechał się.

Dostał też tradycyjne szkockie upominki: kruche ciasteczka, czekoladki, trzy pary skarpet, dwie flanelowe koszule w kratę, piżamę oraz cienki, wełniany, zielono-błękitny sweter. Założony pod kurtkę, powinien dobrze chronić przed chłodem. Do tego gry i książki. Moja rodzina podarowała mu książkę o historii Anglii i drugą, o angielskich kwiatach. Wrócił do łóżka. Zbyt źle się czuł, żeby



patrzeć, jak otwieram moje prezenty. Sama je wybrałam, zapakowałam i udawałam, że są od niego. Kupiłam to, co uważałam za stosowne, a później mu o tym powiedziałam.

Przyniosłam jedzenie. Zrobiłam gęś. Pierwszy raz w życiu jadł coś takiego. Była tłusta i odrobinę przesolona, ale smaczna, jak kurczak. Na talerzu piętrzyły się kawałki gęsiny, ziemniaki, tłuczone i pieczone, marchewka, fasolka, kalafior, brokuły i nadzienie, wszystko polane sosem. Ułożyłam mu poduszki w taki sposób, żeby mógł usiąść i trzymać tacę na kolanach. Dziobał widelcem. Nie był w stanie zjeść wszystkiego. Ja jadłam na dole. Stół ustawiliśmy na werandzie, która pełniła wiele funkcji, między innymi jadalni. Popatrzył na stół ze srebrną zastawą, kieliszkami do wina, serwetkami i świecami.

Przyszłam po jego talerz i zniosłam go do kuchni znajdującej się pod łazienką i małą sypialnią, którą przerobiliśmy na pracownię. Nie słyszał, co robię, ale wiedział, że sprzątam, tak jak niemal wszyscy w całym kraju o tej porze. Było późne popołudnie, światło dogasało. Dzień był suchy i rześki, słoneczny, jasny. Poskręcane, nagie gałęzie kasztanowca rysowały się ostro na tle fioletowego nieba. Przeskakiwał z kanału na kanał. Słuchał Verdiego na małym odtwarzaczu CD. Tego roku nie czuł się na siłach, żeby zobaczyć jeden z filmów, które zwykle oglądaliśmy. Po raz pierwszy daliśmy sobie z tym spokój. Przecież możemy wrócić do tego zwyczaju za rok, myśleliśmy oboje. *It's a Wonderful Life*, *Scrooge*, *A Miracle on 34th Street* czy *The Snowman* mogły poczekać. Będą stały cicho w dolnej części szafki, razem z innymi kasetami, które zgromadził.

Później wieczorem znowu zszedł na dół, ślizgając się po schodach. Kilka razy wchodziłam na górę, do sypialni, i siedziałam przy nim. Kładłam się obok, masowałam go. Masaż czoła nazywał „niedźwiedzim masażem”. Takie odwiedziny stanowiły codzienny wieczorny rytuał. Przygotowałam grę: walec z przezroczystego plastiku, przez który przechodziły krzyżujące się patyczki. Na patyczkach leżały kamyki. Zadaniem gracza było usunięcie jak największej liczby patyczków w taki sposób, żeby żaden kamyk nie spadł na dno. On zaczynał. Postawiłam walec na stoliku do kawy, ale okazało się, że Paul nie jest w stanie pochylić się tak nisko, a poza tym ręce odmawiały mu posłuszeństwa. Stał więc tylko i przyglądał się, jak ja to robię. Rozmawialiśmy. Mówił mi o różnych rzeczach, o swoich pomysłach i przemyśleniach, a ja słuchałam. Wyjawiał mi pewien sekret, uważnie obserwując moją twarz. Byłam zafascynowana. Zaproponowałam mu szklaneczkę szkockiej whisky, jego ulubionego trunku, ale odmówił. Od jakiegoś czasu zapach alkoholu powodował u niego mdłości. Został na dole tyle, ile mógł, aż wreszcie zmęczenie i przenikliwy ból wzięły górę. Wrócił do łóżka. Najbardziej lubił takie święta, kiedy przy stole siedziało mnóstwo ludzi, ale te święta były ciche i spokojne. Uwielbiał Boże Narodzenie.

## **TAŚMA 2: 31 LIPCA 2003, 12.26–13.07, C.D.**

**DETEKTYW RICHARDSON:** Wydaje ci się, że właśnie wtedy podjął ostateczną decyzję?

**JILL ANDERSON:** Tak, bo tak jak panu mówię, do tej pory błagałam go i przekonywałam, żeby jednak nie rezygnował, żeby żył, i on jakoś dawał sobie radę. Miał niesamowite poczucie humoru, dużo rozmawialiśmy o przyszłości. Był całkiem rozmowny, snuliśmy plany na przyszłość, po tym, jak odzyska zdrowie.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Rozumiem.

**JILL ANDERSON:** To wszystko poprzedzało wydarzenia z poniedziałku, wtorku i środy. Ten tydzień był całkiem zwyczajny, niczym nie różnił się od innych.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Środa była siedemnastego, jeśli się nie mylę?

**JILL ANDERSON:** Tak. Pamiętam, że to był niedobry weekend. Wszystko mi się już trochę miesza, ale to pamiętam.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Pozbierał się jakoś?

**JILL ANDERSON:** Rozmawialiśmy nie tylko o tym, że chce umrzeć. Poruszaliśmy wiele innych tematów. To był kiepski weekend przede wszystkim dlatego, że dużo płakaliśmy.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Rozumiem.

**JILL ANDERSON:** Dziewięćdziesiąt procent rozmów dotyczyło przyszłości. Leżąc w łóżku, udzielał mi porad biznesowych. Zapowiedział, że jak tylko wydobrzeje, zrobi nam meble do sypialni. Kiedyś myśleliśmy o przeprowadzce do Devon albo na południe Francji. Znowu zaczęliśmy rozmawiać o tych planach.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Czyli można powiedzieć, że dawałaś mu pozytywną energię do życia?

**JILL ANDERSON:** Bez przerwy. Ciągle.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Mam na myśli ten weekend.

**JILL ANDERSON:** Tak. Był wybitnie inteligentny, prowadziliśmy cudowne rozmowy. Mówiliśmy o tym, co się dzieje w świecie, o przyjaciołach, o tym, co robią ludzie. Ot, zwyczajne codzienne rozmowy. Często się śmialiśmy, bo lubiliśmy śmiać się ze świata, polityków i wszystkiego, z czego można się śmiać.

*Paul Anderson był inteligentnym człowiekiem w pełni władz umysłowych. Postanowił zakończyć swoje życie z powodu nieustającego cierpienia. Osiem lat wizyt u lekarzy, osiem lat szpitalnych badań – wszyscy wiemy, co to oznacza. Kolejki, oczekiwanie na wyniki badań, i tak dalej. Lekarstwo, nadzieja na to, że zadziała, i smutek, kiedy się nie udawało. Próbował wszystkiego. Kierowany impulsem, przedawkował leki.*

Z mowy końcowej obrońcy

### **TAŚMA 3: 31 LIPCA 2003, 13.27–14.17**

**DETEKTYW RICHARDSON:** Na początek chciałbym powiedzieć, że odmalowałaś bardzo dokładny obraz choroby Paula.

**JILL ANDERSON:** Aha.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Dzięki temu wiemy, jak bardzo cierpiał i jak bardzo był chory.

**JILL ANDERSON:** Aha.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Chciałbym zaproponować, żebyśmy teraz zajęli się szczegółami.

**JILL ANDERSON:** Aha.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Trochę się martwię, że to już trzecie przesłuchanie. Masz za sobą już dwa.

**JILL ANDERSON:** Aha.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Dziękuję za twoją dotychczasową szczerść, ale choć wiem, że to będzie dla ciebie trudne, muszę zapytać cię o szczegóły tamtego dnia, siedemnastego.

**JILL ANDERSON:** Aha.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Czy wiesz, że jako pierwszy na miejscu zjawił się oficer Boulton?

**JILL ANDERSON:** Tak.

**DETEKTYW RICHARDSON:** I że w takich sytuacjach obowiązkiem policjanta jest złożenie raportu koronerowi?

**JILL ANDERSON:** Tak.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Zawsze tak się dzieje wtedy, gdy na miejscu nie ma lekarza, który mógłby wystawić świadectwo zgonu.

**JILL ANDERSON:** Tak.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Mam tutaj kopię tego raportu. W punkcie drugim podaje się miejsce zgonu oraz datę, godzinę i tożsamość osoby, która znalazła zwłoki. Rozmawiałem z oficer Boulton, ponieważ tu, w punkcie drugim, jest napisane, że ciało zostało znalezione o dziesiątej zero zero, osiemnastego lipca, przez żonę zmarłego, Jill Clare Anderson, czyli przez ciebie.

**JILL ANDERSON:** Tak.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Zastanowiło mnie to, że w dokumencie figuruje godzina dziesiąta zero zero, podczas gdy ty powiedziałaś mi niedawno, że nastąpiło to o piątej rano.

**JILL ANDERSON:** Wtedy zsiniał. O piątej rano.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Rozumiem.

**JILL ANDERSON:** Czyli nie było już ratunku. Umarł o dziewiątej trzydzieści.

**DETEKTYW RICHARDSON:** A więc znalazłaś go martwego osiemnastego lipca między dziewiątą a dziesiątą rano?

**JILL ANDERSON:** Tak.

**DETEKTYW RICHARDSON:** A raczej, stwierdziłaś wtedy, że nie żyje?

**JILL ANDERSON:** Tak.

**DETEKTYW RICHARDSON:** W trakcie przesłuchania powiedziałaś, że znalazłaś go między piątą a szóstą rano, i że był siny.

**JILL ANDERSON:** Tak.

**DETEKTYW RICHARDSON:** I że wiedziałaś, że na pewno umrze.

**JILL ANDERSON:** Tak.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Czy przyszła ci do głowy myśl, żeby jednak, mimo wszystko, zadzwonić po karetkę?

**JILL ANDERSON:** Tak, ale... Nie wydawało mi się... To znaczy, nie sądziłam...

**DETEKTYW RICHARDSON:** Czy istnieje jakiś konkretny powód, dla którego tego nie zrobiłaś, biorąc pod uwagę, że przy dwóch poprzednich próbach samobójczych jednak wezwałaś pomoc? Wtedy, kiedy próbował otruć się spalinami, wyciągnęłaś gumowy wąż z samochodu.

**JILL ANDERSON:** Tak, ale on próbował to zrobić jeszcze wiele razy.

**DETEKTYW RICHARDSON:** A więc czy jest jakiś powód, dla którego tym razem nie wezwałaś pomocy?

**JILL ANDERSON:** Był już siny.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Jednak, według tego, co mówisz, żył jeszcze przez około dwie godziny.

**JILL ANDERSON:** Po prostu kiedy zobaczyłam, że cały zsiniał, pomyślałam, że już nikt nie zdoła mu pomóc.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Czy przez cały wieczór, powiedzmy od siódmej, ani razu nie przyszło ci do głowy, żeby jednak zadzwonić po karetkę albo przynajmniej wezwać lekarza?

**JILL ANDERSON:** Nie, bo już przez to wszystko przechodziliśmy i jakoś doszedł do siebie. Kiedy wróciłam z Pateley Bridge, obiecał mi, że już nigdy nie zrobi czegoś takiego. Ucieszyłam się, że zasnął, a już wcześniej zdarzało mu się pić whisky po wzięciu większej dawki leków.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Ale czy wtedy zostawiał listy pożegnalne?

**JILL ANDERSON:** To naprawdę zdarzało się dość często. Usuwałam wszystkie listy.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Usuwałaś, czyli wyrzucałaś?

**JILL ANDERSON:** Tak.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Ale jeden zachowałaś, zgadza się?

**JILL ANDERSON:** Tak. Pochodzi z... Nie pamiętam dokładnej daty. Jest szczególnie, bo Paul obciął sobie kosmyk włosów i przykleił do kartki. Zdecydowałam się go zatrzymać.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Jill, przyjmuję do wiadomości to, że sam dawkował sobie lekarstwa.

**JILL ANDERSON:** Zgadza się.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Szczerze mówiąc, nie wydaje mi się, żeby to stanowiło jakiś problem.

**JILL ANDERSON:** Aha.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Podobnie jak to, że pił, ile i kiedy chciał. Rozumiem też, że taka choroba każdego uczyniłaby nieszczęśliwym, bo przecież jeśli ktoś cierpi, to rzadko bywa szczęśliwy, a ty, zdaje się, wspominałaś kilkakrotnie, że on bardzo cierpiał, prawda?

**JILL ANDERSON:** O, tak.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Czy tym razem mogło być tak, że Paul miał już dosyć, a ty dobrze o tym wiedziałaś i dlatego pomyślałaś, że będzie dobrze, jeśli... To chyba niezbyt dobre określenie. Powiedzmy, że tym razem pozwoliłaś mu zrobić to, co chciał.

**JILL ANDERSON:** Sama nie wiem. Najbardziej ze wszystkiego chciałam, żeby żył, i tak jak zwykle miałam nadzieję, że jednak się obudzi.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Bo bardzo go kochałaś.

**JILL ANDERSON:** Tak, bardzo.

## CZERWIEC 2001

Odwrócił się – raz, drugi. Stał przy zlewozmywaku w Westowe Cottage. Złapał swoją pierwszą dużą rybę. Ważyła ponad trzy kilogramy. Uśmiechał się z zadowoleniem. Podniósł nóż, który zaśnił w blasku słońca. Naostrzył go wcześniej. Przewrócił pstrąga na drugi bok, szare, połyskujące błękitem i zielenią łuski wciąż jeszcze były mokre. Odciął głowę jednym pociągnięciem noża, potem to samo zrobił z ogonem i płetwami. Odwrócił rybę srebrzystym brzuchem do góry i rozplatał go na całej długości. Wyjął wnętrzności, ponownie położył pstrąga na boku. Wykonał długie nacięcie wzdłuż kręgosłupa, po czym sprawnie oddzielił różowe mięso od ości. Po kilku minutach było po wszystkim.

– Gdzie się tego nauczyłeś?

– Pracowałem w przetwórni łososi w Szkocji. – Położył na talerzu dwa duże filety i przykrył je papierowym ręcznikiem. – Muchy – wyjaśnił.

Skinęłam głowę. Latem dzieliliśmy dom z różnymi odrażającymi stworzeniami. Nie było sposobu, żeby się ich pozbyć. Wchodząc zimą do komórki z zapasami, zawsze spoglądałam w górę; pod sufitem, między dębowymi belkami, wisiały nieruchomo motyle, ćmy i poczwarki. Kiedyś, jeszcze w Rose Cottage, przynieśliśmy z dworu znalezionej na ziemi poczwarkę i umieściliśmy ją w szklanym słoju na parapecie. Byliśmy ciekawi, czy zamieni się w motyla, ale nic takiego nie nastąpiło. Widocznie nie udało nam się zapewnić jej odpowiednich warunków.

Sprzątnął resztki po rybie, zawiązał w gazetę i zaniósł na dół, do salonu, żeby spalić je w kominku. Nawet latem na jego palenisku zawsze żarzyło się trochę polan, żeby można było wieczorem rozpalić normalny ogień. Wyszorowałam pod bieżącą wodą młode ziemniaki; spod delikatnej różowej skórki wyłaniał się biały miąższ. Na patelni skwierczał już tłuszcz. Wrzuciłam na nią ziemniaki. Na talerzu czekała już pokrojona w plasterki cytryna i świeżo wyłuskany groszek. Zamierzałam przez jakiś czas dusić pstrąga w maśle, a następnie podać udekorowanego natką pietruszki z grządki warzywnej tuż pod kuchennym oknem. Obok grządki mieszkał nornik. Zmywając naczynia, często widziałam, jak przemyka między warzywami. Zimą poruszał się jeszcze szybciej.

**TAŚMA 3: 31 LIPCA 2003, 13.27–14.17, C.D.**

**DETEKTYW RICHARDSON:** I nie chciałaś, żeby cierpiał.

**JILL ANDERSON:** Nikt by nie chciał. Właśnie dlatego jeździłam po lekarstwa dla niego.

**DETEKTYW RICHARDSON:** A dla niego to było ostateczne wyzwolenie.

**JILL ANDERSON:** Chciałam, żeby żył, i zamierzałam obiecać, że wystaram się dla niego o terapię laserową barku.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Detektywie Bosomworth, czy chciałby pan o coś zapytać?

**DETEKTYW BOSOMWORTH:** Mam pewne wątpliwości, Jill. Jak zauważyłaś, przez cały czas robię notatki.

**JILL ANDERSON:** Tak.

**DETEKTYW BOSOMWORTH:** Wspomniałaś wcześniej, że kiedy wróciłaś do domu, a on powiedział te słowa, albo słowa, które znaczyły tyle co „wybacz, wziąłem za dużo”, to ty nie byłaś pewna, a właściwie nie wiedziałaś, czy to prawda czy nie, tak?

**JILL ANDERSON:** Tak, bo on już wiele razy mówił takie rzeczy.

**DETEKTYW BOSOMWORTH:** Rozumiem.

**JILL ANDERSON:** To trwało prawie bez przerwy, niestety.

**DETEKTYW BOSOMWORTH:** Tym razem różnica polegała na tym, że spokojnie zasnął.

**JILL ANDERSON:** Właśnie.

**DETEKTYW BOSOMWORTH:** W przeciwieństwie do innych sytuacji, kiedy zdarzało się coś podobnego.

**JILL ANDERSON:** Bywały okresy, kiedy mógł normalnie spać, i zawsze była to dla mnie ogromna ulga. Zespół chronicznego zmęczenia powoduje duże problemy ze snem, więc kiedy już zasnął, pozwalałam mu spać do woli.

**DETEKTYW BOSOMWORTH:** Akurat tego dnia zaistniały szczególne okoliczności. Myślę o whisky, o której wspomniałaś. Poza tym powiedział coś, co można zinterpretować jako: „Wybacz, wziąłem za dużo”, zostawił list, spał głęboko i spokojnie... Cztery niezwykle zdarzenia naraz, a ty mimo to wciąż nie wiedziałaś, co o tym myśleć.

**JILL ANDERSON:** To przez to, co działo się wcześniej, zanim napił się whisky. Wziął trochę za dużo leków, a ja byłam wyczerpana i zestresowana, i nie wydaje mi się, żebym tamtej nocy mogła logicznie myśleć. Zobaczyłam, że śpi, i pomyślałam sobie, że powinnam dać mu się spokojnie wyspać. Tak zawsze było



wcześniej, a kiedy obudził się o drugiej w nocy, pomyślałam sobie, że nie ma żadnego problemu, i znowu położyłam się spać.

**DETEKTYW BOSOWORTH:** Rozmawialiśmy jeszcze o czymś, co różniło ten tydzień od poprzednich. Nazwałaś to „niedobrym okresem”. Chodzi o niekończące się dyskusje i o myśli samobójcze.

**JILL ANDERSON:** Zgadza się.

**DETEKTYW BOSOMWORTH:** Domyślam się, że musisz być już bardzo zmęczona...

**JILL ANDERSON:** Tak.

**DETEKTYW BOSOMWORTH:** ...ale staram się pokazać, co było inaczej niż zwykle tego wieczoru, kiedy Paul powiedział ci, że wziął za dużo leków. Staram się odtworzyć twoje rozumowanie i zastanawiam się, jak to możliwe, że nawet jeśli nie miałaś całkowitej pewności, że mówi prawdę, nie wezwałaś pomocy medycznej?

**JILL ANDERSON:** Czy mogę porozmawiać z moim prawnikiem?

**DETEKTYW BOSOMWORTH:** Tak, oczywiście. Przerwiemy przesłuchanie, żebyś mogła zasięgnąć porady prawnej.

MARZEC 2001

Nie spał przez całą noc. Musieliśmy coś zrobić. Wezwałam lekarza. Kiedy przyjechała – to była kobieta – właśnie podlewałam rozsady na tackach. Było ich mnóstwo. Stały na parapetach na werandzie.

– Widzę, że pasjonujemy się ogrodnictwem? – rzuciła lekkim tonem, mijając mnie w drodze ku schodom.

Byłam w skarpetkach, bez kapci. Kiedy wspinałyśmy się po stopniach, odwróciła się i zapytała: – Czy pani szyje?

– Niewiele.

– To dobrze. Nie będzie igieł na wykładzinie.

Zachowywała się oschle i szorstko. Zastanawiałam się dlaczego. Wielokrotnie dyskutowaliśmy z nią na wiele tematów, między innymi o istnieniu zespołu ustawicznego zmęczenia. Dotarliśmy na piętro, weszła do sypialni przede mną i zaczęła badanie.

– Czy pan w ogóle wstaje?

– Tak – odparł. – Kiedy tylko mogę.

– A nie mógłby pan raz dziennie przejść się na spacer? – zapytała niemiłym tonem.

– Nie. Robiłbym to, gdybym był w stanie. Miała pani kiedyś grypę?

Skinęła głową.

– No to proszę pomnożyć to przez dziesięć.

Coraz bardziej się niecierpliwił. Siedział w łóżku, brwi mu drgały. Lekarka miała zupełnie obojętną twarz. Może przyjechała prosto od jakiegoś dziecka w ostatniej fazie raka, pomyślałam.

– Czy może pani zrobić mi badania na żółtaczkę?

Bez słowa wbiła mu igłę i pobrała krew.

– Czy możemy dostać skierowanie do szpitala w Newcastle? – zapytałam. – Mają tam specjalistę. Znalazłam go przez Internet.

Powiedziała, że wypisze skierowanie, po czym rozejrzała się po sypialni i pomacała materac.

– Trochę za miękki.

Krew napłynęła mi do twarzy. Nie wierzyła nam. Zeszłam z nią na dół i odprowadziłam do samochodu. Patrzyłam, jak wsiada. Silnik nie chciał zapalić. Wsiadła i podeszła do mnie.

– Skończyła mi się benzyna.

Patrzyłyśmy na siebie.

– Pojadę do wsi i przywiozę – powiedziałam wreszcie.

Pojechałyśmy razem. Droga w obie strony nie zajęła wiele czasu. Przypuszczam, że dla niej było to jakieś urozmaicenie. Wręczając jej napełniony kanister, spojrzałam jej w oczy i poczułam z nią silną więź, jak kobieta z kobietą. Wiedziałam, że muszę jej wybaczyć. Paul też o tym wiedział. Nieco później, jeszcze w tym samym roku, zmieniliśmy lekarza pierwszego kontaktu na dyrektora przychodni, uważanego za najlepszego lekarza w okolicy. Był dobry dla Paula, choć podejrzewaliśmy, że nie wierzy w istnienie syndromu ustawicznego zmęczenia.

Kiedy parę godzin później zajrzałam do Paula, jak zwykle leżał na wznak. Odwrócił do mnie głowę i powiedział: – Jestem poduszczką na igły.

*Była dobrą kobietą i choć funkcjonariusze prowadzący przesłuchanie starali się postępować delikatnie i ze zrozumieniem, to jednak dla niej z pewnością było to zupełnie nowe, zapewne przerażające doświadczenie; musiała codziennie myśleć o fatalnym w skutkach przedawkowaniu i z pewnością wciąż o tym myśli.*

*Zrobiła coś, na co chyba większość z nas by się nie zdobyła: świadomie pozwoliła odejść człowiekowi, którego kochała, odsuwając własne pragnienia na dalszy plan. To swoje uczucia ma na myśli, mówiąc, że żałuje, że nie wezwała karetki. Uszanowała jego wolę odejścia z godnością we własnym domu, a nie w sterylnym szpitalnym łóżku, i zakończenia trwających od lat, nieprzerwanych cierpień. Zdecydowała się poświęcić część swego życia. Jestem przekonany, że należy to uznać za akt wielkiej odwagi.*

Z mowy końcowej obrońcy

**TAŚMA 3: 31 LIPCA 2003, 13.27–14.17, C.D.**

**DETEKTYW RICHARDSON:** Mieliśmy krótką przerwę w przesłuchaniu, żebyś mogła naradzić się ze swoim prawnikiem. Zgadza się, Jill?

**JILL ANDERSON:** Tak.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Czy w tym czasie pytaliśmy cię o coś?

**JILL ANDERSON:** Nie.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Przypominam ci o twoich prawach.

**DETEKTYW BOSOMWORTH:** Pytałem o okoliczności, pamiętasz?

**JILL ANDERSON:** To dla mnie niezwykle trudne. Właśnie straciłam najbliższego przyjaciela, chociaż bardzo chciałam, żeby żył, i świadomość, że mogłam postąpić inaczej, będzie mi towarzyszyła do końca życia. Teraz żałuję, że nie zadzwoniłam po karetkę. Nie mam pojęcia, dlaczego tak postąpiłam. Wydawało mi się, że jak się prześpi, poczuje się lepiej. Kiedy obudził się o drugiej w nocy, było tak jak zawsze. Wiem, że to się może wydawać trochę dziwne, no bo te lekarstwa, i list, i sen, ale... To już nam się zdarzało, choćby w poprzedni weekend. Samobójstwo na stałe weszło do naszego języka. Nie wezwałam pomocy, bo po prostu nie przypuszczałam, że coś takiego się wydarzy. Zawsze wychodził cało. Żył dalej.

**DETEKTYW BOSOMWORTH:** Bo ty zawsze go powstrzymywałaś. Opowiadałaś nam o gumowym wężu, który wyciągałaś z samochodu.

**JILL ANDERSON:** To prawda.

**DETEKTYW BOSOMWORTH:** Dzwoniłaś do szpitala po pomoc.

**JILL ANDERSON:** Zgadza się.

**DETEKTYW BOSOMWORTH:** Wcześniej, przy poprzednich próbach.

**JILL ANDERSON:** Tak.

**DETEKTYW BOSOMWORTH:** Czy to doświadczenie, a raczej te doświadczenia, nie skłoniły cię do przesadnej ostrożności, kiedy powiedział ci, że przedawkował leki? Szczególnie zważywszy na poprzedzające wydarzenia?

**JILL ANDERSON:** On już to robił wcześniej. Nikt tego nigdzie nie zgłaszał ani nie nagrywał, bo to nie miało sensu. Zawsze się budził i wszystko zaczynało się od początku. Kiedyś połknął trutkę na myszy i całkiem zsiniały mu usta. Kiedy brał zoplicon, wpadał na meble i miewał halucynacje. Nie zauważyłam różnicy, bo coś takiego działo się praktycznie bez przerwy, więc zdążyliśmy się przyzwyczaić. Wygląda na to, że trochę za mało się tym przejmowaliśmy.

## STYCZEŃ 1996

Brnęliśmy przez zmrożony, trzeszczący śnieg. Łaskotały nas stopy. Szliśmy po powierzchni księżycy, a w każdym razie tak sobie wyobrażaliśmy. Trzymaliśmy się za ręce, żeby się nie poślizgnąć. Śnieg sypał przez cały dzień. W telewizji reporterzy donosili, że cały kraj został sparaliżowany.

O drugiej po południu stało się jasne, że w interesach nic ważnego już się dzisiaj raczej nie wydarzy. Wyłączyliśmy komputery i włączyliśmy automatyczną sekretarkę, ciesząc się wolnością i czując się tak, jakbyśmy znowu mieli po siedem lat. Biegaliśmy po naszym mieszkaniu w Pateley Bridge, zakładając grube swetry i wodoodporne kurtki. Nie mogliśmy się doczekać wyprawy w przysypany śniegiem świat. Co chwila spoglądaliśmy w okna. Mimo zasłony z ciągle padającego śniegu, widzieliśmy, że okolica kompletnie się zmieniła. Skaliste pagórki na wrzosowiskach okryły się bielą, ale najwspanialsza była cisza, która spowiła całe miasto, kiedy ruch kołowy całkowicie ustał i umilkły głosy ludzi.

Podeksytowani, chwytając się za ręce i podtrzymując, ruszyliśmy przez kopny śnieg na High Street. Wszystkie sklepy pozamykano, wokół nie było żywej duszy. Nasze twarze promieniały szczęściem, moja chyba bardziej niż jego. Celem naszej wyprawy było siedlisko borsuków zaraz za miastem nad rzeką Nidd, która przepływała przez Pateley Bridge. Mieliśmy nadzieję, że na świeżym śniegu łatwo dostrzeżemy tropy. Wyszuliśmy teorię, że burza śnieżna skłoni te nocne zwierzęta do opuszczenia nor w celu zdobycia pożywienia, a my dzięki temu zdołamy je zobaczyć.

Brnęliśmy przez śnieg, a nasze ukryte w rękawiczkach dłonie ścisnęły się tak mocno, jakby stanowiły całość. Opowiadał o zasadach przetrwania w trudnych warunkach, a ja go słuchałam. Najważniejsze było zachowanie rozsądku: nie zmoknąć, znaleźć schronienie, żywność i wodę, zbudować igloo. Rozmawialiśmy o życiu Eskimosów, jak to musi być, kiedy są już bardzo, bardzo starzy, i pewnego dnia wychodzą w śnieżną pustkę i już nie wracają. O tym, jak ciepło jest w igloo, z tymi wszystkimi skórmi niedźwiedzi polarnych i fok. Wydawało nam się, że na borsuki nigdy nie polowano ani ich nie zjadano, ale nie byliśmy tego pewni.

Szliśmy dalej. Śnieg wciąż sypał. Przeszliśmy przez most na drugi brzeg rzeki. Znajdowała się tam dobrze oznakowana ścieżka dla turystów, dziś jednak ekscytujące było to, że znikły wszystkie znaki oraz granice ścieżki. Obejrzeliśmy się na przykryte białą pierzyną szare, kamienne miasto. Śnieg padał dokoła nas, wciskał się nam w oczy. Otarliśmy mokre twarze i ruszyliśmy dalej. Jakże podobało nam się to odstępstwo od rutyny, możliwość zrobienia czegoś innego niż zwykle!

Piętnaście minut później, od stóp do głów pokryci lodowymi płatkami, oboje wyglądaliśmy jak bałwany. Mrugaliśmy zawzięcie, uśmiechaliśmy się do siebie, śpiewaliśmy i tańczyliśmy. Śnieg nas ekscytował. Podobała nam się jego obojętność na wszystko, to, że przykrył całą okolicę, zamieniając ją w fałdki i pagórki, że sprawił, iż nie wiedzieliśmy dokładnie, którędy prowadzą ścieżki. Ulepiłam śnieżkę i rzuciłam w niego. Zrobił to samo. Biegliśmy w podskokach, roześmiani, z nadzieją, że może zobaczymy borsuka.

Dotarliśmy do borsuczej nory, ale nic się nie poruszało. Śnieg nie sypał już tak gęsto, panowały cisza i spokój. Nie było żadnych śladów. Staliśmy, przyjmując słodkie pocałunki spadających na nas płatków śniegu. Nie widzieliśmy drzew, pól ani drogi do domu. Doszliśmy do wniosku, że borsuki są równie rozsądne jak inne stworzenia i zaszyły się głęboko pod ziemią, pod naszymi stopami, oby z zapasami żywności, które pozwolą im przetrwać tę pogodę. Być może siedzą przy ogniu buzującym w kominku, opowiadając legendy o królu Arturze słuchającym ich z zachwytem dzieciom, stłoczonym u stóp rodziców odzianych w czarno-białe futra.

Zawróciliśmy. Warstwa śniegu była znacznie grubsza, sięgała ponad cholewy naszych butów, miejscami nawet do kolan. Pogorszyła się widoczność, szło się z większym trudem, nosy poczerwieniały nam z zimna. Uśmiechaliśmy się do siebie, cel wyprawy co prawda nie został osiągnięty, ale przynajmniej spróbowaliśmy. Teraz walczyliśmy z siłami natury, żeby wrócić. Kto wie, może zasy już niedługo sięgną nam do piersi. Albo skęcimy nie tam gdzie trzeba i wpadniemy w rozpadlinę. Po jakimś czasie znajdą nasze ciała, zamrożone, z szeroko otwartymi oczami.

Chichocząc, chwyciliśmy się ponownie za ręce, spleliśmy palce ukryte w wełnianych rękawiczkach. Wspólnie pokonamy śnieżycę. Miasto majaczyło przed nami jak biała zasłona. Myśleliśmy o rozpadlinach, o akcji ratunkowej. Czy ktoś nas będzie szukał? Czy ktoś się zaniepokoi? Skąd będą wiedzieć, że coś nam się stało?

Trzymaliśmy się za ręce jeszcze mocniej. Miejscami śnieg miał ponad pół metra głębokości, na ścieżce było pełno dołów. Jeden niewłaściwy krok oznaczał nieszczęście. W tej rzece ginęli już ludzie. Staraliśmy się oszacować, ile jeszcze dzieli nas od czarnej, wzburzonej wody, czekającej tylko, żebyśmy popełnili błąd. Powoli brnęliśmy przez zasy. Robiło się coraz zimniej, ale śnieg zaczął wyraźnie rzednąć. Szliśmy jedno za drugim, po swoich śladach. On prowadził, ja podążałam za nim; miasto powoli zaczęło wychylać się ku nam zza zasłony, przez biel coraz wyraźniej przebijały szarość, granat, czerń.

Szliśmy środkiem High Street. Na ulicy nie było ani jednego samochodu. Zapadał zmierzch. Uliczne latarnie jeszcze się nie włączyły, mrok rozpraszało jedynie światło sączące się z okien nad sklepami. Zaraz po powrocie do domu

wzięliśmy kąpiel. Nasze zaróżowione ciała z trudem wcisnęły się do wanny. Zapaliliśmy świece, nacieraliśmy się wzajemnie mydłem i olejkiem, zrobiliśmy mnóstwo piany. Wyszliśmy i piliśmy brandy, owinięci ręcznikami.

Tej nocy spaliśmy głęboko, śniąc o czarno-białych borsukach – ukrytych w norze, zadowolonych z życia. Kiedy wyjdą na zewnątrz, znajdą się w nowym świecie wypełnionym nieskalaną, czystą bielą. Śnieg padał przez całą noc. Kiedy się obudziliśmy, było go jeszcze więcej. Nic się nie poruszało.



### **TAŚMA 3: 31 LIPCA 2003, 13.27–14.17, C.D.**

**JILL ANDERSON:** To była całkiem zwyczajna część naszego życia. Większość rozmów miała pozytywny wydźwięk. Zamierzałam kupić mu większą antenę satelitarną. Przegadaliśmy o tym cały ranek. Wcześniej opowiadał o skrzyni na pościel, którą zamierzał zrobić. Mieliśmy mnóstwo planów. To wszystko jeszcze do mnie nie dotarło. Do końca życia będę się zastanawiać, czy dobrze zrobiłam, że nie wezwałam pomocy.

**DETEKTYW BOSOMWORTH:** To dobrze, że o tym wszystkim opowiadasz, ale musimy wrócić do tego, o czym wtedy myślałaś. Do tego, co się działo w twojej głowie. Naturalnie doceniam to wszystko, co mówisz o swoich przemyśleniach teraz, kiedy patrzysz na wszystko z dystansu.

**JILL ANDERSON:** Myślałam o tym, że to nie moja wina, że sam przedawkował leki.

**DETEKTYW BOSOMWORTH:** Obudził się o drugiej w nocy, tak?

**JILL ANDERSON:** Tak.

**DETEKTYW BOSOMWORTH:** Wcześniej wspomniałaś, że wydawało ci się, że wcale nie wziął większej dawki leków, zgadza się?

**JILL ANDERSON:** Tak.

**DETEKTYW BOSOMWORTH:** Doskonale.

**JILL ANDERSON:** Tak naprawdę nie miałam pojęcia, bo lekarstwa zawsze stały na szafce przy łóżku. Nie sprawdziłam, miałam zbyt wiele innych spraw na głowie.

**DETEKTYW BOSOMWORTH:** A więc kiedy się obudził? O drugiej?

**JILL ANDERSON:** Tak.

**DETEKTYW BOSOMWORTH:** Jak się czułaś?

**JILL ANDERSON:** Dobrze. Normalnie.

**DETEKTYW BOSOMWORTH:** Wspomniałaś, że doszłaś do wniosku, że jednak nie przedawkował?

**JILL ANDERSON:** Zgadza się.

**DETEKTYW BOSOMWORTH:** Z czego wynika, że początkowo byłaś innego zdania.

**JILL ANDERSON:** Musiałam zdać się na przecucie i dotychczasowe doświadczenia. Wydawało mi się, że będzie tak jak zawsze. Spał, więc uznałam, że powinnam pozwolić mu się wyspać. Wypił trochę za dużo, ale to nie było nic nowego. Nie mam pojęcia, co się działo w mojej głowie.

**DETEKTYW BOSOMWORTH:** Jill, czy w jakimś momencie zaświtało ci, że będzie lepiej, jeśli spokojnie odejdzie we śnie? Bardzo cierpiał, a ty byłaś tak

bardzo wyczerpana emocjonalnie i fizycznie...?

**JILL ANDERSON:** Nie. Przede wszystkim zależało mi na tym, żeby żył. Byłam w szoku, kiedy zjawiliście się u nas w domu. Nie wiedziałam, co mówię, wydawało mi się, że wyjdzie z tego, bo do tej pory zawsze jakoś wychodził. Teraz jestem nieszczęśliwa, bo go tu nie ma, a ja chciałabym znowu usłyszeć jego głos i znowu z nim rozmawiać, choćby tak jak przez kilka ostatnich dni. Wiem, że wygląda to tak, jakbyśmy byli skoncentrowani wyłącznie na śmierci, ale w rzeczywistości rozmawialiśmy o mnóstwie przyjemnych spraw. Miał po co żyć, tyle że spotkał go straszliwy pech. Złapał wirusa i zapadł na chorobę, z którą musieliśmy wspólnie walczyć. Wierzyliśmy, że damy sobie radę.

## LIPIEC 1998

Tego dnia wyruszyliśmy nad jezioro Eavestone. Znowu nadeszło lato. Zabraliśmy kostiumy kąpielowe. Najpierw on szedł przodem, potem zamieniliśmy się miejscami i ostrożnie schodziliśmy stromą ścieżką prowadzącą w dół lesistego zbocza, aż do jeziora. Wiosną w tej okolicy kwitną liczne różowe, czerwone i białe rododendrony. Dotarłszy nad wodę, zaczęliśmy wypatrywać kanadyjskich gęsi. Miały gniazdo na niewielkiej wysepce. Obserwowaliśmy je co roku. Teraz znikły. Zawsze zabierał atlas ptaków i lornetkę. Korzystaliśmy z niej na zmianę, przyglądając się pardwom, pojawiającym się i znikającym w zaroślach nad brzegiem. To hałaśliwe, szybkie, ruchliwe ptaki. Tu i tam zerowały albo sprzeczały się czernice i sterniczki. Szliśmy wzdłuż brzegu, a woda migotała jak w bajce. Mijaliśmy nasze ulubione miejsca. Jednym z nich był skalisty wzgórek o płaskim, porośniętym mchem szczycie. Szliśmy dalej. Otaczały nas sosny przemieszane z dębami, bukami i cisami. Wydawało mi się, że kiedy jesteśmy nad jeziorem, całe zło zostaje gdzieś daleko z tyłu. Czułam się bezpiecznie jak w łonie matki. W pobliżu nie przebiegała żadna uczęszczana droga, słychać było tylko szelest liści poruszanych wiatrem i bzyczenie owadów. Uwijały się wszędzie, z włączonymi „radarami”, mijając się i wyprzedzając. Ważki zrywały się do lotu i zawisały nieruchomo w powietrzu.

Wspominaliśmy czasy, kiedy siadaliśmy na brzegu i wykorzystywaliśmy ortalionowe spodnie jako piknikowe obrusy. Nagle odnieśliśmy wrażenie, że ziemia porusza się wokół nas; po chwili okazało się, że otacza nas nieprzeliczone mrowie malutkich żabek. W końcu dotarliśmy na drugą stronę jeziora. Teren był w miarę płaski, Paul rozebrał się do spodenek i wszedł do lodowatej wody. Przypominał mi chudego węgorza; widziałam, jak drży na całym ciele. Przedarł się przez gęstą przybrzeżną roślinność, tam gdzie było głębiej, zanurkował kilka razy, zaczął pływać w lewo i prawo. A potem zniknął pod wodą. To był dla mnie szok. Podbiegłam do brzegu, zawołałam: „Nic ci nie jest?!”. Tonął. Wychylił głowę, rozpaczliwie złapał powietrze, opadł na dno, zaczął brnąć w moją stronę. Chwyciłam go, pociągnęłam, pomogłam wyjść na brzeg. Wszystko trwało zaledwie kilka sekund. Już nigdy więcej nie odważył się pływać. Twierdził, że jeśli zrobi to jeszcze choć raz, już nie wypłynie. Pływanie, podobnie jak tenis, pozostały jedynie we wspomnieniach i w sferze marzeń. Zakurzone rakiety wisiały w szopie, na wszelki wypadek.

### **TAŚMA 3: 31 LIPCA 2003, 13.27–14.17, C.D.**

**DETEKTYW BOSOMWORTH:** Powiedziałaś, że jesteś pewna, że między piątą a szóstą był już siny i że wtedy pomyślałaś „Tym razem to zrobił”. Co miałaś na myśli?

**JILL ANDERSON:** Nic z tego, co się stało, nie było przeze mnie przygotowane ani w żaden sposób zaplanowane. Gdybym weszła do sypialni i zobaczyła, że wziął za dużo leków, zrobiłabym wszystko, żeby je wypłuł albo zwymiotował, ale nie zrobiłam tego, bo mnie tam nie było.

**DETEKTYW BOSOMWORTH:** Kto podjął decyzję?

**JILL ANDERSON:** Nie mogłam też pilnować go przez dwadzieścia cztery godziny na dobę, więc kiedy zsiniał, zrozumiałam, że nie ma już odwrotu.

**DETEKTYW BOSOMWORTH:** Jeśli dobrze rozumiem, właśnie wtedy podjęłaś decyzję, że nie będziesz go ratować. Czy mam rację?

**JILL ANDERSON:** Nie wiem. Nie potrafię powiedzieć, co się działo w mojej głowie. Chyba domyśla się pan, że byłam kompletnie zdezorientowana, bo on wciąż spał, a ja nie wiedziałam, co o tym myśleć.

**DETEKTYW BOSOMWORTH:** Widziałaś jednak, że jest siny, i zdecydowałaś się nie wzywać pomocy, mimo iż zdawałaś sobie sprawę z tego, że coś jest nie w porządku.

**JILL ANDERSON:** Tak.

**DETEKTYW BOSOMWORTH:** Dlaczego?

**JILL ANDERSON:** Nie wiem. Nigdy wcześniej nie czytałam niczego o morfinie. Zaczęłam o niej czytać dopiero wtedy, kiedy zaczęłam kupować ją jako środek przeciwbólowy. Nie wiem, jak działa, jeżeli ktoś ją przedawkuje. Nie mam pojęcia. Nie wiem, co myślałam. Może, że jeśli będą go ratować, to skończy jak roślina, pogrążony w śpiączce?

**DETEKTYW BOSOMWORTH:** Wydaje mi się, że kiedy między piątą a szóstą rano zauważyłaś, że robi się siny, powinnaś była natychmiast wezwać pomoc, a może nawet wcześniej. Decyzję o tym, żeby tego nie robić, podjęłaś na podstawie tego, co przeczytałaś. Czy uważasz, że miałaś odpowiednie kwalifikacje do podjęcia takiej decyzji?

**JILL ANDERSON:** Oczywiście, że nie. Z perspektywy czasu żałuję, że nie zadzwoniłam po pomoc. Nie zrobiłam tego i teraz muszę do końca żyć z tą świadomością.

**DETEKTYW BOSOMWORTH:** Rozumiem, że to dla ciebie bardzo trudne i że niełatwo ci przypomnieć sobie wszystkie szczegóły.

**JILL ANDERSON:** To prawda.

**DETEKTYW BOSOMWORTH:** Bardzo by nam jednak pomogło, gdybyśmy poznali twoje myśli i stan twojego umysłu, od chwili kiedy Paul powiedział, że wziął za dużo leków, do momentu, w którym zaczął sinieć.

**JILL ANDERSON:** Wcześniej też tak często mówił i zawsze jakoś z tego wychodził.

**DETEKTYW BOSOMWORTH:** Czy w ogóle zadzwoniłaś do kogoś?

**JILL ANDERSON:** Nie. Była przecież piąta czy szósta rano.

**DETEKTYW BOSOMWORTH:** A czy zadzwoniłaś do kogoś po tym, jak powiedział: „Wybacz, wziąłem za dużo”, czy coś w tym rodzaju?

**JILL ANDERSON:** Nie.

**DETEKTYW BOSOMWORTH:** Możemy więc powiedzieć, że nie kontaktowałaś się z nikim aż do chwili, kiedy rano zadzwoniłaś po lekarza, zgadza się?

**JILL ANDERSON:** Tak.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Mam jeszcze kilka pytań, które zapewne ci się nie spodobają, ale ja i tak muszę je zadać. Wspomniałaś o ogłoszeniu upadłości waszej firmy, czy też o tym, że Paul zbankrutował...

**JILL ANDERSON:** To prawda.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Czy ktokolwiek mógł odnieść jakąś korzyść ze śmierci Paula?

**JILL ANDERSON:** Nie.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Czy istnieją jakieś polisy ubezpieczeniowe opiewające na Paula?

**JILL ANDERSON:** Nie. Wszystkie ubezpieczenia były zawierane na mnie. Miał własne konto bankowe, więc nikt nie mógł skorzystać na jego śmierci.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Czy wierzysz, że teraz wreszcie uwolnił się od cierpienia?

**JILL ANDERSON:** Chciałabym mieć go przy sobie, ponieważ jestem egoistką i ponieważ tak właśnie myślimy o tych, którzy są nam najbliżsi. Nie chcę się nad tym zastanawiać. Pragnęłabym tylko, żeby nigdy nie zaraził się tym wirusem.

*Potem, o piątej rano, stwierdza, że jest już siny. I co robi? Oskarżenie twierdzi, że powinna zrobić coś bardzo prostego: sięgnąć po słuchawkę. Ona zrobiła inną prostą rzecz: nazrywała jego ulubionych kwiatów, wysprzątała dom i wezwała lekarza. Czy naprawdę przypuszczacie, że sądziła, że zależałoby mu, by wrócić?*

Z mowy końcowej obrońcy

**TAŚMA 3: 31 LIPCA 2003, 13.27–14.17, C.D.**

**DETEKTYW RICHARDSON:** Czy mogę spytać, dlaczego odkurzyłaś cały dom?

**JILL ANDERSON:** Kiedy sprzątałam, on już nie żył. Nikt nic już nie mógł poradzić, nie było sensu dzwonić po lekarza. Po co psuć komuś dzień, myślałam. Mój mąż nie żyje i nikt tego nie zmieni. Chciałam przez kilka godzin być z nim sama, bo wiedziałam, że jak tylko przyjedzie lekarz, natychmiast stwierdzi zgon.

**PRAWNIK:** Detektyw pytał o to, dlaczego wzięłaś się za odkurzanie.

**JILL ANDERSON:** Ach tak, przepraszam. Zaczęłam sprzątać chyba dlatego, że nic innego nie przyszło mi do głowy. Chciałam, żeby było czysto i porządnie, kiedy przyjedzie lekarz, i to wszystko. Niczego nie wyrzucałam, po prostu zrobiłam porządki, i tyle.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Czy Paul skarżył się na zimno?

**JILL ANDERSON:** Nie. Ze względu na niego w domu zawsze było ciepło. Lubiliśmy mieć otwarte okna. Latem przez cały czas były otwarte.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Był jakiś powód, żeby włączać ogrzewanie w sypialni?

**JILL ANDERSON:** A było włączone?

**DETEKTYW RICHARDSON:** Oficer Boulton stwierdziła, że w pokoju było gorąco, a grzejniki były ciepłe.

**JILL ANDERSON:** Rano włącza się bojler połączony z grzejnikiem w sypialni. Dlatego było ciepło. Działa automatycznie, więc nie zwracałam na to uwagi.

**DETEKTYW RICHARDSON:** O której godzinie się włącza?

**JILL ANDERSON:** Nie wiem. Wydaje mi się, że jakoś między siódmą a dziewiątą.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Czyli o dziewiątej jest już wyłączony?

**JILL ANDERSON:** Chyba tak. Dzięki temu zawsze jest ciepło, bo zegar włącza go i wyłącza. Nie śledzę tego dokładnie, staram się tylko, żeby było nam wygodnie.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Nie robiłem wielu notatek podczas przesłuchania, ponieważ byłem zajęty zadawaniem pytań.

**JILL ANDERSON:** Aha.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Ale jedną rzecz zanotowałem: „Płakałam i błagałam, żeby nie umierał”. To było przy okazji incydentu w garażu.

**JILL ANDERSON:** Tak.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Z samochodem.

**JILL ANDERSON:** Tak.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Płakałaś i błagałaś, ale równocześnie stwierdziłaś, że byłaś egoistką i tylko dlatego chciałaś, żeby pozostał przy życiu.

**JILL ANDERSON:** Tak.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Jednak tym razem, jeśli się nie mylę, nie zrobiłaś niczego, żeby pomóc mu przeżyć.

**JILL ANDERSON:** Próbował to zrobić wcześniej, i chyba właśnie tak to sobie wytłumaczyłam: przeżywaliśmy to wciąż od nowa od długiego czasu, a ja go kochałam. Wydaje mi się, że nie myślałam zbyt logicznie.

**DETEKTYW BOSOMWORTH:** Wspomniałaś o morfinie i o tym, że nie wiesz zbyt dobrze, jakie są skutki...

**JILL ANDERSON:** Nie, nie wiem.

**DETEKTYW BOSOMWORTH:** Czy słusznie przypuszczam, że sądziłaś, że to właśnie jest przyczyną zgonu?

**JILL ANDERSON:** Nie wiem. Nie mam pojęcia, co było przyczyną jego śmierci. Wiem tylko tyle, że brał morfinę, ale nie wiem, co trzymał w szufladzie.

**DETEKTYW BOSOMWORTH:** Powiedziałaś, że sam dawkował sobie lekarstwa.

**JILL ANDERSON:** Miał ich mnóstwo. Przez ten cały czas zgromadził ogromne zapasy. Zażywał wiele leków.

**DETEKTYW BOSOMWORTH:** Jill, czy tego wieczoru, albo poprzedniego, rozmawialiście o jego samobójstwie?

**JILL ANDERSON:** Nie.

**DETEKTYW BOSOMWORTH:** Czy pomogłaś mu w jakiś sposób?

**JILL ANDERSON:** Nie.

**DETEKTYW BOSOMWORTH:** Byłaś przy nim, kiedy łykał tabletki?

**JILL ANDERSON:** Nie.

**DETEKTYW BOSOMWORTH:** Chodzi mi o to, czy byłaś przy nim, nie na parterze.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Widziałaś go?

**JILL ANDERSON:** Nie, nie widziałam.



*Należałoby się zastanowić, czy Paul Anderson był w ogóle zdolny do podejmowania racjonalnych decyzji. W Anglii obowiązuje prawo domniemania poczytalności: każda osoba jest uważana za poczytalną do chwili, kiedy wystąpią zdarzenia lub okoliczności, które mogą stanowić podstawę do zakwestionowania jej poczytalności. Czasem nie trzeba wiele, żeby ją zakwestionować. Jeśli ktoś zachowuje się irracjonalnie albo w sposób dalece odbiegający od ogólnie przyjętych norm, daje tym powód do przypuszczeń, że nie jest wystarczająco poczytalny, by podejmować normalne decyzje. Zdaniem oskarżenia, Paul Anderson nie był na tyle poczytalny, żeby podjąć decyzję o odebraniu sobie życia i w związku z tym chciałbym poprosić państwa, żebyście zastanowili się nad tym, w jakim znajdował się położeniu. Przez kilka ostatnich miesięcy życia był praktycznie przykuty do łóżka. Żadnych gości, prawie żadnego towarzystwa, odseparowany od rodziny, pogrążony w cierpieniu. Tak niewiarygodnie stresująca sytuacja musiała wywołać nieracjonalne zachowania, które w normalnych warunkach nigdy nie przyszłyby mu do głowy. Zdaniem lekarzy nie cierpiał na żadne fizyczne dolegliwości. Paul Anderson nie poddał się kuracji psychiatrycznej, chociaż wszystko wskazywało na to, że taka kuracja była niezbędna. Nie jest racjonalnym działaniem popełnienie samobójstwa zamiast zwrócenia się o pomoc do psychiatry. Nie ulega wątpliwości, że wizyta u psychiatry jest mniejszym złem niż śmierć.*

Z mowy końcowej oskarżyciela

## CZEŚĆ III

#### **TAŚMA 4: 25 STYCZNIA 2004, 11.17–11.59**

**DETEKTYW RICHARDSON:** Jill, dzisiaj czekają cię co najmniej dwa przesłuchania. Pierwsze będzie dotyczyło rodziny Paula. Byłaś żoną Paula Andersona, prawda?

**JILL ANDERSON:** Tak.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Z pewnością miał rodzinę?

**JILL ANDERSON:** Tak.

**DETEKTYW RICHARDSON:** W chwili jego śmierci zdawałaś sobie sprawę z istnienia tych ludzi?

**JILL ANDERSON:** Owszem.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Czy był jakiś szczególny powód, dla którego nie zawiadomiłaś rodziny Paula o jego śmierci ani nie poprosiłaś nas, żebyśmy zrobili to w twoim imieniu?

**JILL ANDERSON:** Tak, był.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Czy możesz mi powiedzieć jaki?

**JILL ANDERSON:** Paul poprosił mnie, żebym, gdyby coś się z nim stało, nie kontaktowała się z jego rodziną.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Czy wiadomo dlaczego?

**JILL ANDERSON:** Tak. Utrzymywaliśmy z nimi bliskie kontakty mniej więcej do roku dwutysięcznego. Przeprowadziliśmy się do Yorkshire właśnie po to, żeby być blisko rodziny, blisko mojej matki w Ilkley i jego rodziny w Gretnie. Zamierzaliśmy spędzać z nimi wiele czasu.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Rozumiem.

**JILL ANDERSON:** Jego matka wspierała nas w stu procentach. Miałam fantastyczną teściową. Kiedy nas odwiedzała, wszyscy doskonale się bawiliśmy. Wierzyła, że Paul cierpi na jakąś autentyczną chorobę, i mówiła mi, że sama też niedobrze się czuje. Miała rozedmę płuc i anginę, a pożegnała się ze mną takimi słowami: „Teraz mogę spokojnie umrzeć, bo wiem, że jesteście razem”.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Czy można powiedzieć, że powodem rozłamu w rodzinie była choroba Paula oraz to, że reszta rodziny w nią nie wierzyła?

**JILL ANDERSON:** Tak.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Czyli to prawda?

**JILL ANDERSON:** Tak, to prawda.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Paul, zapewne, czuł się zdradzony?

**JILL ANDERSON:** Tak.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Domyślasz się, że rozmawialiśmy

z członkami jego rodziny?

**JILL ANDERSON:** Tak.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Poinformowaliśmy o tym twojego prawnika.

**JILL ANDERSON:** Wiem.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Ojciec Paula zeznał, że był szczęśliwy, kiedy się poznaliście.

**JILL ANDERSON:** Tak.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Czy dał ci to kiedykolwiek do zrozumienia?

**JILL ANDERSON:** Tak, bardzo miło spędzaliśmy wspólnie czas.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Założyłaś z Paulem biuro tłumaczeń, zgadza się?

**JILL ANDERSON:** Tak. Anderson Translations.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Czy wcześniej nazywało się inaczej?

**JILL ANDERSON:** Tak. Działaliśmy od roku tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego piątego do dziewięćdziesiątego ósmego i zbankrutowaliśmy.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Jak więc nazywało się na początku?

**JILL ANDERSON:** Anderson Translations Services.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Zmieniście nazwę z powodu bankructwa?

**JILL ANDERSON:** Tak.

## KWIECIEŃ 1998

Paul siedział w biurze syndyka masy upadłościowej w Leeds. Ja zostałam w poczekalni, ale widziałam go przez dzielącą nas szybę. Przytaszczyliśmy na trzecie piętro całą dokumentację naszej działalności biznesowej. Ja niosłam większość papierów, zauważyłam bowiem, że ma problemy z rękami. Biuro mieściło się w niczym niewyróżniającym się budynku z cegły w centrum Leeds. Syndyk, niespełna czterdziestoletnia kobieta, uważnie przyglądała się Paulowi. Przywitała nas osobiście, kiedy tylko tam dotarliśmy. Mówiła cicho i miała łagodne oczy. Kilka miesięcy temu złożyliśmy w sądzie hrabstwa Harrogate wniosek o upadłość. Siedzieliśmy w jednym pomieszczeniu z ludźmi z trudem powstrzymującymi łzy, tak samo jak my. Teraz nadszedł dzień, którego oboje się lękaliśmy.

– Jakież to wszystko okrutne – powiedział, kiedy ubieraliśmy się rano w Rose Cottage.

Dzień nie był ani zimny, ani gorący, niebo zasnuwały chmury. Od wielu tygodni pracowaliśmy nad likwidacją Anderson Translations Services, spłacając wszystkich tłumaczy, którym byliśmy winni pieniądze. Teraz pozostały nam jedynie niewielkie długi wobec wielu banków. Wszystkie dokumenty pracowicie poukładaliśmy w ponumerowanych teczkach. Paul uparł się, żeby tak zrobić. Gdybyśmy mieli złożyć wniosek o ogłoszenie upadłości, powinniśmy uczynić to profesjonalnie. Nie sprzeczałam się z nim. Postępowałam zgodnie z jego życzeniem, ponieważ wydawało mi się, że to ma sens.

Wyszedł dość szybko, z wyrazem ulgi na twarzy. Było po wszystkim. Ogłosiliśmy upadłość i wzięliśmy na siebie pełną odpowiedzialność. Oboje byliśmy zdecydowani zacząć wszystko od początku, i to możliwie szybko. Powtórzył mi rozmowę z syndykiem. Bardzo nam współczuła i w pełni rozumiała naszą sytuację. Miała nadzieję, że szybko staniemy na nogi.

Staszczyliśmy papiery po schodach i wyszliśmy na ulicę, oboje byliśmy bardzo przygnębieni.

– Zaczniemy od nowa – powiedziałam.

Podszedł do nas bezdomny. Był niechlujny i nieogolony jego skóra miała żółtawy odcień.

– Macie jakieś drobne? – zapytał.

– Przed chwilą zbankrutowaliśmy – odpowiedzieliśmy chórem.

Wydał wargi i wzruszył ramionami. Paul sięgnął do kieszeni, wyjął kilka monet.

– Masz, kolego.

Odszedł.

– Dlaczego to zrobiłeś? – zapytałam.

– Musiałem, i tyle.

Ulice Leeds były zatłoczone spieszącymi dokądś ludźmi. Pora lunchu. Miejskie dziewczyny w pantoflach na płaskim obcasie i w żakietach. Mężczyźni w garniturach i pod krawatami. Robotnicy, sprzątaczkę, handlowcy, zakupowicze, studenci, bezrobotni i wagarowicze. Było ich mnóstwo.

– Masz tu coś do załatwienia?

– Nie – odparł.

Wróciliśmy do Rose Cottage i zaczęliśmy rozmawiać o nowym początku.

**TAŚMA 4: 25 STYCZNIA 2004, 11.17–11.59, C.D.**

**JILL ANDERSON:** Musieliśmy zacząć jeszcze raz.

**PRAWNIK:** I zaczęliście.

**JILL ANDERSON:** Tak.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Rozumiem, że powodem zmiany nazwy były przede wszystkim problemy finansowe.

**JILL ANDERSON:** Tak jest.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Czy możemy teraz przejść do waszego ślubu?

**JILL ANDERSON:** Wzięliśmy ślub w Londynie. Nie chcieliśmy wystawnej ceremonii. Odbył się w urzędzie stanu cywilnego, przyszli moja matka, mój ojczym Frank, mój brat z dziewczyną, jedna z siostr mojego męża z partnerem i synem. Zorganizowaliśmy to tak skromnie ze względu na chorobę jego matki. Wyjaśniliśmy to wszystkim i obiecaliśmy, że urządzimy coś większego po przeprowadzce do Yorkshire.

*Oskarżenie nie ma najmniejszych wątpliwości, że można dać wiarę zeznaniom Jill. Z pewnością otwarcie, szczerze i uczciwie opowiada o wszystkim, co się wydarzyło. Mielicie okazję zapoznać się z jej życiorysem. Inteligentna, towarzyska, pracowita, bez żadnych zatargów z policją. Od chwili, kiedy wyszła za niego za mąż, jego stan zdrowia zaczął się pogarszać. Zrezygnowała z pracy, niezależności i wolności, by zostać jego partnerem biznesowym. On był mózgiem, tłumaczem, ona zajmowała się stroną administracyjną, później zaś stała się gospodynią domową, pielęgniarką i jego pomocnikiem. Ramię w ramię walczyli z lekarzami i resztą niedowierzających im osób. Tego, że w końcu odetną się od reszty rodziny, nie dało się uniknąć. Powodem była jego obsesja na punkcie własnego zdrowia oraz fakt, że ona bez reszty go popierała.*

Z mowy końcowej obrońcy



#### **TAŚMA 4: 25 STYCZNIA 2004, 11.17–11.59, C.D.**

**DETEKTYW RICHARDSON:** Czy zorganizowaliście tę ceremonię w Yorkshire?

**JILL ANDERSON:** Nie, bo był zbyt chory.

**DETEKTYW RICHARDSON:** I umarła mu matka.

**JILL ANDERSON:** Tak.

**DETEKTYW RICHARDSON:** A wy pojechaliście na pogrzeb.

**JILL ANDERSON:** Tak. Mdał dwa razy, a w kościele zwymiotował. Nie mogliśmy uwierzyć w reakcję jego rodziny. Powtarzaliśmy w kółko, że jest poważnie chory. Ogromnie się zdenerwowałam. Pamiętam, jak siedziałam na parterze w domu jego siostry, a jeden z siostrzeńców wszedł i powiedział: „Kurczę, mam nadzieję, że ja tak nie skończę”.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Czy podczas pogrzebu lub krótko po nim doszło między wami do sprzeczki?

**JILL ANDERSON:** Nie przypominam sobie, żebyśmy tego dnia w ogóle się pokłócili. Wspierałam go jak tylko mogłam. Był bardzo chory. Kochałam każdą jego cząstkę i przysięgam, że będę robiła wszystko co w mojej mocy, żeby żył jak najdłużej.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Jeśli się nie mylę, w okolicach Bożego Narodzenia w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym dziewiątym rodzina chciała go odwiedzić?

**JILL ANDERSON:** Zgadza się.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Ale ty do tego nie dopuściłaś?

**JILL ANDERSON:** Tak. Powiedziałam do jego ojca: „Wydaje mi się, że powinniśmy to odwołać. Paul cierpi na zespół jelita drażliwego i chodzi do toalety piętnaście razy dziennie”. Chodziło mi o ich wygodę, bo w domu mieliśmy tylko jedną toaletę, a on bez przerwy miał biegunkę. Powiedziałam więc, że wydaje mi się, że powinniśmy to odwołać, a on wtedy wybuchnął.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Kto?

**JILL ANDERSON:** Jego ojciec. Naprawdę byłam bardzo uprzejma. Po tym, jak umarła jego matka, pocieszałam jego ojca i powtarzałam mu, że jest naszym bohaterem, że go kochamy i potrzebujemy, że on i Isla byli wspaniałą parą, że jesteśmy z niego dumni, bo tak wspaniale radzi sobie po jej śmierci. Mówiliśmy mu takie miłe rzeczy. Paul trzy albo cztery razy próbował zasypać dzielącą nas przepaść. Dzwonił do niego i pytał: „Nie sądzisz, tato, że moglibyśmy to jakoś naprawić?”. Ciśnienie krwi wciąż mu spadało, bardzo bałam się o niego. Pojechałam zobaczyć się z jego lekarzem pierwszego kontaktu. Rozmawialiśmy

prawie godzinę. Powiedział mi, że Paul sam sobie to wszystko wymyśla, że źródło choroby znajduje się w jego głowie, że inteligentni ludzie robią czasem takie rzeczy i że potrzebuje pomocy psychiatry. Po powrocie do domu nie poszłam na górę do Paula, który leżał i bardzo cierpiał, tylko od razu zadzwoniłam do jego ojca i powtórzyłam mu to, co mi powiedział lekarz. „Czekaliśmy na ten telefon – odparł. – Tak, Paul musi jak najszybciej zgłosić się do psychiatry”. Zaraz potem poszłam na górę i powiedziałam Paulowi, że powinien skorzystać z porady psychiatry. To był najgorszy dzień w życiu mojego męża, ponieważ równocześnie zawiedli go żona, lekarz i rodzina. Był zdruzgotany. Potem już nigdy, nigdy go nie zawiodłam.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Czy to się wydarzyło w okolicach grudnia roku dwutysięcznego?

**JILL ANDERSON:** Tak. Zadzwoniłam do dyrekcji służby zdrowia północnego Yorkshire i powtórzyłam im to, co usłyszałam od tego lekarza, a oni powiedzieli, że jeśli nie jestem z niego zadowolona, to mogę go sobie zmienić. Wtedy pojechałam do Ripon i zapytałam, czy w okolicy są jacyś lekarze potrafiący zająć się pacjentem z zespołem ustawicznego zmęczenia, i znalazłam nową przychodnię.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Powiedziałaś jego ojcu, że zgadzasz się z opinią, że Paul powinien zasięgnąć opinii psychiatry?

**JILL ANDERSON:** Nie pamiętam, czy rozmawialiśmy na ten temat, ale taki sam problem mają wszyscy cierpiący na zespół ustawicznego zmęczenia. Zostało to opisane w rządowym dokumencie ogłoszonym w kwietniu albo maju dwa tysiące drugiego roku.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Rozumiem, ale chciałbym wiedzieć, czy rozmawiając z jego ojcem przez telefon, zgodziłaś się z opinią, że twój mąż powinien skorzystać z pomocy psychiatry?

**JILL ANDERSON:** Nie powiedziałam tego wprost, ponieważ najpierw chciałam porozmawiać z Paulem. Jego ojciec był tak stanowczy, że chyba przyznałam mu rację.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Ale teraz tego żałujesz.

**JILL ANDERSON:** Tak. A Paul powiedział, że nie pójdzie do psychiatry, bo jest naprawdę chory.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Rozumiem. Czy wiesz o rozmowie telefonicznej, jaką Paul przeprowadził z ojcem trzeciego marca dwutysięcznego roku?

**JILL ANDERSON:** Jego ojciec bardzo się wtedy zdenerwował.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Według jego ojca, Paul powiedział, że po zakończeniu rozmowy telefonicznej z jego ojcem powiedziałaś: „To była cholerna strata czasu”, i że nie zgodziłaś się z opinią lekarza pierwszego kontaktu, który

uważał, że powinien zwrócić się do psychiatry. Czy to prawda?

**JILL ANDERSON:** Nie jestem w stanie tego stwierdzić. Nie pamiętam tej rozmowy. Zadzwoiłam do jego ojca, a on przyznał rację lekarzowi z Pateley Bridge. Ja powiedziałam mu, że muszę się zastanowić i przedyskutować sprawę z Pauliem. Paulowi powiedziałam: „Powinieneś zwrócić się do psychiatry, wszyscy mi to mówią”. Wtedy dopiero zaczynałam rozumieć, na czym polega zespół ustawicznego zmęczenia.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Rozumiem. Czy powtórzyłaś Paulowi treść rozmów z lekarzem pierwszego kontaktu i z jego ojcem?

**JILL ANDERSON:** Tak.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Czy właśnie wtedy zaczął się rozłam w rodzinie?

**JILL ANDERSON:** Rozłam zaczął się wcześniej, już na pogrzebie jego matki.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Odnoszę wrażenie, że rozmowa telefoniczna Paula z ojcem nie została dobrze przyjęta ani przez ojca, ani przez resztę rodziny. Czy dobrze mi się zdaje, że brat Paula zagroził, że rozwali mu głowę?

**JILL ANDERSON:** Zatelefonował, i to była bardzo przykra rozmowa.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Chodziło o coś więcej niż zwykłe groźby?

**JILL ANDERSON:** Tak.

**DETEKTYW RICHARDSON:** A Paul powiedział mu, że zawiadomi policję?

**JILL ANDERSON:** Paul oddzwonił i powiedział, że nagraliśmy rozmowę i że zgłosimy to na policję, bo to poważna sprawa, kiedy ktoś grozi komuś śmiercią.

**DETEKTYW RICHARDSON:** A wracając do rozmowy...

**PRAWNIK:** Przepraszam, kiedy to było dokładnie?

**DETEKTYW RICHARDSON:** Krótko po rozmowie z trzeciego marca dwutysięcznego roku. Paul najwyraźniej pokłócił się z ojcem przez telefon.

**JILL ANDERSON:** Zgadza się.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Czy wtedy Paul się rozchorował?

**JILL ANDERSON:** Nie, już wcześniej był chory.

**DETEKTYW RICHARDSON:** W takim razie, czy jego stan się pogorszył?

**JILL ANDERSON:** Nie.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Rozumiem. Czy pamiętasz, jak zostawiłaś wiadomość na automatycznej sekretarce ojca Paula? Powiedziałaś, że przez niego Paul jeszcze bardziej się rozchorował.

**JILL ANDERSON:** Zapisałam sobie, co mu wtedy powiedziałam. To było coś zupełnie innego. Powiedziałaś tylko tyle, że wstyd mi, że mam z nimi

cokolwiek wspólnego, ponieważ Paul naprawdę jest poważnie chory.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Dlaczego to sobie zapisałaś?

Jill Anderson: Bo to dla mnie bardzo ważne, i tak było naprawdę.

**DETEKTYW RICHARDSON:** W porządku. Co miałaś na myśli, mówiąc: „Paul, syn Isli”? To dość niezwykle sformułowanie.

**JILL ANDERSON:** Paul był synem Isli. Łączyły ich cudowne relacje. Wydawało mi się, że rodzina ją zawiodła.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Ale czy nie był również synem swojego ojca?

**JILL ANDERSON:** Oczywiście, że był.

**DETEKTYW RICHARDSON:** No właśnie.

**JILL ANDERSON:** Chciałam im tylko zwrócić uwagę, że wtedy, kiedy jego matka jeszcze żyła, poświęcała mnóstwo czasu na utrzymanie rodziny razem.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Rozumiem. Czy zależało ci na tym, żeby Paul utrzymywał kontakty ze swoimi krewnymi?

**JILL ANDERSON:** Ogromnie. Liczyliśmy na to, że przeproszą nas za swoje zachowanie. Musieliśmy się bronić. On chorował, a oni nie chcieli w to uwierzyć. Bezustannie staraliśmy się dojść z nimi do porozumienia.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Czy macie automatyczną sekretarkę?

**JILL ANDERSON:** Tak.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Czy często jest włączona?

**JILL ANDERSON:** Tak.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Nawet wtedy, kiedy jesteście w domu?

**JILL ANDERSON:** Tak.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Czy zdarza się, że nie odbierasz telefonu, tylko czekasz, aż ktoś zostawi wiadomość, żeby wiedzieć, kto dzwoni?

**JILL ANDERSON:** Czasem.

**DETEKTYW RICHARDSON:** To takie filtrowanie rozmów?

**JILL ANDERSON:** Po prostu często jestem zajęta i nie mogę odebrać.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Gdyby ktoś z rodziny zostawił na sekretarce wiadomość dla Paula, czy dotarłaby do niego?

**JILL ANDERSON:** Naturalnie. Nie zrobiłabym niczego, żeby ograniczać jego kontakty z rodziną.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Jego ojciec był przekonany, że trzymałaś go z dala od rodziny i nie przekazywałaś mu wiadomości.

**JILL ANDERSON:** Skądże znowu. Paul wiedział o wszystkim, co się działo. Nie mieliśmy przed sobą żadnych tajemnic, a ja nigdy nie utrudniałam mu kontaktów z rodziną. Był moim mężem i trzymaliśmy się razem. Nie mogłam pozwolić na to, żeby samotnie musiał stawiać im czoło. To by było czworo na jednego.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Rozumiem.

**JILL ANDERSON:** Nie mogłam się na to zgodzić.

MAJ 1993

Przygotowywałam zupę z rzeżuchy. Podsmażyłam na patelni cebulę i czosnek, dosypałam warzyw, na koniec dodałam rzeżuchę. Już po rozlaniu do talerzy dołałam śmietany.

– Żelazo. Zdrowe – powiedziałam, stawiając talerze przed nimi. Obserwowałam uważnie ich twarze, kiedy przełykali pierwsze łyki. – Dobrze?

– Mhm... – odpowiedzieli oboje.

W piątkowy wieczór zjawiliśmy się w domu mojej matki chrzestnej w Chichester. Był to narożny segment z lat siedemdziesiątych. Moja matka chrzestna nie miała łatwego życia, obecnie zaś mieszkała w domu kupionym przez brata, który po jej śmierci miało odziedziczyć troje jej siostrzeńców. O tym, jak wyglądało jej życie, najlepiej świadczyła twarz pokryta niezliczonymi zmarszczkami i bruzdami. Mimo to zachowała spokój, pogodę ducha i entuzjazm, i pływała jachtem ze swoim przyjacielem Michaelem oraz jego psem, owczarkiem Benem. Przez cały dzień spacerowaliśmy po Chichester, zjedliśmy lunch w jachtklubie, a potem siedzieliśmy nad wodą przy ujściu rzeki i gapiliśmy się na chmury.

Było rześko, wiejący od oceanu zimny wiatr kąsał nas w twarze. Nad naszymi głowami wisiały rozwrzeszczane mewy. Przytuliliśmy się do siebie, tęskniąc za latem. Trzymaliśmy się za ręce. Moja matka chrzestna siedziała nieco z boku, razem obserwowaliśmy chmury pędzące po niebie. Przypomniałam sobie, jak moja przyjaciółka Patrizia, Kolumbijka mieszkająca na stałe w Nowym Jorku, w trakcie pobytu w Anglii zachwycała się różnorodnymi kształtami, barwami i rozmiarami chmur. Małe kłębuszki, rozwleczone smugi dymu, napuszone zwitki wełny, niesiony wiatrem pył, grzyb atomowy, kłęby śniegu albo mgły, kurzawa ptasich piór. Każdy dzień w Anglii był dniem pochmurnym, lecz nigdy takim samym. Obłoki wisiały milcząco nad naszymi głowami, skrywając w sobie deszcz lub śnieg. Czasem niebo ciemniało, zasnuwane granatowymi burzowymi chmurami.

Siedzieliśmy tak długo, aż zdrętwiały nam palce u rąk i nóg. Wstaliśmy, a chmury wciąż ścigały się w górze. Twarze mieliśmy zaczerwienione od wiatru. Ostrygojad, czarno-białe niezdarne ptaszysko, grzebał dziobem w przybrzeżnym mule, a potem zerwał się do lotu i poszybował ku chmurom.

Rozgrzaliśmy się zupą z rzeżuchy.

**TAŚMA 4: 25 STYCZNIA 2004, 11.17–11.59, C.D.**

**DETEKTYW RICHARDSON:** A więc, czy trzymałaś ich z dala od niego?

**JILL ANDERSON:** Nie. Zależało mi na tym, żeby jak najczęściej kontaktowali się ze sobą. Liczyliśmy na to, że ktoś z nich przyśle list albo zadzwoni z przeprosinami za swoje zachowanie. Nie zrobili tego. W związku z tym powiedział mi, że bez względu na to, co się zdarzy, nie chce już mieć z nimi nic wspólnego, a ja przyznałam mu rację.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Powiadasz więc, że nie napisali?

**JILL ANDERSON:** Przepraszam, był jeden list. W marcu tego roku, od jego siostry. Oboje go przeczytaliśmy.

**PRAWNIK:** To był chyba ubiegły rok.

**JILL ANDERSON:** Tak, oboje go przeczytaliśmy. Nie było w nim przeprosin, tylko coś w rodzaju „Mam nadzieję, że dobrze się czujesz”, ani niczego, co świadczyłoby o tym, że uwierzyli w jego chorobę. Naprawdę nie rozumieli, jak bardzo jest chory.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Odpowiedzieliście na ten list?

**JILL ANDERSON:** Nie. Jego siostra napisała, że jeżeli nie dostanie odpowiedzi, to zostawi nas w spokoju.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Rozumiem.

**JILL ANDERSON:** Spojrzeliśmy na siebie i powiedzieliśmy: „Dobrze”. Woleliśmy, żeby zostawiono nas w spokoju, nie chcieliśmy uczestniczyć w niekończących się kłótniach. Paul powiedział: „Jestem bardzo chory. Nie chcę wiecznie sprzeczać się z rodziną o jakieś rzekomo podarte kartki z życzeniami urodzinowymi”.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Mam tu kopię listu, oryginał jest dołączony do akt, zdaje się, że pod numerem ALG8/1. Mam też fotokopię koperty. Czy możesz przeczytać, co jest na niej napisane?

**JILL ANDERSON:** Pan P. Anderson.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Zgadza się. Stempel na kopercie pochodzi z siedemnastego marca dwa tysiące trzeciego roku. Czy możesz mi powiedzieć, czy właśnie ten list miałaś na myśli?

**JILL ANDERSON:** Tak.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Napisała go jego siostra, zgadza się?

**JILL ANDERSON:** Tak.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Pisze w liście, że cała rodzina bardzo kocha Paula. Pisze też, tak jak powiedziałaś, że jeśli nie otrzyma odpowiedzi na ten list, to zostawi was w spokoju.

**JILL ANDERSON:** Tak.

**DETEKTYW RICHARDSON:** W ostatnim akapicie.

**JILL ANDERSON:** Tak.

**DETEKTYW RICHARDSON:** O ile się nie mylę, sens tego listu sprowadza się do tego, że siostra Paula stara się zbudować most między tobą albo, jeśli wolisz, między wami a resztą jego rodziny. Czy zgodzisz się z taką interpretacją albo czy przynajmniej przyznasz mi rację, że jego siostra zadała sobie trud, żeby podjąć taką próbę?

**JILL ANDERSON:** Myślę, że tak.

**DETEKTYW RICHARDSON:** I choć mogę przyznać ci rację, że istotnie nie przyznała wprost, że choroba Paula może być natury fizycznej, to jednak uczyniła wysiłek zmierzający do zasypania przepaści. Jednak ani ty, ani Paul nie wyszliście jej naprzeciw, prawda?

**JILL ANDERSON:** Tak. Uznaliśmy, że wolimy, żeby zostawiono nas w spokoju.



*Równie ważny jest kolejny punkt: „Oznaki świadczące o powziętym postanowieniu odejścia”. Jakie były objawy tego, że podjął decyzję o zakończeniu życia, i na ile widoczne mogły być dla jego żony? Po poprzednich próbach samobójczych badało go dwóch psychiatrów. Żaden nie stwierdził niczego niepokojącego. Uznali go za całkowicie zdrowego psychicznie i pozwolili mu wrócić do domu.*

*To nie była jego pierwsza próba. Jego stan przez cały czas się pogarszał, a cierpienia stawały się coraz większe. Z pewnością zdawał sobie sprawę z tego, jak ciężko przeżywa to jego żona. Kochał ją, a ona kochała jego. Dobrze wiecie, jakim zaufaniem się darzyli i jak bardzo byli wobec siebie lojalni. Bez wątpienia możecie też dostrzec w jego postępowaniu wyraźne oznaki świadczące o powziętym postanowieniu odejścia.*

Z mowy końcowej obrońcy

**TAŚMA 4: 25 STYCZNIA 2004, 11.17–11.59, C.D.**

**DETEKTYW RICHARDSON:** Jak z twojego punktu widzenia wyglądały sprawy takie jak prowadzenie domu i interesów?

**JILL ANDERSON:** Zajmowałam się wszystkim. On wspierał mnie, leżąc w łóżku, udzielał rad i dodawał otuchy. Był cudownym mężem. Nagrywał programy telewizyjne, które mnie interesowały, kładł mi czekoladki na poduszcze, codziennie robił mnóstwo wspaniałych rzeczy.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Czy znasz jakieś języki obce?

**JILL ANDERSON:** Nie, jestem administratorem. Zajmowałam się marketingiem, pośredniczyłam w kontaktach między klientami i tłumaczami. Zatrudniałam tłumaczy, żeby wykonywali jego pracę.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Pracę Paula.

**JILL ANDERSON:** Tak.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Rozumiem.

**JILL ANDERSON:** Zespół ustawicznego zmęczenia, na który cierpiał, złamał nam serca i kompletnie, bez reszty zniszczył nam życie.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Czy zatem można powiedzieć, że to ty kierowałaś domem?

**JILL ANDERSON:** Tak, ale wszystkie decyzje podejmowaliśmy wspólnie. Naprawdę nie rozumiem tego pytania. Chodzi panu o to, czy mógł wychodzić, kiedy zechce? On o niczym innym nie marzył, tylko o tym, żeby wstać z łóżka i wyjść. To było jego największe pragnienie.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Czy realizowałaś jego recepty?

**JILL ANDERSON:** Tak, bo sam nie był w stanie tego zrobić

**DETEKTYW RICHARDSON:** A więc zasięgałaś bezpośrednio porady u jego lekarza?

**JILL ANDERSON :** Tak.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Czy podjęłaś decyzję o tym, żeby chronić go przed jego rodziną, żeby uniemożliwić im kontakty z nim?

**JILL ANDERSON:** Nie.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Bo nie udałoby ci się tego dokonać?

**JILL ANDERSON:** Jego ojciec zadzwonił tylko jeden jedyny raz, żeby powiedzieć, że chcieliby przyjechać z wizytą. Nie miałabym nic przeciwko temu, żeby nas odwiedzali. Nigdy w życiu nie usiłowałabym przeszkadzać Paulowi w jego kontaktach z rodziną.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Ale coś takiego mogłoby przyjść ci do

głowy?

**JILL ANDERSON:** Owszem, tyle że i tak między nami była przepaść.

**DETEKTYW RICHARDSON:** I to cię powstrzymało?

**JILL ANDERSON:** Oni i tak nie mogliby nam wiele pomóc.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Mogliby zatrzymać Paula u siebie na kilka dni, żebyś trochę odpoczęła.

**JILL ANDERSON:** Był zbyt osłabiony, żeby podróżować. Nie dotarłby tam. Poruszał się wyłącznie karetkami.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Mogli też przyjechać do was i, że tak powiem, posiedzieć przy nim, żebyś miała szansę odpocząć.

**JILL ANDERSON:** Ale nasze drogi się rozeszły. Poróżniliśmy się z nimi i nie było sensu o cokolwiek ich prosić.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Tego wieczoru, kiedy wróciłaś z Pateley Bridge, to znaczy z Safeway... Bo najpierw pojechałaś do Pateley, wróciłaś, i dopiero wtedy pojechałaś do Safeway, prawda?

**JILL ANDERSON:** Tak.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Właśnie wtedy Paul zażył tabletki, zgadza się?

**JILL ANDERSON:** Tak.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Można powiedzieć, że od tej pory kontrolowałaś wszystko, co działo się z Paulem, prawda? Czy wezwać pomoc, czy pozwolić mu spać, czy ma umrzeć...

**JILL ANDERSON:** Byłam otepiała. W szoku.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Uważasz, że miałaś prawo podjąć taką decyzję?

**JILL ANDERSON:** Nie.

**DETEKTYW BOSOMWORTH:** Richardson wspomniał o waszych stosunkach z Islą, matką Paula.

**JILL ANDERSON:** Tak.

**DETEKTYW BOSOMWORTH:** Były dobre?

**JILL ANDERSON:** Tak.

**DETEKTYW BOSOMWORTH:** W jaki sposób udało wam się to osiągnąć?

**JILL ANDERSON:** Często rozmawialiśmy przez telefon. W Rose Cottage czuł się jeszcze na tyle dobrze, żeby co tydzień rozmawiać z rodziną. Ja też z nimi rozmawiałam i było wspaniale. Pisywaliśmy do siebie.

**DETEKTYW BOSOMWORTH:** Isla umarła w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym dziewiątym.

**JILL ANDERSON:** Zgadza się.

**DETEKTYW BOSOMWORTH:** Jak długo ją znałaś, że udało wam się

zbudować tak dobrą relację?

**JILL ANDERSON:** Poznałam Paula w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym drugim.

**DETEKTYW BOSOMWORTH:** Znałaś ją od samego początku?

**JILL ANDERSON:** Tak.

**DETEKTYW BOSOMWORTH:** Ile razy przez te wszystkie lata widywałyście się twarzą w twarz?

**JILL ANDERSON:** Chyba raz do roku.

**DETEKTYW BOSOMWORTH:** Czy Paul kiedykolwiek prosił cię o spełnienie jakichś szczególnych próśb na wypadek swojej śmierci?

**JILL ANDERSON:** Nie. Rozmawialiśmy tylko na ogólne tematy. To trudne pytanie, bo przecież wszyscy wiemy, że wcześniej dwa razy próbował popełnić samobójstwo. Jak już mówiłam, całkowicie poświęciłam życie temu, żeby nie dopuścić do jego śmierci, więc nigdy nie rozmawialiśmy o samobójstwie.

*Nie było testamentu.*

*Ludzie, którzy świadomie decydują się popełnić samobójstwo, którzy cierpią na nieuleczalne choroby i chcą umrzeć z godnością, troszczą się o uporządkowanie swoich spraw i rozmawiają o tym z tymi, których kochają.*

*W tym przypadku nic takiego nie miało miejsca.*

Z mowy końcowej oskarżyciela

**TAŚMA 4; 25 STYCZNIA 2004, 11.17–11.59, C.D.**

**DETEKTYW BOSOMWORTH:** Czy sporządził testament?

**JILL ANDERSON:** Nie. Miał dopiero czterdzieści trzy lata, nie doszliśmy jeszcze do robienia testamentów.

**DETEKTYW BOSOMWORTH:** Ale z pewnością wyraził wolę dotyczącą tego, co się miało stać po jego śmierci. Czy została gdzieś spisana?

**JILL ANDERSON:** Nie. Wszystko przekazał ustnie.

**DETEKTYW BOSOMWORTH:** To na pewno było dla niego ważne, co się stanie po jego śmierci.

**JILL ANDERSON:** Owszem, ponieważ to jest ważne również dla mnie.

**DETEKTYW BOSOMWORTH:** Rozmawialiście o tym, co ma się stać po twojej śmierci?

**JILL ANDERSON:** To nie była jakaś długa rozmowa.

**DETEKTYW BOSOMWORTH:** Czy powiedziałybyś, że rodzina Paula pod jakimiś względami różniła się od innych rodzin?

**JILL ANDERSON:** Nie bardzo wiem, jak odpowiedzieć, bo przecież we wszystkich rodzinach zdarzają się kłótnie, nieporozumienia i dyskusje.

**DETEKTYW BOSOMWORTH:** Czy użyłabyś wobec niej określenia „kochająca się”?

**JILL ANDERSON:** Z perspektywy czasu widać wyraźnie, że naszym problemem był zespół ustawicznego zmęczenia. Gdyby nie to, z pewnością nadal utrzymywalibyśmy kontakty.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Muszę powiedzieć, że wszyscy członkowie rodziny, z którymi rozmawiałem, twierdzą, że bardzo kochali Paula.

**DETEKTYW BOSOMWORTH:** Ty i Paul mieliście swoją opinię, prawda?

**JILL ANDERSON:** Tak.

**DETEKTYW BOSOMWORTH:** A rodzina miała swoją, zgadza się?

**JILL ANDERSON:** Tak.

**DETEKTYW BOSOMWORTH:** I to właśnie spowodowało rozłam?

**JILL ANDERSON:** Tak.

**DETEKTYW BOSOMWORTH:** Chyba odwiedzali Paula, po tym jak zachorował?

**JILL ANDERSON:** Owszem, ale wtedy jeszcze nie był tak poważnie chory.

**DETEKTYW BOSOMWORTH:** Czy można powiedzieć, że nie podobało ci się, że rodzina Paula wtrącała się w wasze życie?

**JILL ANDERSON:** Nie, byłam otwarta na sugestie. Chodziło o to, że oni mu nie wierzyli i że uważali go za chorego umysłowo.

**DETEKTYW BOSOMWORTH:** Dlaczego tak bardzo się z tym nie zgadzałaś?

**JILL ANDERSON:** Bo on nie był chory umysłowo.

**DETEKTYW BOSOMWORTH:** Na jakiej podstawie tak sądzisz?

**JILL ANDERSON:** Codziennie obserwowałam jego stan.

## LIPIEC 2001

To był letni wieczór jakich wiele. W powietrzu wirowały sieciarki, słońce zachodziło na różowo i pomarańczowo. Położyłam się obok niego. Czekał cierpliwie. Na karku miał znamię wielkości połowy pięciopensówki. Zrobiłam mu masaż, a on, jak zwykle, przypomniał mi, że bym na nie uważała. Każde zadrapanie byłoby bardzo bolesne. Czuł na karku ciepło moich dłoni. Wykonywałam koliste ruchy z lewej do prawej, z prawej do lewej, z dołu do góry, półkola i koła, wzdłuż i w poprzek. Miał wąskie ramiona. Był szczupłej budowy, ważył zaledwie sześćdziesiąt kilogramów. Drażnił się ze mną, mówiąc, że waży mniej ode mnie. Był niewiele wyższy. Leżąc na boku, wsunęliśmy się w siebie. Jęczał cicho. Kiedy go zaspokoila, odwrócił się na bok, przodem do mnie, a ja masowałam jego spocone czoło. Gorączka stanowiła nieodłączną część jego choroby. Pocił się bez przerwy, jakby jego ciało chciało w ten sposób pozbyć się trawiącej je trucizny. Przypominało to malarię. Mój dziadek – wszyscy mówili na niego „dziadzia”, ponieważ tak nazywałam go, będąc dzieckiem – podczas pierwszej wojny światowej wrócił z malarią z Afryki. Chociaż w łagodnej formie, towarzyszyła mu do końca życia. Ta choroba była inna, inna też była towarzysząca jej gorączka. Leżał nieruchomo, a ja masowałam całe jego ciało. O tej porze, zwykle między wpół do siódmej a siódmą wieczorem, kończyłam pracę, którą on kierował, i mieliśmy trochę czasu dla siebie. Łapał w radiu jakąś stację muzyczną i do późnej nocy, leżąc pod kołdrą, poruszaliśmy palcami u stóp w rytm melodii albo nuciliśmy temat przewodni z „Hawai 5.0”. Często zmieniał stacje. W uchu miał słuchawkę połączoną kablem z radioodbiornikiem, więc kiedy budziłam się w nocy, mogłam go łatwo znaleźć. Zwykle był gdzieś daleko, po drugiej stronie świata, wsłuchany w rozmowy na antenie.



**TAŚMA 4: 25 STYCZNIA 2004, 1.17–11.59, C.D.**

**DETEKTYW BOSOMWORTH:** Nie chcę wdawać się w rozważania natury medycznej, bo zgłębiłaś ten temat znacznie dokładniej ode mnie, ale czy nie mogło być tak, że to wszystko siedziało w jego głowie?

**JILL ANDERSON:** Absolutnie nie. Miał wirusa, był ciężko chory. Nie sposób wmówić sobie, że ma się zespół jelita drażliwego i biegać do toalety piętnaście razy dziennie.

**DETEKTYW BOSOMWORTH:** Dla jasności: zespół jelita drażliwego nie ma nic wspólnego z zespołem ustawicznego zmęczenia?

**JILL ANDERSON:** Wręcz przeciwnie. Zespół jelita drażliwego jest jednym z objawów zespołu ustawicznego zmęczenia.

**DETEKTYW BOSOMWORTH:** Jego rodzina była zdania, że nie jesteście szczęśliwi tam, gdzie mieszkacie.

**JILL ANDERSON:** Byliśmy bardzo szczęśliwi.

**DETEKTYW BOSOMWORTH:** Dlaczego więc tak bardzo zależało wam na tym, żeby wam uwierzyli?

**JILL ANDERSON:** Każdy cierpiący na zespół ustawicznego zmęczenia pragnie wsparcia i pomocy rodziny.

**DETEKTYW BOSOMWORTH:** Chodziło o to, żeby uwierzyli w jego chorobę?

**JILL ANDERSON:** Tak.

**DETEKTYW BOSOMWORTH:** I żeby to jakoś okazali?

**JILL ANDERSON:** Tak. Gdybyśmy otrzymali od nich choć odrobinę wsparcia i życzliwości, oboje poczulibyśmy się znacznie lepiej.

**DETEKTYW BOSOMWORTH:** Kto miałby podjąć decyzję o ewentualnym wznowieniu kontaktów z rodziną?

**JILL ANDERSON:** Paul. To była jego rodzina i tylko on podejmował decyzje w tych sprawach.

**DETEKTYW BOSOMWORTH:** Czy miałaś podobne problemy ze swoją rodziną?

**JILL ANDERSON:** Tak, wszyscy mają takie same problemy. Wystarczy zadzwonić na medyczny telefon zaufania, żeby się o tym przekonać.

**DETEKTYW BOSOMWORTH:** A co z innymi ludźmi?

**JILL ANDERSON:** Nie było ich wielu. Bardzo pomagali nam nasi sąsiedzi, Sarah i John. Otrzymałam wsparcie z opieki społecznej i od przyjaciół. Codziennie dostawaliśmy cudowne maile i podarunki.

**DETEKTYW BOSOMWORTH:** Wasi sąsiedzi Sarah i John?

**JILL ANDERSON:** Tak.

**DETEKTYW BOSOMWORTH:** Skąd wiedzieli o chorobie Paula?

**JILL ANDERSON:** Powiedziała im. John miał przeszczepioną nerkę. Byli wspaniałymi sąsiadami. Powiedzieli: „Jeśli będzie trzeba, po prostu zapukajcie”, i tak właśnie było.

**DETEKTYW BOSOMWORTH:** Dlaczego im powiedziałaś?

**JILL ANDERSON:** Z uprzejmości, żeby wiedzieli, dlaczego on ciągle leży w łóżku.

**DETEKTYW BOSOMWORTH:** Rozumiem.

**JILL ANDERSON:** Wszyscy byli ciekawi, więc powiedziałam im prawdę.

**DETEKTYW BOSOMWORTH:** Rozumiem, że zanim skontaktowałaś się z jego ostatnim lekarzem, miałaś problemy ze środowiskiem medycznym?

**JILL ANDERSON:** Tak.

**DETEKTYW BOSOMWORTH:** Chodziło o lekarzy pierwszego kontaktu czy specjalistów? I na czym polegały te problemy?

**JILL ANDERSON:** To była dla nich trudna sytuacja. Stanęli oko w oko z chorobą, której nie da się stwierdzić żadnym badaniem i na którą nie ma lekarstwa. Jak ją zdiagnozować? Wszyscy mieli ten sam problem.

**DETEKTYW BOSOMWORTH:** Rozumiem. Na czym więc polegały twoje problemy?

**JILL ANDERSON:** Na tym, że nikt nam nie wierzył. Paul prosił o lekarstwa, a oni mówili mu, że ich nie potrzebuje, że nic mu nie dolega.

**DETEKTYW BOSOMWORTH:** Czy lekarze, skoro ci nie uwierzyli, sugerowali problemy natury psychologicznej?

**JILL ANDERSON:** Tak.

**DETEKTYW BOSOMWORTH:** Jak Paul na to reagował?

**JILL ANDERSON:** Było nam bardzo trudno, bo kiedy ktoś jest ciężko chory i wie, że sobie tego nie wymyślił, oczekuje od innych wsparcia. Wystarczy, żeby przyznali, że to poważna choroba i że nie potrafią mu pomóc, i żeby zaproponowali jakąś kurację do wypróbowania. Nie zrobili tego.

**DETEKTYW BOSOMWORTH:** Nie przepisywali mu leków?

**JILL ANDERSON:** Paul prosił o lekarstwa i mówiliśmy im, że wiemy, iż nie rozumieją tej choroby. Nie spodziewamy się wyleczenia, ale może mogłby spróbować tego albo tamtego. W taki sposób z nimi rozmawialiśmy.

**DETEKTYW BOSOMWORTH:** Można więc powiedzieć, że lekarze nie podzielali waszej opinii?

**JILL ANDERSON:** Tak. Oczekiwaliśmy pomocy w leczeniu rzeczywistej choroby. Oczekiwaliśmy, że jakiś lekarz ogólny potwierdzi jej istnienie.

**DETEKTYW BOSOMWORTH:** I radziliście sobie jakoś do czasu, kiedy znaleźliście ostatniego lekarza?

**JILL ANDERSON:** Tak.

**DETEKTYW BOSOMWORTH:** Który, jak powiedziałaś, był bardziej otwarty?

**JILL ANDERSON:** Tak. To był typowy przypadek tej choroby. W Harrogate działała grupa wsparcia dla osób z zapaleniem mózgowo-rdzeniowym. Wysłali troje dorosłych do szpitala okręgowego, żeby porozmawiali ze specjalistami o tej chorobie, o tym, jak zespół ustawicznego zmęczenia albo zapalenie mózgowo-rdzeniowe wpływa na nich i na ich najbliższych. To było troje pięćdziesięciokilkulatków, a płakali jak dzieci, kiedy wyszli ze szpitala po tej rozmowie ze specjalistami.

**DETEKTYW BOSOMWORTH:** Co takiego zrobił ten lekarz, czego nie zrobili inni lekarze, którzy nie uwierzyli ani tobie, ani Paulowi?

**JILL ANDERSON:** Okazał mu odrobinę serca. Przepisał leki i wysłuchał go. Jest uważany za najlepszego lekarza w Ripon. Ma fantastyczną reputację.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Po śmierci Paula podjęłaś decyzję o niezawiadomianiu rodziny?

**JILL ANDERSON:** To była jego decyzja.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Ani o pogrzebie?

**JILL ANDERSON:** Tak. Powiedział, że pod żadnym pozorem nie wolno mi kontaktować się z jego rodziną. Zastanawiałam się nad tym, radziłam się przyjaciół, w końcu postanowiłam napisać list do jego kuzyna, Russella Browna, który kiedyś przysłał nam kartkę świąteczną.

**TAŚMA 5: 25 STYCZNIA 2004, 12.00–12.44**

**DETEKTYW RICHARDSON:** Właśnie rozmawialiśmy o jego najstarszej siostrze, która jest przekonana, że Paul umarł zupełnie niepotrzebnie, bo gdybyś ty, Jill, stwierdziła, że nie dajesz sobie rady i nie zatrząskiwiała przed wszystkimi drzwiami, to rodzina chętnie by ci pomogła. Czy prosiłaś ich kiedykolwiek o pomoc?

**JILL ANDERSON:** Nie wierzyli w jego chorobę i byli zajęci własnymi sprawami. Mieszkaliśmy w Yorkshire. Ogromnie pomagali mi inni ludzie.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Czy prosiłaś rodzinę o pomoc?

**JILL ANDERSON:** Chyba nie. Nie pamiętam.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Kiedy odbył się pogrzeb Paula?

**JILL ANDERSON:** Nie pamiętam dokładnej daty, byłam zrozpaczona. To było w Harrogate. W przyszłości zamierzam zorganizować uroczystość pożegnalną. Przyjadą rodzina i przyjaciele, którzy tak bardzo pomagali nam podczas jego choroby.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Rozumiem. Nie zawiadomiłaś rodziny Paula?

**JILL ANDERSON:** Długo nad tym myślałam. Poprosił, powiedział mi, że jeśli coś się z nim stanie, to pod żadnym pozorem nie wolno mi się z nimi kontaktować.

**DETEKTYW RICHARDSON:** I właśnie dlatego nie powiadomiłaś ich o jego śmierci?

**JILL ANDERSON:** Początkowo. Potem porozmawiałam z przyjaciółmi i z moją rodziną i doszłam do wniosku, że napiszę do jego kuzyna Russella, który kiedyś przysłał nam kartkę z życzeniami świątecznymi. Paul był mu niezmiernie wdzięczny. Powtarzał, że przynajmniej Russell potrafi spojrzeć na tę sprawę z drugiej strony. Rodzina Paula była do nas wrogo nastawiona, nie chcieliśmy z nimi walczyć.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Ty także byłaś zdania, że Russell potrafi spojrzeć na sprawę z drugiej strony?

**JILL ANDERSON:** Tak.

**DETEKTYW RICHARDSON:** I skontaktowałaś się z nim, prawda?

**JILL ANDERSON:** Tak. Napisałam do niego list.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Mam kopię tego listu. Oryginał, rzecz jasna, jest u Russella Browna. Kopię dostarczyła mi jego młodsza siostra, dołączyłem dokument do akt z sygnaturą MAW1. Chciałbym, żebyś potwierdziła, że rzeczywiście jest to kopia listu, który do niego wysłałaś.

**JILL ANDERSON:** Tak, to ten list.

**DETEKTYW RICHARDSON:** A to chyba twój podpis?

**JILL ANDERSON:** Czy mogę spojrzeć? Dziękuję.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Dołączyłaś jeszcze to, zgadza się?

**JILL ANDERSON:** Tak. To hołd dla Paula.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Ale wydaje mi się, że oryginalnym adresatem był Hal.

**JILL ANDERSON:** I Yasue.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Tak, Yasue. Wydaje mi się jednak, że wysłałaś to do sporej grupy osób, prawda?

**JILL ANDERSON:** Owszem. Do naszych przyjaciół.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Więc to miał być twój hołd dla niego?

**JILL ANDERSON:** Tak.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Kiedy dokładnie wysłałaś ten list do Russella?

**JILL ANDERSON:** Wydaje mi się, że jakoś na początku stycznia.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Rozumiem, że nie chciałaś, by zjawili się na pogrzebie?

**JILL ANDERSON:** Zgadza się. Wolałam, żeby nie przyjeżdżali. Pogrzeb był skromny, ze względu na to, co się stało, i na sytuację, w jakiej teraz jestem. Kazałam go skremować w Harrogate. Tego sobie życzył. Byli ze mną mój brat i bratowa.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Gdzie są teraz jego prochy?

**JILL ANDERSON:** Mam je ze sobą.

**DETEKTYW RICHARDSON:** A więc chwilowo nie ma żadnego grobu ani nagrobka?

**JILL ANDERSON:** Nie, bo on sobie tego nie życzył. Chciał, żeby rozsypać jego prochy.

**DETEKTYW RICHARDSON:** I zamierzasz to zrobić?

**JILL ANDERSON:** Tak.

**DETEKTYW RICHARDSON:** W środkowej części listu do Russella znajduje się następujące zdanie: „Na wyraźne życzenie Paula, a także moje, nie zamierzam utrzymywać dalszych kontaktów z jego rodziną”.

**JILL ANDERSON:** Zgadza się.

**DETEKTYW RICHARDSON:** A także: „Przez szacunek dla Isli nie chcę rozwijać tego tematu”.

**JILL ANDERSON:** Tak.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Kiedy Paul wyraził to życzenie?

**JILL ANDERSON:** Po tym jak trzy albo cztery razy próbował porozmawiać z ojcem przez telefon. Byłam z nim w pokoju. Nie słyszałam całej rozmowy, ale Paul był bardzo uprzejmy i delikatny, starał się przekonać ojca, żeby

ten go wysłuchał, tłumaczył mu, że poważnie zachorował, że ma wirusa. Ojciec jednak nie chciał go słuchać i wtedy Paul podjął tę decyzję.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Wspomniał o tym bezpośrednio przed ostatnią próbą samobójczą?

**JILL ANDERSON:** Nie, raczej nie.

**DETEKTYW RICHARDSON:** W takim razie, może wspomniał o tym już po tej próbie, kiedy wróciłaś do domu?

**JILL ANDERSON:** Możliwe, choć nie pamiętam dokładnie. Nie rozmawialiśmy o nich zbyt często. Naprawdę się staraliśmy. Ich postępowanie głęboko nas zraniło. Nie rozumieliśmy tego.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Spodziewałaś się, że Russell Brown skontaktuje się z rodziną?

**JILL ANDERSON:** Tak. Chciałam, żeby wiedzieli.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Nie mogłaś więc wcześniej zrobić tego za jego pośrednictwem?

**JILL ANDERSON:** Mogłam, ale po tym co się stało, byłam w głębokiej rozpacz i początkowo nie zamierzałam im o niczym mówić, ale potem przekonano mnie, żebym zmieniła zdanie, bo tak jest przyzwoicie.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Czyli uważasz, że jednak mają moralne prawo rozpaczać po stracie Paula?

**JILL ANDERSON:** Tak.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Jak myślisz, czy Paul chciałby, żeby wzięli udział w jego pogrzebie?

**JILL ANDERSON:** Zdecydowanie nie.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Jego siostra twierdzi, że całkowicie go zdominowałaś, zwłaszcza po śmierci Isli, kiedy był szczególnie wrażliwy.

**JILL ANDERSON:** To nieprawda.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Inni członkowie rodziny są podobnego zdania. Uważasz, że nie mają racji?

**JILL ANDERSON:** Tak. Paul był panem samego siebie. Proszę zapytać ordynatora oddziału reumatologii w szpitalu okręgowym w Harrogate. On powie panu to samo.

LUTY 2003

Karetka wjechała w boczną uliczkę do Westowe Cottage. Wybieraliśmy się do miejscowego szpitala na spotkanie z ordynatorem oddziału reumatologii. Paulowi bardzo zależało na tej konsultacji i przekonał lekarza pierwszego kontaktu, żeby wystawił skierowanie. Paul był przekonany, że ma zapalenie stawów, choć wyniki badań krwi na to nie wskazywały. Pracowałam do późnej nocy i byłam wykończona. Po raz pierwszy Paul pojechał na konsultację do szpitala w pizamie. Już nie potrzebował ubrania.

Był wietrzny lutowy dzień. Na dworze wszystko sprawiało wrażenie przesiąkniętego wilgocią; jakby spadł śnieg, który zaraz się roztopił. Powietrze było jednak świeże i rześkie. Dwuosobowa załoga karetki, łagodnie zachęcając do wysiłku, zaprowadziła go do ambulansu i ułożyła na wąskich noszach. Byli życzliwi i uprzejmi, cały czas mówili do niego uspokajającym tonem. Usiadłam obok i dałam się ukołysać łagodnej melodii słów. Paul i ja mieliśmy oczy szkliste z niewyspania. Skulił się, zacisnął dłonie. Załoga próbowała wciągnąć nas do rozmowy, ale my byliśmy zanadto przygnębieni. Wymienili spojrzenia i zostawili nas w spokoju. Paul boleśnie odczuwał kołysanie i podskoki samochodu. Minęliśmy wieś, w której mieszkaliśmy w Rose Cottage. Nic się nie poruszało, tylko dym unosił się z niektórych kominów, mogłam więc się domyślić, kto jest w domu, a kogo nie ma, choć nie miało to kompletnie znaczenia.

Jak tylko dotarliśmy do szpitala, sanitariusze posadzili go na wózku, szybko wprowadzili przez główne wejście, minęli recepcję i skręcili w lewo, do wind. Reumatologia była na pierwszym piętrze. Szpital przypominał bezkresny podziemny labirynt kremowych i brązowych korytarzy. Mijaliśmy sale, z których patrzyli na nas ludzie podłączeni do kroplówek. Wreszcie znaleźliśmy się na oddziale. Sanitariusze wprowadzili wózek do gabinetu lekarskiego, ostrożnie przenieśli Paula na łóżko i ponownie wymienili spojrzenia. Czekaliśmy. Przyjechaliśmy dwadzieścia minut przed czasem. Mimo wczesnej pory, Paul trzymał się ostatkiem sił. Twarz miał bladą jak upiór. Czułam, że muszę napić się kawy. Machnął ręką, żebym sobie poszła. Zrobiłam to niechętnie.

Kiedy wróciłam, trwało już badanie. Lekarz miał krótko ostrzyżone, jasnobrązowe włosy i głęboko osadzone oczy. Zachowywał się profesjonalnie. Podniósł ramię Paula, a on krzyknął głośno.

– Pańska tkanka chrzęstna uległa zwapnieniu.

Spojrzeliliśmy na siebie, wstrząśnięci. Od dawna podejrzewaliśmy coś takiego, ale nie chcieliśmy usłyszeć prawdy. Oczy Paula przybrały nieobecny wyraz, który już nigdy go nie opuścił. Zdołał jakoś unieść się na łokciu

i powiedział:

– Walczę o przeżycie.

Następnie w skrócie opisał objawy, wskazujące na zapalenie mózgowo-rdzeniowe i zespół ustawicznego zmęczenia. Lekarz słuchał w milczeniu. Było jasne, że nie jest w stanie nic dla niego zrobić.

– Skąd przyszedł panu do głowy infliksymab i talidomid? – zapytał wreszcie.

Paul udzielił fachowej odpowiedzi. Lekarz wysłuchał go ze zmrużonymi oczami. Paul opadł z powrotem na łóżko.

– Proszę jeszcze raz zrobić badanie krwi – powiedział lekarz, nagryzmołił coś na kartce, wcisnął mi ją w rękę i wymknął się chyłkiem.

Nawet nie musieliśmy na siebie patrzeć. Pomogłam Paulowi usiąść w fotelu na kółkach i wyprowadziłam go z gabinetu. Drzwi do sąsiedniego pokoju były otwarte. Stał tam nasz lekarz i rozmawiał z jakąś kobietą. Paul był potargany, włosy opadały mu na oczy i kark. Staralam się iść tak szybko i ostrożnie, jak to tylko możliwe. Był w paskudnym nastroju, zaciskał palce na poręczach fotela. Jakoś dotarliśmy do punktu pobrań. Nie zamieniliśmy ani słowa.

Później czekaliśmy na zimnie, aż przyjedzie po nas karetka. Siedział w fotelu przed szpitalem, do którego od tak wielu lat przyjeżdżał i w którym często zostawał na dłużej. Opuszczał go teraz, praktycznie nie będąc w stanie się poruszać. Zapaliłam papierosa i włożyłam mu go do ust. Tego roku znowu zaczął palić. Krzyczałam na niego, złościłam się, ale on umierał, więc to i tak nie miało większego znaczenia. Zaciągnął się. Spojrzał na mnie tak, jakby wypłynął na jeszcze bardziej mętną wodę i dostał się w zasięg potężnego wiru, początek długiego tonięcia i umierania. Złość opuściła nas oboje, ale wciąż milczeliśmy.

Pojawiła się ta sama załoga i wsadziła go do karetki. Towarzyszyła nam starsza kobieta. Siedziała za kierowcą i opowiadała o swoich problemach zdrowotnych. Kiedy dotarliśmy przed jej dom w Ripon, znaliśmy już z grubsza całą historię jej życia. Załoga karetki upewniła się, że niebawem przyjdzie do niej ktoś z rodziny albo znajomy, i zaniósł ją do domu. Ruszyliśmy w dalszą drogę. Paul leżał bez ruchu, z zamkniętymi oczami. Karetka jechała powoli między nasiąkniętymi wodą polami, kierując się według moich wskazówek. Jeden z mężczyzn opowiadał jak to już osiem razy bezskutecznie podchodził do egzaminu na sanitariusza.

– Proszę się nie martwić, na pewno w końcu pan zda – powiedział Paul.

Dotarliśmy do domu. Załoga karetki odprowadziła go do drzwi, dalej zajęłam się nim sama. Jak tylko weszliśmy do salonu, odepchnął mnie i pochyłony, zgarbiony, podszedł do kominka. Stał tam przez chwilę, a następnie powoli ruszył na piętro. Kiedy później dokładałam do kominka, zaczął wołać z sypialni, żebym tak bardzo nie hałasowała.



*Trzykrotnie ocaliła mu życie, aż w końcu zdała sobie sprawę, że to nie może trwać wiecznie, że nie da rady pilnować go bez przerwy i modlić się, żeby nie odebrał sobie życia.*

*Ileż dla niego robiła! Troszczyła się o wszystko, opiekowała się nim, zaspokajała jego życiowe potrzeby. Szanowała jego intelekt i rozsądek, a co najważniejsze, kochała go z oddaniem.*

*„Żałuję, że nie wezwałam pomocy. Gdybym to zrobiła, żyłby”. Tak teraz uważa. Jeśli wolno mi zauważyć, nigdy wcześniej nie zdobyła się na taki przejaw egoizmu.*

Z mowy końcowej obrońcy

**TAŚMA 5: 25 STYCZNIA 2004, 12.00–12.44, C.D.**

**DETEKTYW RICHARDSON:** Jak układały ci się stosunki z Islą?

**JILL ANDERSON:** Fantastycznie. Nie wyobrażam sobie lepszej teściowej. Nie wierzyłam swojemu szczęściu. To było wspaniałe.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Czy tak było przez cały czas, aż do jej śmierci?

**JILL ANDERSON:** Tak, coraz lepiej.

**DETEKTYW RICHARDSON:** W jaki sposób udało wam się tak blisko zaprzyjaźnić?

**JILL ANDERSON:** Kontaktowaliśmy się głównie telefonicznie. Często z nimi rozmawialiśmy. W Rose Cottage czuł się na tyle dobrze, żeby rozmawiać z nimi co tydzień, i ja też to robiłam. To były wspaniałe stosunki. Wysyłaliśmy im w podarunku nasiona z naszego ogródka.

## SIERPIEŃ 1998

Siedzieliśmy na naszych zielonych plastikowych krzesłach z wysokimi oparciami. Kupiliśmy je w B&Q, sklepie dla majsterkowiczów. Rozglądaliśmy się po naszym królestwie. Królestwie, które wspólnie stworzyliśmy – ogrodzie na tyłach Rose Cottage. Przeprowadziliśmy się tu z Pateley Bridge na święta 1996 roku. Dwa lata i siedem miesięcy później mogliśmy ocenić wyniki naszej wspólnej pracy, głównie moje projekty i jego wykonanie – mieliśmy własny skrawek raj. Oparł się wygodnie, zamknął oczy i wyciągnął rękę. Podałam mu swoją i oboje się odprężyliśmy.

Wśród pachnącego groszku, który piął się po bambusowych tyczkach uwijały się pszczoły. Motyle – rusalki: ciemnoczerwone admiralty i jaskrawe pawiki ze wzorami w kształcie pawich oczu, tłoczyły się wokół krzewów budlei, które wysiał. To roślina łatwa w hodowli, niewymagająca, często wyrasta przy torach kolejowych. Motyle piły z fioletowych, różowych i białych kielichów. W stawie, który wykopał, mieszkały rozmaite pełzające stwory zajmujące się swoimi sprawami z taką samą pewnością siebie jak wszelkie miejskie męty. Po powierzchni ślizgały się nartniki, wśród kamieni przy brzegach rozsiadły się żaby, po dnie pełzały ślimaki. Maleńkie, mikroskopijne zagłębienie w powierzchni planety, a mimo to tętniące życiem. Przypomniałam sobie wiersz Williama Blake'a: *Zobaczyć świat w ziarenku piasku,/ Niebiosa w jednym kwiecie z lasu./ W ściśniętej dłoni zamknąć bezmiar,/ W godzinie – nieskończoność czasu*<sup>1</sup>. Kiedyś w tym miejscu było śmietnisko. Wybrałam z gliniastej gleby kamienie i odpadki, po czym wymieszałam ją z kompostem. Miejscowy farmer obdarował nas przyczepą nawozu. Teraz ziemia była soczysta i czarna jak lukrecja. Paul wyhodował nasze trzy trawniki, pooddzielane rabatami z polnymi kwiatami i roślinami jednorocznymi. Trawniki były równe jak stół i zielone jak sukno na stołach bilardowych. I oto byliśmy, król i królowa tego skrawka w tym małym kraju, gdzie ziemia jest zbytkiem, a ogrodnictwo ludzie mają we krwi.

Nasz ogród miał kształt mocno wydłużonego prostokąta nierównej szerokości. Z jednej strony graniczył z wysokim żywopłotem, za którym rozciągały się pola. Z drugiej strony od sąsiadów oddzielał nas drewniany płot. Na ten skrawek ziemi sypaliśmy przeróżne nasiona kupowane w katalogach. Do późnej nocy czytaliśmy w łóżku fachowe książki i czasopisma, wycinając interesujące nas artykuły. Kiedy na zewnątrz szalały wichura i ulewa, przynosiliśmy rozsady do domu i ustawialiśmy doniczki na podłodze w salonie, przykrywszy ją uprzednio gazetami. On miał swoje sadzonki, a ja swoje. Znosiłam do domu pakieciki i torebki z fotografiami kwiatów, zbierałam po naszych rodzinach nasiona

i suszyłam je.

Pierwsza część ogrodu była przeznaczona do uprawy warzyw. Zasadziliśmy w niej głównie ziemniaki. Trzy odmiany: najwcześniejsze, wczesne i te normalne. Był sierpień, więc pod ziemią błyskawicznie dojrzewały bulwy zasadniczego zbioru. Wokół tyczek pięły się kwitnące na biało i czerwono pędy fasoli; wystarczyło się nieco uważniej przyjrzeć, by dostrzec zawiązujące się strąki. Zbliżała się pora zbiorów. Nieco wcześniej pędy grochu powędrowały w górę, oplatając patyki, z których ustawiliśmy płotek. Zaczynająca dojrzewać kukurydza stała na baczność w równych rzędach. W przerwach między zagonami pleniły się truskawki. Na zagonach z kalifornijskim makiem rosły także szpinak, sałata i marchew. Jasnozielone liście pasternaku sięgały do kolan, każąc się jedynie domyślać obecności ukrytych korzeni. Liście soczystych buraków o burgundowych ogonkach i sukulenty tworzyły nieprzeniknioną płataninę. Nad grządkami górowały rosnące grupkami słoneczniki, kierując złociste głowy ku ciepłu i światłu.

Nagle rozległ się głośny pisk i fukanie. Siatka wokół grządki z truskawkami zatrzęsała się gwałtownie. Oboje poderwaliśmy się jak na komendę. Coś wpadło w pułapkę. Kiedy dobiegliśmy do grządki, zobaczyliśmy jeża. Zaplątany w siatkę, zwinął się w kolczastą kulę. Paul wziął go ostrożnie w ręce i delikatnie wyplątał jego łapki z siatki. Zwierzątko leżało nieruchomo jak martwe. Patrzyłam bezradnie na Paula, który kazał mi pójść po wodę i chleb. Przyniosłam miseczkę, a on postawił ją na ziemi przed leżącym wciąż bez ruchu stworzonkiem.

– Daj mu czas, dojdzie do siebie – powiedział.

Kiedy kilka godzin później wróciliśmy w to miejsce, jeża już nie było.

Usiedliśmy potem w salonie, a on pracował nad kawałkiem drewna. Po wichurze znalazł ułamaną gałąź, którą ostrugał, wyrzeźbił i wypolerował. Miała to być laska. Moja matka korzystała z niej później przez jakiś czas, po czym mi ją zwróciła. Zamierzam jej używać w przyszłości. Gdy się zestarzeję, chcę opierać się na niej i ścisnąć gałąkę w kościstej dłoni. Kiedy w końcu położyliśmy się do łóżka, zabraliśmy ze sobą trochę ciepła dnia. Myśleliśmy o jeżu.

Nazajutrz otrzymaliśmy list z nominacją do nagrody dla najlepszego biura tłumaczeń w Wielkiej Brytanii. Sprawilo nam to więcej satysfakcji, niż mogliśmy sobie wyobrazić. Przez cały dzień cieszyliśmy się tą wiadomością. Zadzwoniliśmy do naszych rodzin, żeby podzielić się tą informacją.

– Zawsze w was wierzyłam – powiedziała nam jego matka.

Za każdym razem, kiedy do niej dzwoniliśmy, mogliśmy liczyć na życzliwość i akceptację.

1 *Wróżby niewinności*, przeł. Zygmunt Kubiak.

*Bez względu na jego poglądy dotyczące psychiatrów, możemy z całą pewnością stwierdzić, że był człowiekiem zdrowym na umyśle i inteligentnym. Jeśli ktoś taki postanowi umrzeć, to czy można go powstrzymać inaczej, niż wsadzając w kaftan bezpieczeństwa? Paul Anderson miał czterdzieści trzy lata. Czekало go jeszcze czterdzieści lub pięćdziesiąt lat nieustającego bólu. Miał prawo wybrać śmierć.*

Z mowy końcowej obrońcy

**TAŚMA 5: 25 STYCZNIA 2004, 12.00–12.44, C.D.**

**DETEKTYW BOSOMWORTH:** Wracając do waszych stosunków: Isla umarła w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym dziewiątym.

**JILL ANDERSON:** Tak.

**DETEKTYW BOSOMWORTH:** Sprawa z kartką urodzinową, która została podarta albo wyrzucona, nie miała większego znaczenia.

**JILL ANDERSON:** Nie.

**DETEKTYW BOSOMWORTH:** Bardzo ceniłaś wszystko, co dostałaś od Isli.

**JILL ANDERSON:** Tak.

**DETEKTYW BOSOMWORTH:** W tym także tę kartkę z życzeniami.

**JILL ANDERSON:** Tak.

**DETEKTYW BOSOMWORTH:** Gdzie są teraz pozostałe kartki?

**JILL ANDERSON:** To było dawno temu. Chyba mało kto przechowuje kartki z życzeniami urodzinowymi, prawda?

**DETEKTYW BOSOMWORTH:** Czy zachowałaś cokolwiek z tego, co dała ci Isla?

**JILL ANDERSON:** Trochę drobiazgów. Przepraszam, ale chciałabym poradzić się mojego prawnika.

**DETEKTYW BOSOMWORTH:** Czy mamy przerwać przesłuchanie?

**JILL ANDERSON:** Nie, nie trzeba.

**PRAWNIK:** Oczywiście, jeśli panowie macie jeszcze do nas jakieś pytania.

**DETEKTYW RICHARDSON:** A miałybyś coś przeciwko temu, Jill?

**JILL ANDERSON:** Nie.

**DETEKTYW RICHARDSON:** To dobrze.

MARZEC 1999

Przeplakał całą noc. Mogłam tylko mówić mu różne głupoty. Nieczęsto płakał – mnie zdarzało się to znacznie częściej – ale jeśli już to robił, to przynosiło mu znaczną ulgę. Od razu było między nami lepiej.

– Ona zawsze będzie z tobą.

Nie zwrócił na to uwagi.

– Mamo, mamo...

Ubieraliśmy się o świcie tonącym we mgle, z którego rozwinął się pogodny dzień. Niebo było granatowe, słońce świeciło jasno, pączki z dnia na dzień robiły cię coraz większe. Kiedy wychodziliśmy, przed swój dom wyszli nasi sąsiedzi, Dot i Tony, i zapytali, dokąd się wybieramy. Powiedziałam im, po czym wsiedliśmy do samochodu. Mieliśmy czerwonego rovera. Do Gretny jechało się dwie godziny. On prowadził. Nie rozmawialiśmy, a jeśli już ktoś się odzywał, to czynił tylko banalne uwagi. Wjeżdżając na most prowadzący do miasta, nie wykrzyknęliśmy „Szkocja!”, jak zwykle czyniliśmy. W ciągu kilku minionych tygodni widzieliśmy się z nią dwa razy: raz w szpitalu i raz w domu, dokąd odesłano ją, żeby umarła. Nic więcej nie mogli dla niej zrobić. Lekarz powiedział jej, że już po wszystkim, po czym objął ją i mocno przytulił. Zaczekała jeszcze trochę i odeszła dwa dni po urodzinach Paula, 27 lutego 1999. A teraz leżała w kostnicy.

Przejechaliśmy przez dzielnicę handlową z punktami bukmacherskimi, sklepami mięsnymi i z alkoholem. W rynsztokach walały się porzucane gazety. Wszystko wydawało nam się paskudne, niemiłe i byle jakie. Jechaliśmy do domu jego siostry. Po obu stronach ulicy stały puste domy z drzwiami i oknami zabitymi deskami. Wreszcie dotarliśmy do starannie zaprojektowanego, nowoczesnego osiedla domów komunalnych. Piętrowe domy z czerwonej cegły stały wokół rozległego zielonego placu, ale z rosnącej tam kiedyś trawy zostały tylko nieliczne kępki. Dzieci grały tu w piłkę, a dorośli wyprowadzali psy na spacer. Jego siostra mieszkała po sąsiedzku z rodziną awanturników, ale ponieważ była dla nich miła, matka Paula uważała, że jej córce nic nie grozi. Opowiadała mi o nich najrozmaitsze historie. Wsiadając z samochodu, przyjrzałam się ich domowi. Był zaniedbany, na błotnistym podwórku walały się śmieci. Kontrast był tym większy, że mąż siostry Paula dbał o dom, który był schludny i czysty. W ogródku wspaniałe rośliny rosły wśród ścieżek wysypanych białymi kamykami. Wewnątrz także było bardzo czysto, a ściany pomalowano na egzotyczny kolor.

Cała rodzina tłoczyła się w salonie. Jego młodsza siostra z mężem przywitali nas głośno, ściskając i całując. Wszędzie roило się od dzieci, siostrzeńców i bratanków, byli też jego brat z żoną i druga siostra z mężem. Ojciec założył

najlepszy garnitur.

– Dlaczego tak się ubrałeś? – zapytał najstarszy syn, brat Paula.

– Bo ona tak by chciała – padła odpowiedź.

Nieustannie brzęczały filiżanki z mocną herbatą. Po tym jak szwagier Paula wykupił dom, co najmniej dwa razy w roku zmieniali wystrój wewnątrz. Siostra Paula pokazała mi obrazy, które malowali. Jej mąż był nauczycielem plastyki i zastępcą dyrektora szkoły. Powiedziałam, że obrazy są tak dobre, że mogliby je sprzedawać. Zabijałyśmy tylko czas, w gruncie rzeczy nie miałyśmy pojęcia, o czym rozmawiać. Wszyscy chcieliśmy jednego: żeby Isla znowu była z nami.

Przyjechały samochody z zakładu pogrzebowego. Do pierwszego wsiedli Paul, jego ojciec i rodzeństwo, do drugiego ich żony i mężowie. Początkowo starałam się podtrzymać niezobowiązującą rozmowę, ale nikt nie był w odpowiednim nastroju, więc umilkłam. Droga do kościoła zajęła nam niespełna pięć minut. Była to ogromna szara budowla w typowo szkockim stylu. Jego wysokie wieże dominowały nad okolicą. Isla ze szczegółami zaplanowała uroczystość. Paul skulił się w ławce, przyciskając dłonie do brzucha. Namawiałam go, żeby zjadł coś na śniadanie, ale nie chciał. Jego siostra odczytała mowę pogrzebową. Było w niej mnóstwo wzmianek o dobroci zmarłej. Siedzieliśmy w pierwszej ławce. Rozejrzałam się dookoła. Kościół miał wysokie sklepienie. Zadrżałam. Panował taki ścisk, jakby na ceremonii stawiała się cała społeczność Gretny. Wszyscy sprawiali wrażenie zmęczonych życiem. Wydawali się starsi, niż byli w istocie. Założyli swoje najlepsze stroje. Po mowie wszyscy zaszurali podszwami i podnieśli się z miejsc, by odśpiewać hymn. Tylko Paul został w ławce. Nabożeństwo zakończyło *What a Wonderful World* w wykonaniu Nata Kinga Cole'a i łzy popłynęły obficie. Paul pochylił się do mnie i szepnął:

– Zaraz zwymiotuję.

– Czy ma pani jakiś foliowy woreczek? – zapytałam siedzącą obok mnie kobietę, ale ona tylko spojrzała na mnie tępo. Przyjrzałam się swojej torebce, ale była stanowczo za mała.

– Kapelusz! – szepnął.

Zdjęłam kapelusz, prezent od mojego brata i jego przyjaciółki. W rosyjskim stylu, obrębiony sztucznym futrem. Paul natychmiast do niego zwymiotował. Gapiałam się na mój zniszczony kapelusz. Nabożeństwo dobiegło końca, wierni jak w transie opuszczali świątynię. Paul i ja, zataczając się, także wyszliśmy na zewnątrz. Niosłam kapelusz jak bukiet. Pytałam ludzi, czy wiedzą gdzie jest kosz, ale wszyscy tylko kręcili głowami i szli dalej. Zapytałam wreszcie jakąś zakonnice, a ona powiedziała mi, żebym wyrzuciła go gdziekolwiek. Zostawiłam go więc na ławce w przedsionku. Kiedy powiedziałam o tym księdzu, spojrzał na mnie, jakbym przyjechała z innego kraju. W milczeniu wsiedliśmy z powrotem do samochodów. Ponownie znalazłam się z żonami i mężami członków najbliższej



rodziny. Byłam wściekła, że nas rozdzielono. Nikt się nie odzywał, tylko ja znowu próbowałam nawiązać rozmowę z jednym z jego szwagrów.

– Masz piękny głos – powiedziałam szeptem.

Śpiewał podczas nabożeństwa, w swoim miasteczku należał do chóru. Wymamrotał coś w odpowiedzi i zaczął patrzeć przez okno. Zrezygnowałam z rozmowy. Obserwowałam karawan jadący dwa samochody przed nami. Dotarliśmy do krematorium. Mieściło się w podłużnym betonowym budynku. Po kolejnej ceremonii obserwowaliśmy, jak trumna z ciałem Isli wsuwa się między sztuczne płomienie. Nic już nie będzie takie samo bez rozjemcy i dobrego ducha rodziny. Jego ojciec klęczał w pierwszym rzędzie. Potem wszyscy wyszliśmy na zewnątrz, a ja z jakiegoś powodu powiedziałam do jednej z jego ciotek:

– Jaki piękny dzień.

Skinęła głową. Poczułam się okropnie. Uczestnicy ceremonii pogrzebowej stali przed krematorium, mrużąc oczy w blasku słońca. Staliśmy na dużym, wysypanym żwirem dziedzińcu, na którym w długich rzędach poukładano wieńce dla tych, którzy tego dnia odeszli. Zastanawialiśmy się, co można by powiedzieć. Jego siostry trzymały się blisko ojca. Kiedy się zbliżyłam, natychmiast wyczułam ich wrogość. Uśmiechnęłam się niezręcznie i wróciłam do Paula. Chodziliśmy między rzędami wieńców, odczytywaliśmy napisy na szarfach, w końcu znaleźliśmy kwiaty od nas. W naszym imieniu zamówiła je jego młodsza siostra. Paul ułożył napis na szarfie, dla niej i dla nas:

*Choć Cię nie widzimy, czujemy na nas Twoje troskliwe, kochające spojrzenie. Nic nie jest w stanie zerwać więzów łączącej nas miłości. Nie jesteśmy i nigdy nie będziemy sami. Kochamy Cię, Paul i Jill.*

Podszedł do nas jego kuzyn Russell. Był niewysoki i szczupły, lekko łysawy, ale schludny. Nie miałam okazji wcześniej go poznać, ponieważ nie ruszał się z Westminsteru. Nie bardzo wiedziałam, jak się powinnam zachować, więc powiedziałam:

– Widujemy cię czasem w telewizji.

Skinął głową, przyjrzał mi się, po czym wymamrotał pod nosem, że nie może zostać dłużej, i ulotnił się. Nigdy więcej go nie widziałam. Lubiliśmy jego matkę, ciotkę Muriel, i kilka lat wcześniej odwiedziliśmy ją w Annan. Mieszkała w małym piętrowym domku i paliła jak lokomotywa. Pewnego wieczoru jej córka postanowiła odwiedzić znajomych po imprezie. Muriel nie chciała jej puścić, ale ona się uparła, i już nie wróciła. Zginęła w wypadku. Muriel nigdy sobie tego nie wybaczyła.

Wróciliśmy do samochodów. Miałam ochotę powiedzieć, że powinniśmy wracać do domu. Twarz Paula była popielatoszara. Bałam się, że zemdleje. Zapytałam, czy chce zostać, a on odpowiedział, że tak. Przyjechaliśmy na stypę, którą urządzono w szkolnej sali. Przy jednej ścianie stał duży stół z półmiskami

pełnymi kanapek; resztę pomieszczenia zajmowały stoliki i krzesła, jak w restauracji. Wszyscy rzucili się na jedzenie. Byliśmy potwornie głodni. Jego młodsza siostra pokazała mi zdjęcie Isli w wieku czterdziestu kilku lat, kiedy mieszkali w Zimbabwie. Z trudem ją rozpoznałam. Była taka młoda i promienna. Zapytałam jego siostrę, czy mogłabym dostać odbitkę. Zacisnęła usta i szybko zmieniła temat. Odwróciłam się do innych krewnych i znajomych, którzy stali dokoła, przeżuając. Paul siedział skulony przy stole z kanapkami. Porozmawiałam jeszcze przez chwilę, po czym podeszłam do niego.

Razem z nami siedziały dzieci, smutne i przygnębione. Zagadywałam je pojedynczo, zadawałam standardowe pytania o szkołę, kolegów i zainteresowania. Były miłe, ponury nastrój stopniowo się ulatniał, ożywiły się, zrobiły się hałaśliwe i w końcu zaczęły się bawić. Paul siedział zgięty wpół, nie był w stanie uczestniczyć w rozmowie. Jego rodzina zasiadła przy dużym stole w głębi sali. Nie odzywałam się do nich. Z wyrazu twarzy domyśliłam się, że nie są zachwyceni Paulem. Wstałam, żeby zamienić parę słów z krewnymi, których lubiłam: wujkiem Tomem i cicią Jean, Gusem i jego żoną. Zapytali, co się dzieje z Paulem. Odparłam, że wciąż nie mamy pojęcia. Lekarze niczego nie potrafią znaleźć, choć oboje wiemy, że na pewno jest na coś chory. Wymamrotali, że bardzo im przykro, patrząc na mnie ze współczuciem, ale i tak wszyscy myśleliśmy wyłącznie o Isli. Ponownie usiadłam, niemal od razu przyłączyło się do mnie kilkoro spośród młodszych krewnych. Siostra jego szwagra rozmawiała ze swoim chłopakiem o tych wszystkich, którzy powinni byli się zjawić. W związku z rodzinnymi niesnaskami nie zjawilo się kilkoro kuzynostwa. Spojrzałam na Paula. Siedział przy stole samotny, w milczeniu, zgięty wpół, tak że brodę prawie oparł na blacie. Podeszłam do niego.

– Chyba powinnam odstawić cię do domu – powiedziałam.

Przyznał mi rację. Pomogłam mu wstać i razem ruszyliśmy w kierunku wyjścia. Poinformowałam kilkoro krewnych o tym, że wychodzimy, a oni życzyli nam wszystkiego najlepszego. Lawrence, przyjaciel jednej z jego siostr, obiecał, że przyśle nam trochę informacji o zapaleniu mózgowo-rdzeniowym i zespole ustawicznego zmęczenia. Powiedziałam mu, że to chyba nie to. U Paula stwierdzono stan po infekcji wirusowej. Dałam mu nasz adres.

– Przepraszam, źle się czuję, musimy iść – przerwał mi Paul.

Minęliśmy stolik, przy którym siedziała jego rodzina i poszliśmy dalej. Jego ojciec i młodsza siostra ruszyli za nami. Wyszliśmy na ulicę i tam ich przeprosiłam.

– Musimy jechać. Chętnie byśmy zostali dłużej, ale nie możemy. Przykro nam.

– Chcemy tylko, żebyście byli szczęśliwi – powiedzieli.

– Jesteśmy – odparłam.

– Wybacz, tato – powiedział Paul, i pojechaliśmy.

Podróż była męcząca. Paul uparł się, żeby prowadzić, bo to miało pomóc mu zapomnieć o bólu. Co za okropny dzień, co za okropny dzień, powtarzałam w myślach, siedząc obok niego. Jak sobie poradzimy bez Isli, bez jej dobroci i wsparcia? Jak przeżyjemy te wszystkie chwile bez niej? Wiedziałam, że Paul myśli to samo.

**TAŚMA 5: 25 STYCZNIA 2004, 12.00–12.44, C.D.**

**DETEKTYW BOSOMWORTH:** Wiemy już, że rozmawialiście o tym, że chciałby, żeby jego prochy zostały rozsypane. Rozmawialiście o jakichś innych rzeczach, które miałyby się wydarzyć po jego śmierci?

**JILL ANDERSON:** Powiedzieliśmy sobie wzajemnie o naszych życzeniach dotyczących tego, co ma się z nami stać po śmierci. Oboje chcieliśmy, żeby nas skremowano i żeby prochy zostały rozsypane.

**DETEKTYW BOSOMWORTH:** Wydaje mi się, że pytam o to po raz drugi: Czy był jakiś konkretny powód, dla którego rozmawiał z tobą o tych sprawach?

**JILL ANDERSON:** Byliśmy jak każda para, która rozmawia ze sobą o takich rzeczach, po prostu dlatego że są ważne.

**DETEKTYW BOSOMWORTH:** Wspomniałaś, że bez przerwy o tym mówił...

**JILL ANDERSON:** Nie, nie bez przerwy.

**DETEKTYW BOSOMWORTH:** Jestem bardzo zżyty z moją żoną. Przypuszczam, że powiedziałem jej, co powinno stać się ze mną po mojej śmierci, ale z pewnością nie powtarzam jej tego ciągle. Mógłbym to robić tylko wtedy, gdybym miał poważne obawy o życie. Czy Paul bał się o swoje życie?

**JILL ANDERSON:** Nie. Wspominał o tych sprawach tylko od czasu do czasu.

**DETEKTYW BOSOMWORTH:** Wcześniej kilka razy targnął się na życie. Może właśnie dlatego wracał do tego tematu?

**JILL ANDERSON:** Mówił o tym na przykład wtedy, kiedy miał problemy z rodziną, kiedy prosił: „Tato, czy możemy wreszcie to wyjaśnić? Mam wirusa”.

**DETEKTYW BOSOMWORTH:** Ale rodzina wciąż miała na ten temat inne zdanie?

**JILL ANDERSON:** Tak.

**DETEKTYW BOSOMWORTH:** I to właśnie było przyczyną rozłamu?

**JILL ANDERSON:** Tak. Nie chciał ich więcej widzieć. Sam podjął tę decyzję. Usiłował dogadać się z nimi przez telefon. Przekazał mi, że ktoś z nich powiedział, że chętnie by go zabił.

**DETEKTYW BOSOMWORTH:** To bardzo mocne słowa: chcieć kogoś zabić tylko dlatego, że jest chory.

**JILL ANDERSON:** Owszem.

**DETEKTYW BOSOMWORTH:** Zastanawiam się, dlaczego padły takie słowa.

**JILL ANDERSON:** A dlaczego ludzie chcą zabijać się wzajemnie?

**DETEKTYW BOSOMWORTH:** Wiesz może, czego dotyczyła ta rozmowa?

**JILL ANDERSON:** Nie. Ten krewny zadzwonił i zostawił wiadomość na automatycznej sekretarce.

**DETEKTYW BOSOMWORTH:** Byłaś w pokoju, kiedy to się zdarzyło?

**JILL ANDERSON:** Nie.

**DETEKTYW BOSOMWORTH:** A byłaś przy samej rozmowie?

**JILL ANDERSON:** Nie. Paul oddzwonił i powiedział mu, że jeśli zadzwoni jeszcze raz, to odgryzie mu głowę.

**DETEKTYW BOSOMWORTH:** Nie znasz więc brzmienia wiadomości zostawionej na automatycznej sekretarce?

**JILL ANDERSON:** Nie.

**DETEKTYW BOSOMWORTH:** Skąd więc przekonanie, że krewny był agresywny?

**JILL ANDERSON:** Paul mi powiedział.

**DETEKTYW BOSOMWORTH:** Paul rozmawiał z tobą na ten temat?

**JILL ANDERSON:** Tak.

**DETEKTYW BOSOMWORTH:** Co ci powiedział?

**JILL ANDERSON:** Że zadzwonił jeden z krewnych i że... był w morderczym nastroju.

**DETEKTYW BOSOMWORTH:** I to wszystko?

**JILL ANDERSON:** Tak.

**DETEKTYW BOSOMWORTH:** Wspomniał o powodzie, dla którego tamten miałby chcieć go zabić?

**JILL ANDERSON:** Nie.

**DETEKTYW BOSOMWORTH:** Nie powiedział, że powodem mogło być to, w jaki sposób Paul rozmawiał z ojcem?

**JILL ANDERSON:** Paul był miły dla ojca. Byłam wtedy w pokoju. Ojciec nie chciał go słuchać i pewnie dlatego Paul w końcu stracił cierpliwość.

**DETEKTYW BOSOMWORTH:** Czy Paul przyznał kiedykolwiek, że stracił cierpliwość w rozmowie z ojcem i powiedział coś niestosownego?

**JILL ANDERSON:** Byłam w pokoju i słyszałam go. Zachował się tak, jak zachowałby się każdy, kogo rodzina nie chce wysłuchać i uwierzyć, że jest naprawdę ciężko chory.

**DETEKTYW BOSOMWORTH:** Od rodziny dowiedzieliśmy się, że Paul rozmawiał z ojcem przez telefon. Nie wiem dokładnie, o co poszło, ale stracił panowanie nad sobą i powiedział coś, czego nie powinien mówić. Jeden z krewnych dowiedział się o tym, zadzwonił do niego i ostrzegł, że jeśli coś takiego się powtórzy, to da mu po głowie. Nikt nic nie mówił o zabijaniu, nie padły żadne

groźby. To oczywiście relacja drugiej strony, ale niestety Paula nie ma już wśród nas, żeby mógł przedstawić swoją wersję wydarzeń. Chciałbym wiedzieć, czy Paul zrelacjonował ci przebieg rozmowy, a jeżeli tak, to skąd wiesz, że było tak, jak powiedział, skoro nie słyszałaś ani samej rozmowy, ani wersji drugiej strony?

**JILL ANDERSON:** Paul powiedział mi prawdę. Po co miałby kłamać?

**DETEKTYW BOSOMWORTH:** Rzeczywiście.

**JILL ANDERSON:** Słyszałam mnóstwo innych rozmów między nimi. Było ich czworo na jednego.

**DETEKTYW BOSOMWORTH:** Chciałem nawiązać do tego wcześniej. Wspomniałaś, że wielokrotnie dochodziło do konfliktów, a ja chciałem ustalić, na czym one polegały. Zdaje się, że był jakiś problem z siostrą i jego dietą?

**JILL ANDERSON:** Rozmawiałyśmy o tym, a ona bardzo się zdenerwowała. Mówiła mi, co powinnam dawać Paulowi, ale ja już wtedy karmiłam go żywnością organiczną i warzywami, produktami nieprzetworzonymi, żeby tylko wrócił do zdrowia.

**DETEKTYW BOSOMWORTH:** Czy kontaktowali się z tobą inni członkowie jego rodziny?

**JILL ANDERSON:** Ja naprawdę się starałam, ale ile można wytrzymać? Starałam się być dla nich nadzwyczajnie uprzejma, słuchać ich rad, ale oni okazali się bardzo trudni we współżyciu.

**DETEKTYW BOSOMWORTH:** Co jeszcze im się nie podobało? Jestem w stanie zrozumieć, że nie zgadzali się z waszymi diagnozami. Rozumiem też, że skoro nie widywali się z Paulem, byli zainteresowani stanem jego zdrowia, a nawet dietą, ale czy było coś jeszcze, o co mieli pretensje?

**JILL ANDERSON:** Bo ja wiem? Wyczuwałam mnóstwo zazdrości.

**DETEKTYW BOSOMWORTH:** W jakim sensie?

**JILL ANDERSON:** Instynkt podpowiadał mi, że co prawda matka Paula kochała ich wszystkich jednakowo, ale Paula jednak odrobinę bardziej, i tamci byli o to zazdrośni.

**DETEKTYW BOSOMWORTH:** Czy to tylko instynkt, czy może masz jakieś bardziej konkretne dowody?

**JILL ANDERSON:** Naprawdę nie wiem, co odpowiedzieć. Stosunki rodzinne to trudna sprawa, a już na pewno były trudne w rodzinie Paula. Po śmierci Isli wszystko się zmieniło. To nie powinno się zdarzyć, ale się zdarzyło.

**DETEKTYW BOSOMWORTH:** Na jakiej podstawie tak sądzisz? Paul coś powiedział czy był inny powód?

**JILL ANDERSON:** Nie.

**DETEKTYW BOSOMWORTH:** Nie zamierzam wdawać się w medyczne rozważania, ty czytałaś na ten temat znacznie więcej ode mnie, ale czy nie może być tak, że to wszystko było tylko w jego głowie?

**JILL ANDERSON:** W żadnym razie. Miał wirusa i był naprawdę chory. Powiedział mi, że kiedyś, w przyszłości, takie wirusy będą wykorzystywane jako broń biologiczna.

**DETEKTYW BOSOMWORTH:** Jak do tego doszedł?

**JILL ANDERSON:** Był bardzo inteligentnym człowiekiem. Słuchał radia, oglądał telewizję, a ja regularnie odwiedzałam amerykańską stronę chorych na zespół ustawicznego zmęczenia. Głównie stamtąd czerpałam wsparcie i informacje.

**DETEKTYW BOSOMWORTH:** Rozumiem.

**JILL ANDERSON:** Paul wpadł na pomysł, żeby leczyć się infliksimabem, więc wstukałam nazwę tego leku na tej stronie i wyskoczył artykuł napisany przez dwóch profesorów, który całkowicie potwierdził podejrzenia Paula.

**DETEKTYW BOSOMWORTH:** Jak to się stało, że Paul zdobył te informacje akurat na kilka tygodni przed śmiercią?

**JILL ANDERSON:** Wydrukowałam artykuł, zaniiosłam mu i powiedziałam: „Twoje podejrzenia zostały potwierdzone. Objawy zgadzają się co do joty”.

**DETEKTYW BOSOMWORTH:** A więc na trzy tygodnie przed śmiercią był w stanie przyswajać i analizować informacje?

**JILL ANDERSON:** Nie. Nie przeczytał go.

**DETEKTYW BOSOMWORTH:** Przed chwilą powiedziałaś, że przeczytał.

**JILL ANDERSON:** Pomyliłam się. Nie przeczytał, ja mu opowiedziałam.

**DETEKTYW BOSOMWORTH:** Jak to zrobiłaś?

**JILL ANDERSON:** Pewnie machnęłam mu kartką przed nosem i powiedziałam: „Twoje podejrzenia zostały potwierdzone! Czy to nie wspaniale?”.

**DETEKTYW BOSOMWORTH:** Przeczytałaś mu artykuł?

**JILL ANDERSON:** Może fragmenty.

**DETEKTYW BOSOMWORTH:** Nie mam więcej pytań. A ty, Richardson?

**DETEKTYW RICHARDSON:** Tylko kilka spraw, które sama poruszyłaś.

**JILL ANDERSON:** Bardzo proszę.

**DETEKTYW RICHARDSON:** A także jedna natury medycznej, której nie zamierzałem poruszyć, ale ona jakoś sama wypłynęła. Kto pierwszy rozpoznał u niego zespół ustawicznego zmęczenia?

**JILL ANDERSON:** Jeśli dobrze pamiętam, to jakiś specjalista od płuc, do którego Paul sam zgłosił się na wizytę w szpitalu okręgowym w Harrogate. Nie przypominam sobie jego nazwiska. Po powrocie do domu Paul powiedział, że rozpoznano u niego osłabienie po infekcji wirusowej.

**DETEKTYW RICHARDSON:** A więc to nie było tak, że diagnozę postawiliście sami, na podstawie informacji wyszukanych w Internecie?

**JILL ANDERSON:** Nie.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Rozumiem.

**JILL ANDERSON:** To oczywiste, że szukaliśmy informacji. Paul od początku twierdził, że nie ma zapalenia mózgowo-rdzeniowego. Teraz jest taka tendencja wśród lekarzy, żeby nie diagnozować zapalenia mózgowo-rdzeniowego. Teraz znacznie częściej skłaniają się ku zespołowi ustawicznego zmęczenia.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Wybacz, Jill, ale muszę o to zapytać jeszcze raz: to nie była autodiagnoza?

**JILL ANDERSON:** Nie.

**DETEKTYW RICHARDSON:** To mi wystarczy. Odpowiedź brzmi „nie”. Wspomniałaś, że Paul samodzielnie podejmował decyzje?

**JILL ANDERSON:** Tak.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Czy chciałabyś coś jeszcze dodać?

**JILL ANDERSON:** Przeprowadziliśmy się do Yorkshire, żeby być blisko naszych rodzin, ale poróżniliśmy się z rodziną Paula przez zespół ustawicznego zmęczenia.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Czy twój prawnik chciałby coś powiedzieć?

**PRAWNIK:** Nie.



*Dzięki Bogu, nie wszyscy jesteśmy prawnikami i nie wszyscy patrzymy na życie przez pryzmat przepisów prawa. Zrozpaczeni ludzie nie ważą starannie wszystkich „za” i „przeciw”.*

*Miał mnóstwo powodów, żeby chcieć umrzeć. Bezustannie cierpiał, stracił pracę, zbankrutował, możemy się domyślać, że utracił szacunek do samego siebie. Próbował wielu leków. Przez osiem lat szukał pomocy u rozmaitych lekarzy: immunologów, reumatologów i wielu innych. Żaden z nich nie był w stanie dać mu nadziei ani uwolnić od nieustającego bólu.*

Z mowy końcowej obrońcy

**TAŚMA 6: 25 STYCZNIA 2004, 13.27–14.10**

**DETEKTYW RICHARDSON:** Czy możesz potwierdzić, że wszyscy tu obecni się przedstawili?

**JILL ANDERSON:** Tak.

**DETEKTYW RICHARDSON:** A także, że od poprzedniego przesłuchania nie rozmawialiśmy z tobą o twojej sprawie?

**JILL ANDERSON:** Tak.

**DETEKTYW RICHARDSON:** W porządku. Chciałbym teraz wrócić do kilku spraw, które pojawiły się w trakcie poprzedniego przesłuchania.

**JILL ANDERSON:** Dobrze.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Powiedziałaś chyba, że ramiona Paula zaczęły się kurczyć...

**JILL ANDERSON:** Jego kości stawały się coraz bardziej kruche, stopniowo tracił władzę w rękach. To był długotrwały proces.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Rozumiem.

**JILL ANDERSON:** Już po jego śmierci jedna z naszych znajomych, która cierpi na to samo schorzenie, zespół ustawicznego zmęczenia...

**DETEKTYW RICHARDSON:** Tak?

**JILL ANDERSON:** W Ameryce nie jest z tym tak ciężko jak tutaj. Przesłała mi mailem artykuł, który ukazał się w New Jersey. Przeprowadzili tam badania kliniczne na trzydziestu zdrowych ludziach i na trzydziestu osobach, u których stwierdzono zespół ustawicznego zmęczenia. W mięśniach chorych odkryto wirusa. Być może to tłumaczy, dlaczego jego kości stały się takie kruche. Wirus był w mięśniach i jego ramiona stawały się coraz chudsze.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Czyli to właśnie miałaś na myśli, mówiąc, że się kurczyły? Chodziło o to, że stawały się coraz cieńsze?

**JILL ANDERSON:** Tak.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Czy krótsze?

**JILL ANDERSON:** Cieńsze.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Cieńsze.

**JILL ANDERSON:** Tak mi się wydaje. Przyszedł mu do głowy talidomid, co wydaje mi się ciekawe.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Czy możesz powtórzyć?

**JILL ANDERSON:** Przyszedł mu do głowy talidomid, co jest ciekawe.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Ale nie brał go?

**JILL ANDERSON:** Nie pozwolili mu, bo najpierw należałoby

przeprowadzić testy kliniczne.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Rozumiem.

**JILL ANDERSON:** Pod kątem działania na zespół ustawicznego zmęczenia.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Jeśli się nie mylę, na trzy tygodnie przed śmiercią był już zbyt chory, żeby czytać?

**JILL ANDERSON:** On...

**DETEKTYW RICHARDSON:** Mój kolega wspomniał o artykule, który znalazłaś w Internecie.

**JILL ANDERSON:** Tak. Napisało go trzech... to znaczy, dwóch profesorów.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Aha.

**JILL ANDERSON:** Tak, dwóch.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Ale Paul już nie był w stanie go przeczytać, zgadza się?

**JILL ANDERSON:** Był bardzo chory i sam decydował, co będzie czytał, a czego nie, tego akurat nie musiał czytać, bo mogłam przekazać mu ustnie sens artykułu.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Rozumiem. Czyli...

**JILL ANDERSON:** Nie musiał tego czytać.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Ale czy był w stanie to zrobić?

**JILL ANDERSON:** Starał się oszczędzać siły. Naturalnie, że mógłby, ale starał się oszczędzać siły.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Czyli pod względem fizycznym był wystarczająco sprawny, żeby przeczytać ten artykuł?

**JILL ANDERSON:** Tak, gdyby zechciał.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Nie był więc aż tak bardzo chory, żeby nie wziąć czasopisma do ręki?

**JILL ANDERSON:** Nie.

**DETEKTYW RICHARDSON:** A jego...

**JILL ANDERSON:** Bardzo starannie wszystko wybierał. Był już wtedy bardzo chory.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Ale nie miał tak złego wzroku, żeby nie być w stanie przeczytać gazety?

**JILL ANDERSON:** Oczywiście, że nie. Spokojnie mógł ją przeczytać.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Rozumiem.

**JILL ANDERSON:** Ale nie musiał tego robić. Streściłam mu zawartość, trochę ją upraszczając.

**DETEKTYW RICHARDSON:** W trakcie pierwszego przesłuchania wspomniałem, że dowiedzieliśmy się o twoim poprzednim związku. Czy byłaś

wcześniej zamężna?

**JILL ANDERSON:** Nie. Przez wiele lat żyłam samotnie i czekałam na niego.

**DETEKTYW RICHARDSON:** W takim razie zupełnie nie rozumiem, skąd wziął się ten pomysł u jego rodziny.

**JILL ANDERSON:** Nie mam pojęcia.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Oni twierdzą, że dowiedzieli się o tym od Paula.

**JILL ANDERSON:** Naprawdę nie wiem. Paul nie mógł im tego powiedzieć, bo to była nieprawda. Był moim jedynym mężem.

## PAŹDZIERNIK 1992

Zerwał się i zaczął nago tańczyć po pokoju.

– Co to ma być? Giga? – zapytałam.

– Coś w tym rodzaju.

Pląsał pewnym krokiem. Obserwowałam go, podparta na łokciu. Miał owłosione nogi i uroczy uśmiech.

– Majta ci się to i owo – zauważyłam.

Owinął się ręcznikiem i tańczył dalej. Podniosłam się.

– Napijesz się herbaty?

Skinął głową i wybiegł z salonu. To było mieszkanie typu studio, z ogromną sofą w salonie. Ściany pomalowano na jasnożółto, dzięki czemu nawet w pochmurne dni mieszkanie sprawiało wrażenie słonecznego i ciepłego. Kuchnia była oddzielona od łazienki. Choć raczej małe według obowiązujących standardów, sprawiało wrażenie przestronnego i większego, niż było w istocie. Duże frontowe okna wychodziły na Roehampton, a dalej na Richmond Park. Za nami znajdowały się Putney Heath i Barnes. W mieszkaniu był także balkon, gdzie latem sączyło się drinki i skąd patrzyło się na światła miasta.

Poszłam do kuchni, napełniłam czajnik wodą i włączyłam. Poczułam dopływ świeżej energii. Otuliłam się szlafrokiem, włożyłam do kubków torebki z herbatą, zalałam wodą, dodałam mleka.

Wszedł do kuchni i pocałował mnie w kark, po czym ominął mnie i wyjrzał przez okno.

– Piękny dzień – powiedział.

Stałam obok niego. Deszcz siekł o szyby, Londyn był szary i ponury. Jedna z doniczek na balkonie kołysała się na podstawce. Spojrzałam na niego. Uśmiechał się szeroko. Wziął do ręki kubek i pociągnął łyk herbaty.

– Brr! – Odstawił kubek. – Nie wypiję tego.

– Dlaczego?

– Bo smakuje jak deszczówka. Nie umiesz zaparzyć herbaty?

– Wydawało mi się, że umiem.

Wylał do zlewozmywaka zawartość obu kubków. Poczułam, jak jeżą mi się włoski na karku. Przygryzłam wargę.

– Zacznijmy od nowa – powiedział.

Obserwowałam, jak nastawia wodę w czajniku, bierze dwa nowe kubki, wkłada do każdego torebkę z herbatą, zalewa wrzątkiem. Łyzeczką delikatnie przycisnął każdą torebkę do ścianki kubka. Herbata była ciemnobrązowa, aromatyczna. Czekał.

– Musi się zaparzyć – pouczył mnie ze swoim delikatnym szkockim akcentem.

– Czy już wystarczy?

Skinął głową. Wzięłam swój kubek, spróbowałam. Herbata była smaczna. Pociągnął łyk ze swojego kubka, spojrzeliśmy na siebie.

– Taką herbatę chcę dostawać.

– Okropnie władczy jesteś.

Wyszedł z kubkiem z kuchni. Wiatr kołysał budynkiem. Spojrzał na telefon na niedużym stoliku.

– Mogę zadzwonić do rodziny? – zapytał.

– Oczywiście.

Usiadłam obok niego na sofie. Czułam się tak, jakbym znała go od dawna. Wybrał numer, ktoś podniósł słuchawkę.

– Mamo! – wykrzyknął. – Jestem z Jill.

Przysłuchiwałam się, jak podekscytowany relacjonuje matce wydarzenia minionego tygodnia. O mnie prawie nie wspominał, przypuszczałam więc, że już powiedział o wszystkim rodzinie.

– Chcesz z nią porozmawiać? – zapytał.

Zaskoczona, skinęłam głową i wzięłam od niego słuchawkę. Przywitał mnie miły, łagodny głos.

– Witaj, Jill. Cieszę się, że mogę z tobą rozmawiać.

– Tak.

– Skąd pochodzisz?

– Z Yorkshire.

– Wiesz chyba, co mówią o ludziach z Yorkshire?

– Nie.

– Że zawsze zostają ludźmi z Yorkshire. Miałam kiedyś przeuroczą sąsiadkę z Barnsley. Robiła wspaniałe puddingi z Yorkshire. A jakie są twoje?

– Wstyd powiedzieć, ale kupuję je w supermarkecie.

– Wy, młodzi, jesteście wiecznie tacy zajęci...

– Ale to dużo wygodniej.

– Nie mogę się doczekać, kiedy cię wreszcie poznam.

Zerknęłam na niego. Udawał, że nie słucha.

– Ja też.

Zwróciłam mu słuchawkę, a on rozmawiał dalej, tym razem z ojcem. Pokój wypełnił jego śmiech.

**TAŚMA 6: 25 STYCZNIA 2004, 13.27–14.10, C.D.**

**DETEKTYW RICHARDSON:** Chciałbym wrócić do tematu kartek z życzeniami, które przysyłała Isla, matka Paula, przed swoją śmiercią w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym dziewiątym, i do innych pamiątek po niej.

**JILL ANDERSON:** Dobrze.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Zapytam ponownie: zachowałeś je?

**JILL ANDERSON:** Zdaje się, że zatrzymałam dwa albo trzy bardzo osobiste listy. Z przyjemnością dam panu oryginały albo kopie.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Masz je przez cały czas?

**JILL ANDERSON:** Tak.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Zapytam raz jeszcze: zachowałeś je?

**JILL ANDERSON:** Tak.

**DETEKTYW RICHARDSON:** W porządku. Czego dotyczyły te listy?

**JILL ANDERSON:** Są tam te wszystkie piękne rzeczy, które zawsze nam mówiła. Co się dzieje w rodzinie, jak im się układa życie... Same miłe rzeczy.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Czy w którymś z tych listów, albo w innej korespondencji z tobą lub z Paulem, wspomniała kiedykolwiek o chorobie Paula?

**JILL ANDERSON:** Nie przypominam sobie, ale dawała nam mnóstwo wsparcia.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Rozumiem.

**JILL ANDERSON:** Mnóstwo. Wciąż nam doradzała i pytała o objawy. Wtedy nie mieliśmy jeszcze diagnozy. Myśleliśmy, że chodzi o osłabienie po infekcji wirusowej. Starła się zrozumieć i pomóc.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Rozumiem.

**JILL ANDERSON:** Powiedziała też, że rozumie, dlaczego nie przyjechaliśmy z wizytą do nich do Szkocji, i w ogóle była wspaniała. Zawsze mówiła to, co należy. To, co w takiej sytuacji człowiek chciałby usłyszeć od rodziny. Naprawdę nas kochała.

## LISTOPAD 1998

Sklep w Northallerton wyglądał tak, jakby został przeniesiony w czasie z lat trzydziestych dwudziestego wieku. Sprzedawane tam rzeczy zostały zaprojektowane tak, żeby funkcjonować przez cały okres użytkowania, od małżeństwa do śmierci, a następnie trafić w ręce kolejnego pokolenia. Na chodniku przed wejściem stały różne wiklinowe koszyki, szczotki, miotły i rośliny. Sam sklep był długi i wąski, z mnóstwem schodków łączących liczne poziomy. W przedniej części urządzono raj dla ogrodników, z ogromną liczbą szpadli, łopat, motyk, grabi, sekatorów, węży ogrodniczych i rozmaitych dodatków. Całymi godzinami przebieraliśmy wśród torebek z nasionami, czytając opisy warzyw i kwiatów. Nieco dalej znajdował się dział dla majsterkowiczów, z gwoździami i śrubami starannie posegregowanymi w kartonowych pudełkach na sięgających do sufitu półkach. Staliśmy w głębi sklepu. Dotarcie tutaj zajęło nam sporo czasu. Były tu błyszczące mosiężne imbryki gotowe w każdej chwili zawisnąć nad ogniem w palenisku kominka. Były porcelanowe serwisy obiadowe ze wszystkimi możliwymi dodatkami, tace z zagłębieniami na bułeczki i papierowe tuby do wyciskania kremu. Wybraliśmy wielką glazurowaną makutrę z ozdobnym brzegiem. Wśród ogólnej wesołości właściciel, starszy mężczyzna z binoklami na nosie, przyjął od nas pieniądze i obwieścił transakcję dzwonkiem staromodnej kasy. Jego żona, same krągłości i wypukłości, zapakowała nam makutrę w torbę z brązowego papieru.

Ściemniało się, kiedy wyszliśmy ze sklepu. Była chłodna listopadowa sobota; podnieśliśmy kołnierze kurtek i ciaśniej owinęliśmy szyje szalikami. Nieliczne liście, których nie porwał wiatr, plątały nam się pod nogami, kiedy zmierzaliśmy do samochodu. Ludzie przemykali skuleni, spiesząc się do domów. My też wracaliśmy do domu.

Później Paul upiekł cytrynowe ciasteczka. Były przepyszne.



*Bezpośrednią przyczyną śmierci Paula Andersona było zatrucie morfiną, można więc powiedzieć, że sam spowodował swoją śmierć i że doprowadziła do niej morfina. Przedawkowaniu morfiny można zaradzić stosunkowo łatwo, a więc niewezwanie pomocy medycznej miało w tym przypadku, w związku z ryzykiem śmierci, bardzo poważne konsekwencje. Trudno sobie wyobrazić, że nie zorientowała się, że Paul Anderson przyjął zdecydowanie zbyt dużą dawkę.*

*Jest całkowicie oczywiste, że niewykonanie tej prostej i nieskomplikowanej czynności, jaką jest wezwanie pomocy, niosło ze sobą poważne ryzyko śmierci. Gdyby to zrobiła, z dużą dozą prawdopodobieństwa można przyjąć, że ocaliłaby życie męża.*

Z mowy końcowej oskarżyciela

**TAŚMA 6: 25 STYCZNIA 2004, 13.27–14.10, C.D.**

**DETEKTYW RICHARDSON:** Poza listami i korespondencją między Islą i tobą oraz między Paułem i jego siostrą, czy jacyś członkowie rodziny Paula nawiązywali z tobą kontakt podczas jego choroby?

**JILL ANDERSON:** Nie przypominam sobie.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Wiem, że rozmawialiście przez telefon.

**JILL ANDERSON:** Tak, i początkowo dostawaliśmy kartki świąteczne i prezenty, i w ogóle. Isla i ja utrzymywałyśmy kontakt listowny. Pisałam do niej. Część kopii została na twardym dysku naszego maca. Listów, które wysłałam.

**DETEKTYW RICHARDSON:** A co z urodzinami Paula i świętami Bożego Narodzenia? Wspomniałaś o kartkach; czy jego rodzina regularnie je przysyłała, czy może jacyś jej członkowie nigdy tego nie robili?

**JILL ANDERSON:** Regularnie dostawał kartki aż do chwili, kiedy nastąpił rozłam. Potem to się skończyło.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Zupełnie?

**JILL ANDERSON:** Tak mi się wydaje. Ludzie czasem zapominają o takich sprawach, prawda? To chyba nic wielkiego?

**DETEKTYW RICHARDSON:** Czy poza jego najstarszą siostrą był jeszcze ktoś, kto usiłował nawiązać nic porozumienia, pisząc listy albo telefonując?

**JILL ANDERSON:** Latem dwa tysiące pierwszego roku zadzwoniła jego młodsza siostra, ale rozmowa skończyła się awanturą, a my nie chcieliśmy z nimi więcej awantur.

**DETEKTYW RICHARDSON:** To była rozmowa telefoniczna?

**JILL ANDERSON:** Tak.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Może cokolwiek na piśmie?

**JILL ANDERSON:** Nie.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Czy Paul wiedział o tych próbach nawiązania kontaktu?

**JILL ANDERSON:** Oczywiście.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Z którym z członków jego rodziny, według twojej wiedzy, Paul rozmawiał jako ostatnim?

**JILL ANDERSON:** Przypuszczalnie z bratem.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Czy kiedykolwiek powstrzymałaś ojca Paula przed przyjechaniem do was ze świątecznymi prezentami?

**JILL ANDERSON:** Chciał nas odwiedzić przed samym Bożym Narodzeniem, ale Paul cierpiał wtedy na zespół jelita drażliwego.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Tak, oczywiście, wspominałaś już o tym.

Teraz chciałbym przeskoczyć do przodu, do dnia, kiedy okazano ci ciało Paula, czyli do dwudziestego pierwszego lipca.

**JILL ANDERSON:** Dobrze.

**DETEKTYW RICHARDSON:** To był rok dwa tysiące trzeci. Pojechałaś tam z mamą?

**JILL ANDERSON:** Tak.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Dysponujemy zeznaniem asystentki anatomopatologa, która była obecna podczas waszej wizyty. Według niej powiedziałaś wtedy mniej więcej coś takiego: „Od lat bardzo cierpiał, próbowaliśmy wszystkiego, ale dopiero teraz udało się zrobić z tym porządek”. Czy przypominasz sobie te słowa?

**JILL ANDERSON:** Nie, nic takiego nie powiedziałam. To znaczy, mogłam powiedzieć, że cierpiał od lat, ale na pewno nie powiedziałabym tego, co potem.

**DETEKTYW RICHARDSON:** No cóż, mnie przy tym nie było, ale nie wymyśliłem sobie tego. Taką po prostu otrzymałem informację.

**JILL ANDERSON:** Nie powiedziałabym czegoś takiego.

**DETEKTYW RICHARDSON:** A więc nie powiedziałaś?

**JILL ANDERSON:** Mógłby pan to powtórzyć?

**DETEKTYW RICHARDSON:** Bardzo proszę: „Od lat bardzo cierpiał, próbowaliśmy wszystkiego, ale dopiero teraz udało się zrobić z tym porządek”.

**JILL ANDERSON:** Z całą pewnością nie powiedziałabym „teraz udało się zrobić z tym porządek”. Dwa pierwsze zdania, owszem, ale na pewno nie to ostatnie.

**DETEKTYW RICHARDSON:** W takim razie może powiedziałaś coś, co mogło zostać źle zrozumiane?

**JILL ANDERSON:** Każdemu się może coś takiego zdarzyć, choć przecież wszyscy staramy się, żeby nas właściwie rozumiano.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Szczerze mówiąc, trochę dziwią takie słowa, a nawet dziwi, że komuś mogłoby się wydawać, że w takiej sytuacji jakiś człowiek powiedziałby „dopiero teraz udało się zrobić z tym porządek”.

**JILL ANDERSON:** Ja nigdy nie powiedziałabym czegoś takiego.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Dwudziestego dziewiątego lipca zapytałaś konstabla Knighta o możliwość wydania zwłok w celu przeprowadzenia pogrzebu.

**JILL ANDERSON:** Czy on pełnił dyżur w biurze koronera?

**DETEKTYW RICHARDSON:** Nie. Miał wtedy służbę w Ripon.

**PRAWNIK:** A więc to musiała być rozmowa telefoniczna.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Zgadza się. Powiedział mi, że poprosiłaś go wtedy, żeby dokładnie sprawdzili jego układ trawienny. Czy to prawda?

**JILL ANDERSON:** Możliwe.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Dlaczego to zrobiłaś?

**JILL ANDERSON:** Chciałam wiedzieć, dlaczego umarł.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Rozumiem. Czego spodziewałaś się w jego układzie trawiennym?

**JILL ANDERSON:** Pastylek, które połknął.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Jakich pastylek?

**JILL ANDERSON:** Całe mnóstwo, ale była tam morfina i zoplikon, i cała szuflada leków z wielu lat. Zwykle testował każde lekarstwo przez trzy tygodnie, a potem je odstawiał, czyli robił tak samo jak w testach klinicznych.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Czy poza lekarstwami przepisanymi przez lekarza stosował jakieś leki bez recepty?

**JILL ANDERSON:** Mnóstwo. Mówił mi, czego chce spróbować, a ja mu to przywoziłam.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Co na przykład? Może jakieś środki na reumatoidalne zapalenie stawów?

**JILL ANDERSON:** Zdaje się, że jest coś takiego jak sepia, środek roślinny. Brał qualms, ziołowy środek nasenny, i diabelski pazur.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Co to takiego „diabelski pazur”?

**JILL ANDERSON:** Przeciwbólowy środek ułatwiający sen dla ludzi dotkniętych reumatoidalnym zapaleniem stawów. Przeanalizowaliśmy działanie mnóstwa środków sprzedawanych bez recepty, bo bardzo zależało mu na znalezieniu czegoś, co uwolniłoby go od nieustającego bólu.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Oficer Knight zeznał, że pytałaś go, czy będziemy sprawdzać sytuację finansową twojego męża. Dlaczego zadałaś to pytanie?

**JILL ANDERSON:** Nie mam pojęcia. Nie wiem, dlaczego o to zapytałam.

**DETEKTYW RICHARDSON:** A czy pamiętasz, że pytałaś?

**JILL ANDERSON:** Nie.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Zaprzeczasz temu, że o to zapytałaś?

**JILL ANDERSON:** Po prostu nie mam pojęcia, czy pytałam, czy nie.

## SIERPIEŃ 1993

Do pokoju w Lime Cort wszedł duży pająk. Siedzieliśmy na kanapie, obłożeni książkami i czasopismami, a on zbliżał się coraz bardziej.

- Zrób coś – poprosiłam.
- Przecież to tylko pająk.
- One gryzą. A jeśli nocą wejdzie nam do łóżka?
- Jesteś od niego większa.
- Nie chcę go tutaj! – stwierdziłam.
- Zgnieciesz go, przewracając się na drugi bok.
- Nie będę mogła zasnąć.

Pająk zbliżał się wzdłuż wschodniej ściany, przemykał blisko niej, ruszał gwałtownie, zatrzymywał się i znowu ruszał. Paul odłożył czasopismo.

- Gdzie szufelka i zmiotka?
- Pod zlewozmywakiem.

Poszedł do kuchni i zaczął grzebać w szafce. Pająk zmienił kierunek i zaczął iść ukosem przez pokój.

– Pospiesz się, bo przekroczy granicę! – Nasze mieszkanie znajdowało się na granicy między Putney i Barnes, więc wyobrażałam sobie, że linia podziału przebiega przez pokój. – Właśnie przyszedł do Barnes.

– Może tam będzie szczęśliwszy – powiedział Paul, wracając z kuchni z szufelką i zmiotką.

Pająk skręcił gwałtownie i zniknął pod stołem. Paul stanął w miejscu, w którym pająk był widziany ostatnio, przesunął stół, schylił się.

- Otwórz balkon.

Poszłam przodem i otworzyłam drzwi balkonowe. Paul delikatnie przechylił szufelkę i pająk łagodnie zsunął się na posadzkę. Chwilę potem zniknął za krawędzią balkonu. Odwróciłam się do niego.

- Nie lubię pająków – powiedziałam.
- Pajęczaków.
- Pająków.

Uśmiechnął się.

– Pójdźmy do wypożyczalni i weźmy na wieczór jakiś odrażający horror – zaproponował.

- Jak chcesz – odparłam.

Wróciliśmy na kanapę, do przerwanych lektur. Poczułam na karku dotyk jego palców, przesuwający się w górę i w dół.

- To ty!

Uderzyłam go w rękę.

– To pająk.

– Nigdy mnie nie zostawiaj.

**TAŚMA 6: 25 STYCZNIA 2004, 13.27–14.10, C.D.**

**DETEKTYW RICHARDSON:** Według tego, co powiedziałaś oficer Boulton, wróciłaś do domu o osiemnastej zero zero. Dla mnie nie ma większego znaczenia, czy była to punktualnie szósta, czy może wpół do siódmej.

**JILL ANDERSON:** Nie wiem.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Ale na pewno powiedziałaś jej: „Pomyślałam, że tym razem wziął dosyć”. Co miałaś na myśli?

**JILL ANDERSON:** Przepraszam, czy możemy na chwilę przerwać przesłuchanie, żebym mogła zapytać o coś mojego prawnika?

**DETEKTYW RICHARDSON:** Jeżeli chcesz, możemy je nawet zakończyć.

**PRAWNIK:** Gdyby zechciał pan do tego wrócić...

**DETEKTYW RICHARDSON:** Oczywiście.

**JILL ANDERSON:** Dokładnie pamiętam słowa, ale wolałabym najpierw skonsultować się z prawnikiem.

**PRAWNIK:** ZGADZA się.

**DETEKTYW RICHARDSON:** W takim razie wrócę do tego później.

**PRAWNIK:** DZIĘKUJĘ.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Kiedy oficer Boulton zapytała: „Kiedy zauważyła pani, że odszedł?”, powiedziałaś „O piątej rano”.

**JILL ANDERSON:** Nie, umarł o wpół do dziesiątej.

**DETEKTYW RICHARDSON:** W takim razie, dlaczego powiedziałaś, że o piątej?

**JILL ANDERSON:** Chyba się przesłyszała. Zsinał około piątej albo szóstej rano.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Skąd wiedziałaś, kiedy umarł?

**JILL ANDERSON:** Słyszałam, jak przestał oddychać.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Początkowo, kiedy oficer Boulton przygotowywała wstępny raport z miejsca nagłego zgonu, oświadczyłaś, że znalazłaś męża martwego o dziesiątej rano. W jakich okolicznościach to nastąpiło?

**JILL ANDERSON:** Nie, to było o wpół do dziesiątej. Poszłam na górę, żeby do niego zajrzeć.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Skoro poszłaś na górę o wpół do dziesiątej, to kiedy widziałaś go poprzednio?

**JILL ANDERSON:** Byłam z nim przez całą noc. Powtarzałam to już tyle razy.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Przykro mi.

**JILL ANDERSON:** Nie potrafię panu odpowiedzieć na to pytanie. Czy

możemy wrócić do tego później?

**DETEKTYW RICHARDSON:** Żebyś mogła zasięgnąć porady prawnika?

**JILL ANDERSON:** Zgadza się.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Czy dlatego, że nie pamiętasz?

**JILL ANDERSON:** Mieszkałam z nim pod jednym dachem. Okropnie cierpiał, dlatego zaczęłam sypiać na dole, bo już nawet nie mogłam go przytulić.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Czy nadal chcesz omówić tę kwestię z prawnikiem?

**JILL ANDERSON:** Tak.

**DETEKTYW RICHARDSON:** W porządku. Czy rankiem osiemnastego dzwoniłaś do kogoś z domu?

**JILL ANDERSON:** Tak. Do jego lekarza pierwszego kontaktu.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Do kogoś jeszcze?

**JILL ANDERSON:** Nie pamiętam.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Czy tamtego ranka ktoś inny dzwonił od ciebie z domu?

**JILL ANDERSON:** To mogłam być tylko ja.

**DETEKTYW RICHARDSON:** O wielu z tych spraw już rozmawialiśmy, ale chciałbym niektóre jeszcze uściślić. Jak traktowałaś swoją rolę opiekunki Paula?

**JILL ANDERSON:** Całkowicie mu się poświęciłam. Kochałam każdy jego włoszek i każdą komórkę jego ciała. Byłam mu całkowicie oddana.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Jak rozumiałaś swoje obowiązki wobec niego?

**JILL ANDERSON:** Miałam się nim opiekować, starać się, żeby pozostał przy życiu, i robić wszystko co w mojej mocy, żeby jego stan się poprawił. Tylko dlatego przeprowadziliśmy się do domu na wsi, żeby zapewnić mu zdrowe otoczenie. Zajmowałam się wszystkim.



*Każdy z nas ma jakieś prawa. Prawo do życia w rodzinie, prawo wyrażania opinii, prawo do pracy, prawo robienia rozmaitych rzeczy. Jednym z naszych praw jest prawo do określenia własnego życia, a to oznacza również prawo do podjęcia decyzji o śmierci.*

Z mowy końcowej obrońcy

**TAŚMA 6: 25 STYCZNIA 2004, 13.27–14.10. C.D.**

**DETEKTYW RICHARDSON:** Czy musiałaś go na przykład kąpać?

**JILL ANDERSON:** Pod sam koniec, kąpiel była najbardziej prywatnym, najbardziej osobistym wydarzeniem z całego dnia. Tylko wtedy nie życzył sobie, żeby mu przeszkadzano, a ja to szanowałam. Teraz nie rozumiem i wciąż zadaję sobie to pytanie, dlaczego nie chciał ode mnie pomocy, mimo że stopniowo tracił władzę w rękach, ale tak właśnie było.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Rozumiem.

**JILL ANDERSON:** Myślę, że dlatego iż był mężczyzną i troszczył się o mnie. Kochał mnie i starał się sobie radzić z tą okropną chorobą i maksymalnie ułatwić mi zadania opiekunki.

**DETEKTYW RICHARDSON:** A jeśli chodzi o ubieranie... Robił to sam?

**JILL ANDERSON:** Z trudem.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Czesanie?

**JILL ANDERSON:** Nienawidził tego, ale ja zrobiłabym dla niego wszystko, o cokolwiek by poprosił.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Chciałbym jednak wiedzieć, czy był w stanie zrobić to sam.

**JILL ANDERSON:** Pod koniec nie mógł podnieść rąk ani odgiąć ich do tyłu, o tak.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Wykonałaś ruch, jakbyś zaczesywała włosy z przodu na tył głowy.

**JILL ANDERSON:** Zgadza się.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Prawą ręką.

**JILL ANDERSON:** Tak.

**DETEKTYW RICHARDSON:** A więc nie był w stanie tego zrobić?

**JILL ANDERSON:** Mógł tylko tyle.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Czyli nie mógł też jeść nożem i widelcem?

**JILL ANDERSON:** Nie. Ani pisać, ani przytrzymać niczego.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Rozumiem, a czy mógł samodzielnie otworzyć fiolkę z lekarstwami?

**JILL ANDERSON:** Tak, to mógł zrobić.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Albo rozedrzeć opakowanie?

**JILL ANDERSON:** Tak.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Wiem, że rozmawiałaś o jego chorobie z lekarzem.

**JILL ANDERSON:** Przekazywałam jego prośby. To on prosił o leki, nie ja.

Proponował lekarstwo, a ja mu je przywoziłam.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Ale sama umawiałaś się z lekarzem?

**JILL ANDERSON:** Tak, bo Paul był zbyt chory, żeby rozmawiać przez telefon, więc ja przekazywałam jego prośby.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Sugerowałaś lekarzowi, jakie środki powinien przepisać?

**JILL ANDERSON:** Owszem. Znalazłam w Internecie informacje o środkach przeciwbólowych stosowanych przez ludzi z zespołem ustawicznego zmęczenia. Rozmawiałam o nich z Paułem i on chciał ich spróbować. To była jego decyzja.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Co to były za środki?

**JILL ANDERSON:** Opiaty.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Morfina?

**JILL ANDERSON:** Tak. Istnieją cztery jej rodzaje. W Internecie znalazłam artykuł napisany przez amerykańskiego lekarza, który zajmuje się zespołem ustawicznego zmęczenia. Udało mu się na tyle zmniejszyć ból, że stan pacjentów uległ znaczącej poprawie. Codziennie obiecywałam mu, że z nim też tak będzie. Często mówiliśmy sobie, że się kochamy, mówiliśmy to siedemnaście razy dziennie, tak właśnie było między nami.

LUTY 1993

Biegłam Roehampton Lane w koszmarnej wichurze. Wiatr wywracał mi parasolkę na lewą stronę. Musiałam dotrzeć do domu, do niego. Nie wiedziałam, czy wrócił z pracy. Podniosłam głowę i przez zasłonę ze strug deszczu próbowałam dostrzec, czy pali się światło. Dotarłam do drzwi, otworzyłam je, wepchnęłam parasolkę do doniczki, w której rósł figus, mój poskręcany przyjaciel, i wbiegłam do salonu. Leżał na kanapie, robocze ubranie walało się na podłodze. Zdjęłam płaszcz. Rzuciłam go na szczyt stosu, położyłam się obok niego.

– Miałeś dobry dzień? – zapytałam.

– Okropny.

Przez jakiś czas w milczeniu jedliśmy chipsy. Oglądał wieczorne wiadomości w telewizji.

– Ktoś zginął?

– Prezydent jakiegoś afrykańskiego kraju. Zamach stanu. Musisz chrupać tak głośno?

– Jakies powódzie albo tornada?

– Nie.

– Ataki rekinów?

– Nie.

– Jak ci minął dzień?

– Okropnie. Powieszysz płaszcz?

– Posprzątasz rzeczy z podłogi?

– Nie wydaje ci się, że powinnaś powiesić płaszcz? Nie chcę się poślizgnąć i skrócić sobie karku.

Spojrzałam na niego, dostrzegłam błysk w oku. Podniosłam płaszcz, otworzyłam drzwi szafy i cofnęłam się o krok. W środku był ogromny bukiet czerwonych róż z dołączoną karteczką. Złapałam je, zaczęłam wachać.

– Wesółch Walentynek, kochanie – powiedział.

– Teraz twoja kolej.

Poszedł do swojej szafy, znalazł mój prezent. Rozdarł kopertę. Dałam mu bon podarunkowy do księgarni.

– Zmyliłeś mnie. Przez cały dzień byłam pewna, że zapomniałeś.

**TAŚMA 6: 25 STYCZNIA 2004, 13.27–14.10, C.D.**

**DETEKTYW RICHARDSON:** Więc w imieniu Paula poprosiłaś o to lekarza?

**JILL ANDERSON:** Tak, ale dlatego, że Paul o to prosił.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Rozumiem, ale czy zwróciłaś się w tej sprawie do lekarza w imieniu Paula?

**JILL ANDERSON:** Tak. Przygotowaliśmy list, podpisany przez nas oboje, w którym było napisane, że Paul upoważnia mnie do rozmowy w jego imieniu, bo sam jest zbyt chory, żeby skorzystać z telefonu.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Tak, widzieliśmy ten list. Rzeczywiście, podpisaliście go oboje.

**JILL ANDERSON:** Tak.

**DETEKTYW RICHARDSON:** I upoważnił cię do rozmów na temat jego choroby?

**JILL ANDERSON:** Tak.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Z jego lekarzem?

**JILL ANDERSON:** Tak, Paul kierował mną. Bardzo aktywnie...

**DETEKTYW RICHARDSON:** Wyobrażam sobie.

**JILL ANDERSON:** ...uczestniczył w wyborze leków. Czynił wiele sugestii. Był bardzo samodzielny.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Czy w związku z tym, że sprawowałaś nad nim opiekę, prosiłaś o jakieś wsparcie ze strony państwa?

**JILL ANDERSON:** Zainteresowaliśmy się tym, ale okazało się, że nie jesteśmy uprawnieni. Nie pamiętam już, na czym to dokładnie polegało.

**PRAWNIK:** Chodziło o zasiłek pielęgnacyjny, zgadza się?

**JILL ANDERSON:** Tak.

**PRAWNIK:** Właśnie.

**JILL ANDERSON:** No więc, zainteresowaliśmy się tym, ale jeżeli ktoś za dużo zarabia, wtedy ten zasiłek mu się nie należy. Możliwe, że w ogóle nie może go dostać nikt, kto pracuje.

**DETEKTYW BOSOMWORTH:** Albo zasiłek, albo praca, to oczywiste.

**JILL ANDERSON:** Zgadza się. Nie pamiętam dokładnie, ale na pewno interesowaliśmy się tą sprawą.

**DETEKTYW BOSOMWORTH:** Złożyłaś wniosek o zasiłek, czy nie?

**JILL ANDERSON:** Nie, choć prawie na pewno rozmawialiśmy na ten temat ze stowarzyszeniem chorych na zapalenie mózgowo-rdzeniowe, bo oni doradzają ludziom w takich sprawach.

**DETEKTYW BOSOMWORTH:** Należysz do tego stowarzyszenia?

**JILL ANDERSON:** Nie. Nie zapisałam się, choć od dawna miałam zamiar to zrobić.

**DETEKTYW BOSOMWORTH:** A może otrzymałaś jakąś pomoc od władz lokalnych?

**JILL ANDERSON:** Owszem. Przez krótki czas nie musieliśmy płacić miejscowego podatku.

**DETEKTYW BOSOMWORTH:** Ze względu na chorobę Paula?

**JILL ANDERSON:** Tak.

**DETEKTYW BOSOMWORTH:** Czyli nie miało to żadnego związku z tym, że byłaś jego opiekunką?

**JILL ANDERSON:** Nie. Chodziło o jego chorobę.

**DETEKTYW BOSOMWORTH:** Pomoc dla niepełnosprawnych?

**JILL ANDERSON:** Wniosek o przyznanie pomocy dla niepełnosprawnych zaczęliśmy wypełniać tego dnia, kiedy umarł. Kiedy odebrał sobie życie.

**DETEKTYW BOSOMWORTH:** Czyli zamierzaliście ubiegać się o pomoc z tego powodu, zgadza się?

**JILL ANDERSON:** Tak.

**DETEKTYW BOSOMWORTH:** A na czym polega taka procedura? Nie wiem, nigdy nie ubiegałam się o taką pomoc, bo nie jestem niepełnosprawny.

**JILL ANDERSON:** Oczywiście.

**DETEKTYW BOSOMWORTH:** Ani nie mam nikogo niepełnosprawnego w rodzinie.

**JILL ANDERSON:** Tak.

**DETEKTYW BOSOMWORTH:** Nie mam więc żadnego powodu, żeby się ubiegać, więc nie wiem, ani jak wygląda formularz, ani z czego składa się procedura.

**JILL ANDERSON:** No więc, jeśli ktoś chce się...

**DETEKTYW BOSOMWORTH:** Ubiegać.

**JILL ANDERSON:** Trzeba wypełnić taki duży formularz i wysłać go do... Nie pamiętam... Nie wiem, do kogo trzeba go wysłać, ale...

**DETEKTYW BOSOMWORTH:** Rozumiem.

**JILL ANDERSON:** Adres jest na formularzu, więc trzeba tylko...

**DETEKTYW BOSOMWORTH:** Miałaś ten formularz, Jill?

**JILL ANDERSON:** Tak, zaczęliśmy go wypełniać właśnie tego dnia, kiedy odebrał sobie życie.

**DETEKTYW BOSOMWORTH:** Czy w tym formularzu określiłaś się jako jego opiekunka?

**JILL ANDERSON:** Nie pamiętam, czy tam była taka rubryka.

**DETEKTYW BOSOMWORTH:** Ja nie znam tego formularza.

**JILL ANDERSON:** Nie wiem, czy była tam rubryka, w której należało podać nazwisko opiekuna.

**DETEKTYW BOSOMWORTH:** Ale...

**JILL ANDERSON:** Ale ja byłam jego opiekunką.

**DETEKTYW BOSOMWORTH:** Można by przypuszczać, że w formularzu dotyczącym świadczeń dla osoby niepełnosprawnej znajdzie się miejsce na informację, kto się nią opiekuje?

**JILL ANDERSON:** Pewnie tak... Na pewno. Trudno mi powiedzieć, ale...

**DETEKTYW BOSOMWORTH:** Logicznie rzecz biorąc.

**JILL ANDERSON:** Właśnie. Byłam wtedy samozatrudniona, więc nic mi się nie należało za to, że się nim opiekowałam. Może pan to sprawdzić: jeśli jest pan samozatrudniony, tak właśnie jest, i to jest w sumie uczciwe, nie mam żadnych zastrzeżeń.

**DETEKTYW BOSOMWORTH:** W porządku.

**JILL ANDERSON:** Wie pan, ja, to znaczy my, uważaliśmy, że lepiej jest być niezależnym od państwa.

**DETEKTYW BOSOMWORTH:** Mój kolega wspomniał, że w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym piątym... nie, w dziewięćdziesiątym ósmym, próbowaliście ubiegać się o pomoc po raz pierwszy. Byłaś wtedy w Biurze Porad Obywatelskich?

**JILL ANDERSON:** Nie mam pojęcia. Nie pamiętam, bo w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym piątym jeszcze pracowaliśmy.

**DETEKTYW BOSOMWORTH:** Tak?

**JILL ANDERSON:** Prowadziliśmy firmę od dziewięćdziesiątego czwartego do dziewięćdziesiątego piątego, a potem zbankrutowaliśmy.

**DETEKTYW BOSOMWORTH:** Zgadza się.

**JILL ANDERSON:** Płaciliśmy podatki, więc nie wiem, dlaczego mielibyśmy interesować się taką pomocą, tym bardziej że wtedy nie był jeszcze tak bardzo chory.

**DETEKTYW BOSOMWORTH:** Rozumiem.

**JILL ANDERSON:** A więc nie mielibyśmy żadnego powodu.

**DETEKTYW BOSOMWORTH:** Zgłosiłaś się do Biura Porad Obywatelskich?

**JILL ANDERSON:** Byłam tam dwa razy, w Ripon, w dwa tysiące trzecim, żeby porozmawiać o niepełnosprawności.

**DETEKTYW BOSOMWORTH:** Zapewne o niepełnosprawności Paula?

**JILL ANDERSON:** Tak.

**DETEKTYW BOSOMWORTH:** I o tym, że musisz się nim opiekować?

**JILL ANDERSON:** Nie byłoby mnie tam, gdybym się nim nie opiekowała. Byłam jego opiekunką. O tym, że trzeba wypełnić specjalny wniosek,

dowiedziałam się od ME Association, organizacji, która pomaga osobom z zespołem ustawicznego zmęczenia. Powiedzieli mi, żeby zgłosić się do miejscowego Biura Porad Obywatelskich, bo oni wiedzą, jak wypełnia się takie formularze, i dlatego tam poszliśmy.

**DETEKTYW BOSOMWORTH:** Rozumiem, że potrzebowaliście pomocy, także finansowej?

**JILL ANDERSON:** Oczywiście. Nie był w stanie zapewnić mi utrzymania ani jako mąż, ani jako w pełni sprawny człowiek.

**DETEKTYW BOSOMWORTH:** Co myślisz na ten temat?

**JILL ANDERSON:** Opieka nad nim to był dla mnie zaszczyt i przywilej. Nigdy nie widziałam, żeby ktoś z taką godnością i cierpliwością znosił tak wielkie cierpienia. Dopóki żył, codziennie dawał mi radość.

**DETEKTYW BOSOMWORTH:** A więc, jeśli dobrze rozumiem, sprawowanie opieki nad nim nie dawało żadnych korzyści finansowych?

**JILL ANDERSON:** Nie.

**DETEKTYW BOSOMWORTH:** Tobie osobiście.

**JILL ANDERSON:** Nie.

**DETEKTYW BOSOMWORTH:** Nie.

**JILL ANDERSON:** Bycie opiekunem nie daje żadnych korzyści finansowych.

**DETEKTYW BOSOMWORTH:** Rozmawialiśmy na ten temat z twoim prawnikiem, który stwierdził, że nie będziesz miała nic przeciwko temu, jeżeli zapoznamy się z twoją historią zdrowia i historią konta. Czy tak jest rzeczywiście?

**JILL ANDERSON:** Tak.

**DETEKTYW BOSOMWORTH:** W porządku. Richardson. Twoja kolej.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Zajmijmy się najpierw historią konta. Prowadziliście firmę, a więc musieliście mieć konto bankowe.

**JILL ANDERSON:** Tak.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Czy mieliście osobiste konta bankowe?

**JILL ANDERSON:** Tak, mam osobiste konto bankowe.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Czy wtedy, kiedy byłaś z Paulem, miałaś własne konto bankowe? Nie wspólne, ale własne?

**JILL ANDERSON:** Tak.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Czy mieliście wspólne konto bankowe?

**JILL ANDERSON:** Nie.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Czy Paul miał własne konto bankowe?

**JILL ANDERSON:** Tak.

**DETEKTYW RICHARDSON:** W sumie były więc trzy konta: firmowe i dwa osobiste, twoje i Paula?

**JILL ANDERSON:** Tak.



**DETEKTYW RICHARDSON:** Czy to były konta depozytowe, czy rachunki bieżące?

**JILL ANDERSON:** Rachunki bieżące.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Oba?

**JILL ANDERSON:** Tak. Są puste, możecie to sprawdzić.

**DETEKTYW RICHARDSON:** W porządku. A więc na żadnym z tych kont, Paula ani twoim, nie ma pieniędzy?

**JILL ANDERSON:** Zgadza się.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Czy Paul miał jakiś osobisty majątek?

**JILL ANDERSON:** Nie. Wszystko, co mieliśmy, było wspólne. Zachowałam jego rzeczy osobiste.

**DETEKTYW RICHARDSON:** To znaczy?

**JILL ANDERSON:** Lornetkę, gitarę.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Rozumiem.

**JILL ANDERSON:** Buty turystyczne, książki, słowniki.

## LISTOPAD 1995

Zajechaliśmy na parking przy jeziorze Gouthwaite na północ od Pateley Bridge. Przez kolejne lata mieliśmy jeszcze wielokrotnie odwiedzać to miejsce, żeby obserwować ptaki i po prostu być ze sobą. W końcu dorobiliśmy się własnych lornetek, tym razem jednak oboje korzystaliśmy z lornetki Paula. Na przylegającym do parkingu miejscu piknikowym w milczeniu zjedliśmy kanapki i herbatniki, po czym przeszliśmy na drugą stronę drogi, gdzie znajdowało się jezioro. Było otoczone wysokim żywopłotem, przez który wiodła wąska, kręta ścieżka. Pokonawszy ją, znaleźliśmy się na drewnianym pomoście wychodzącym daleko w jezioro.

Przed nami rozciągała się szeroka tafla wody, za nią aż po horyzont ciągnęły się porośnięte lasami wzgórza. Świeciło słońce. Paul skierował lornetkę tam, gdzie nie oślepiły go słoneczne promienie, i obrzucił wzrokiem jezioro. Wymieniał nazwy ptaków, które widział: gęsi kanadyjskie, nurogęsi, krzyżówki, czernice i łabędzie nieme.

– Są też czaple siwe – dodał.

– Gdzie? – zapytałam.

– Tam, po lewej.

Zmrużyłam oczy.

– Dasz mi lornetkę?

Podał mi ją. Rzeczywiście, w trzcinach na drugim brzegu wypatrzyłam sześć czy siedem czapli, stojących w mniej więcej równych odstępach. Niektóre miały wyciągnięte długie szyje i cierpliwie czekały na zdobycz, inne odpoczywały z głowami wtulonymi w tułowie.

Postanowiliśmy przedostać się na drugi brzeg i spróbować zbliżyć się do nich. Oznaczało to jazdę samochodem, a następnie spacer do miejsca, w którym wzdłuż brzegu biegła dostępna dla wszystkich ścieżka. Mniej więcej półtorej godziny później dotarliśmy do celu, lecz ujrzeliśmy tam ogrodzenie, a na nim tabliczkę WSTĘP WZBRONIONY. Spojrzeliśmy na siebie.

– Nikogo nie ma – powiedziałam.

– Nie powinniśmy tego robić.

– Wiem.

Staliśmy niezdecydowani. Myśleliśmy o tym, jak niedaleko stąd do czapli. Ponownie rozejrzeliśmy się dokoła: popołudniowa cisza i spokój. Szybko pokonaliśmy ogrodzenie i pobiegliśmy w kierunku brzegu i drzew. Przycupnęliśmy nad samym brzegiem, tak żeby nikt nie mógł zobaczyć nas ze ścieżki. Paul skierował lornetkę w miejsce, w którym widzieliśmy czaple. Po kilku minutach mi

ją oddał.

– Jeżeli...

– Tak?

– Jeżeli zjawi się strażnik, będziemy udawać cudzoziemców. Zacznę do niego mówić po rosyjsku.

– Dobry pomysł. To może być ona.

Uniósł jedną brew.

– Ty się nie odzywaj.

– Tak jest, towarzyszu.

Lornetka wędrowała z rąk do rąk. Dwadzieścia minut później ponownie przeleźliśmy przez płot. Dokoła nadal nie było żywej duszy. Objęci, pogwizdując, jak gdyby nigdy nic, oddaliliśmy się z miejsca przestępstwa.

Pod koniec jeździłam tam sama, a po powrocie opowiadałam mu o czaplach. Zabierałam jego lornetkę, lepszą od mojej. Uśmiechał się i wyciągał do mnie rękę. Ujmowałam ją delikatnie, przesuwałam palcami po jego dłoni. Spoglądał na nocną szafkę, w szufladzie której trzymał książki ornitologiczne, razem z lekarstwami, wyjmował je i kładł na łóżku, po czym od nowa czytaliśmy rozdziały o czaplach.

**TAŚMA 6: 25 STYCZNIA 2004, 13.27–14.10, C.D.**

**DETEKTYW RICHARDSON:** Miał jakiś istotny majątek, może akcje...

**JILL ANDERSON:** Nie.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Nieruchomości albo coś w tym rodzaju?

**JILL ANDERSON:** Nie.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Zupełnie nic?

**JILL ANDERSON:** Zupełnie. Spadliśmy z drabiny. Nie mogliśmy zastawić hipoteki.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Z powodu choroby Paula?

**JILL ANDERSON:** Tak.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Ponieważ nie mógł zarabiać, żeby było jasne?

**JILL ANDERSON:** Tak.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Rozumiem.

**JILL ANDERSON:** Zbankrutowaliśmy i straciliśmy zdolność kredytową.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Rozmawialiśmy o twojej roli jako opiekunki.

**JILL ANDERSON:** Tak.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Ze szczegółami. Kiedyś rozmawiałaś z nim na ten temat i bardzo się rozgniewałaś.

**JILL ANDERSON:** Zgadza się.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Powiedziałaś coś takiego, że nie darujesz nikomu, kto nie uwierzy, że to wirus.

**JILL ANDERSON:** Staralam się spokojnie i profesjonalnie przekonać wszystkich, z którymi mieliśmy do czynienia, w tym jego rodzinę, że ma wirusa, że nie jest psychicznie chory i że to właśnie wirus jest odpowiedzialny za jego chorobę.

**DETEKTYW RICHARDSON:** To bardzo pięknie. Czy, nie wiem, jak powinienem to ująć... Czy zdarzało ci się być niegrzeczną wobec jego rodziny?

**JILL ANDERSON:** Nie pochwalam takiego zachowania. Staram się wszystko załatwiać profesjonalnie. Oczywiście zdarza mi się tracić cierpliwość i być opryskliwą, ale nikomu nie mówię przykrych rzeczy. To nie ma sensu. Niczego się w ten sposób nie osiągnie. Nie rozumiem, po co wywierać na kimś presję, doprowadzając do rozstroju nerwowego. Staram się przedstawiać fakty i dać ludziom czas na ich przyswojenie. Cieszę się opinią wyjątkowo grzecznej i uprzejmej osoby.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Czy w związku z sytuacją Paula oraz

opiniami ludzi na ten temat, wydawało ci się czasem, że jesteś w czymś w rodzaju „oblężonej twierdzy”?

**JILL ANDERSON:** Może trochę, ale przecież nie mogłam brać odpowiedzialności za ich opinie. Mogłam tylko przedstawiać im fakty i prawdę. Nasze małżeństwo było cudowne. Nie chcieliśmy, żeby stało się tak, jak się stało. Na wieś przeprowadziliśmy się wyłącznie dla ciszy i spokoju. Obojgu nam doskonale żyło się w tym zdrowym środowisku. Z rodziną nie zawsze wszystko układa się najlepiej. Staralam się przedstawiać im fakty. Słyszał pan o rodzinie Paula. Poza tym przyjaźniliśmy się z mnóstwem ludzi, dostawaliśmy mnóstwo maili.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Mieliście też znajomych za granicą, prawda? Zauważyłem to, przeglądając wasz komputer.

**JILL ANDERSON:** Tak, co tydzień przychodziły upominki od różnych osób. Nasze życie było pełne ludzi.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Wielu z nich bardzo wam współczuło.

**JILL ANDERSON:** O tak.

**DETEKTYW RICHARDSON:** I co się działo?

**JILL ANDERSON:** Wierzyli nam.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Ale równocześnie byli i tacy, również z najbliższej rodziny, którzy nie wierzyli.

**JILL ANDERSON:** Owszem.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Łączyły cię dobre stosunki z Paulem.

**JILL ANDERSON:** Tak.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Dlaczego przejmowałaś się tym, co myśli rodzina?

**JILL ANDERSON:** Bo przeprowadziliśmy się do Yorkshire, żeby być bliżej rodziny.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Ale niewiele z tego wyszło?

**JILL ANDERSON:** To nas zniszczyło. To było okropne, co z nami zrobili.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Jak sobie wtedy z tym poradziłaś?

**JILL ANDERSON:** Miałam ciągłe wsparcie ze strony ME Association, Stowarzyszenia Opiekunów Osób Przewlekłe Chorych i przyjaciół, i jakoś dałam sobie radę.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Skoro mówimy o sprawach medycznych, to czy widywałaś się z jakimś lekarzem, który mógłby ci pomóc przetrwać ten ciężki czas?

**JILL ANDERSON:** Zasięgałam porad w przychodni. Właściwie powinnam się cofnąć jeszcze dalej. W Pateley Bridge widziałam się z lekarką, psychiatrą. Opowiedziałam jej o naszej sytuacji i oto, co od niej usłyszałam: „Paul jest najważniejszy, staraj się, jak możesz, nie zwracaj na nich uwagi”. Chodziłam też

po porady do przychodni w Ripon. Podczas drugiej wizyty lekarka powiedziała mi: „Jill, ty i Paul doskonale sobie radzicie, nie potrzebujesz już do mnie przychodzić, naprawdę doskonale dajesz sobie radę”.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Ty też tak uważałaś?

**JILL ANDERSON:** Owszem.

**DETEKTYW RICHARDSON:** A więc byłaś zadowolona z tego, jak sobie radzisz. Wiem, że najważniejsza była dla ciebie choroba męża, ale mam na myśli wszystkie inne sprawy, między innymi stosunki rodzinne.

**JILL ANDERSON:** Robiłam co w mojej mocy.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Rozumiem.

**JILL ANDERSON:** Bardzo się starałam, a inni to widzieli i doceniali.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Może się wydawać, że – poza kontaktami internetowymi i biznesowymi – byłaś osamotniona. Cały zewnętrzny świat, a już na pewno najbliższa rodzina, twoja i Paula, był przeciwko wam. Nie wierzyli wam. Powiedziałaś, że byłaś gotowa zmierzyć się z każdym, kto by twierdził, że to nie wirus. Traktowałaś to jak coś w rodzaju kruczaty?

**JILL ANDERSON:** To chyba niewłaściwe słowo. Sprzeciwiałam się im, przedstawiałam fakty, owszem. Może w pewnym sensie to było coś w rodzaju kruczaty, ale przede wszystkim chodziło mi o to, żeby uświadomić ludziom prawdę i w ten sposób pomóc innym.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Doceniam to, że kiedy ktoś mówił, że wam nie wierzy, ty twardo stałaś po stronie Paula. Czy jednak pokazywałaś im fakty takie, jakimi były, i mówiłaś: Słuchajcie, nie odzywajcie się do nas przez parę miesięcy, zobaczcie więc, co się z nami działo? Na tym polega ta choroba. To właśnie uważam za kruczatę: jeśli ktoś, zupełnie nieproszony, przekonuje do czegoś wszystkich dookoła. Czy robiłaś to, nieproszona?

**JILL ANDERSON:** Nieproszona? Umawiałam się na wizytę u lekarza. Czy to znaczy, że byłam nieproszona?

**DETEKTYW RICHARDSON:** Mam na myśli rodzinę i innych ludzi, którzy ci nie wierzyli.

**JILL ANDERSON:** Nie. ME Association sugerowało mi nawet, żeby przesłać im trochę fachowej literatury do przeczytania, ale nie zrobiłam tego, bo uważałam, że sami powinni o to poprosić. To nie należało do moich obowiązków. Prosiłam, żeby wzięli pod uwagę zespół ustawicznego zmęczenia, ale oni nie chcieli tego zrobić.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Rozumiem.

**JILL ANDERSON:** Nie można zrobić wszystkiego za ludzi.

**DETEKTYW RICHARDSON:** A więc nie zwracałaś się, nieproszona, do żadnego z członków rodziny...

**JILL ANDERSON:** Nie.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Nie czekając na pytania z ich strony?

**JILL ANDERSON:** Nie.

**DETEKTYW RICHARDSON:** W porządku.

**JILL ANDERSON:** Nie uważam, żeby to należało do mnie. Takie zachowanie to propaganda i dyktatura, a ja tak nie postępuję.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Niektórzy jednak mogli czegoś nie wiedzieć, tak jak ja nie wiedziałem, więc...

**JILL ANDERSON:** Owszem.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Dlatego pytam.

**JILL ANDERSON:** Staram się być wyrozumiała i tolerancyjna i szanować poglądy innych ludzi. Wcale nie czuliśmy się jak w obłązionej twierdzy. Mieszkaliśmy w wiejskim domu, walczyliśmy z bardzo groźną chorobą, a równocześnie spędzaliśmy miło czas, ponieważ kochaliśmy się i byliśmy razem szczęśliwi. Musieliśmy przyjąć styl życia, który nam nie odpowiadał. Nie prosiliśmy o tego okropnego wirusa, musieliśmy się z tym pogodzić i żyć tak, jak mogliśmy. Wiem, że ktoś z zewnątrz może to ocenić inaczej, ale my właśnie tak radziliśmy sobie z faktem, że mój mąż nie miał sprawnego ciała. Jakie życie towarzyskie mogliśmy prowadzić? Marzył o tym, żeby zabrać mnie do kina, do teatru, żeby robić to wszystko, co robiliśmy w Londynie: chodzić na przyjęcia, odwiedzać przyjaciół. Teraz nie mogliśmy tego robić. Dlatego kiedy tylko mogł, robił różne rzeczy z drewna, bo to nikomu nie szkodzi, a ja, kiedy tylko mogłam, uprawiałam ogródek, bo to też nikomu nie szkodzi. Nikomu nie robiliśmy krzywdy.

**DETEKTYW RICHARDSON:** W takim razie komu poza rodziną i lekarzami mówiliście o chorobie Paula?

**JILL ANDERSON:** Wszystkim przyjaciołom. W Anglii też mamy wielu przyjaciół.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Rozumiem.

**JILL ANDERSON:** Bardzo bliskich przyjaciół.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Nie wątpię w to...

**JILL ANDERSON:** To dobrze.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Chciałem tylko powiedzieć, że zorientowałem się...

**JILL ANDERSON:** Ach tak.

**DETEKTYW RICHARDSON:** ...po mailach.

**JILL ANDERSON:** Mogę panu opowiedzieć o gościach, jacy odwiedzali nas w naszym domu na wsi. Mieliśmy dwoje przyjaciół ze Stanów: Alex Rainer i jej męża, Rolanda. Przyjechali w odwiedziny i spędziliśmy wspólnie cudowny czas. Paul czuł się na tyle dobrze, że mógł trochę z nimi przebywać. Przyjeżdżali do nas dwa razy.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Kiedy to było?

**JILL ANDERSON:** Nie wiem, w dwutysięcznym albo w dwa tysiące pierwszym, przyjechało wtedy w odwiedziny więcej przyjaciół. Lorraine, Al i jej rodzina.

**DETEKTYW RICHARDSON:** A nie uwzględniałaś rodziny Paula, która przecież go kochała?

**JILL ANDERSON:** Mówili, że go kochają, ale moim zdaniem to nie była miłość, ponieważ...

**DETEKTYW RICHARDSON:** Na jakiej podstawie sądzisz, że możesz to ocenić?

**JILL ANDERSON:** To nie ja oceniłam. On to zrobił.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Rozumiem.

**JILL ANDERSON:** Powiedziałam jego ojcu, że go potrzebujemy. Błagałam go.

**DETEKTYW RICHARDSON:** To wszystko działo się w roku dwutysięcznym, mniej więcej wtedy, kiedy odwiedzili was wasi amerykańscy przyjaciele?

**JILL ANDERSON:** Tak. Przyjechało wtedy sporo ludzi, sporo przyjaciół. To Paul podjął tę decyzję, bo już nie był w stanie dłużej się z nimi kłócić.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Czyli...

**JILL ANDERSON:** Chce pan coś zasugerować? Ja mówię tylko tyle, że stosunki między nim a jego ojcem i bratem stały się tak niedobre, że musieliśmy z nimi zerwać.

**DETEKTYW RICHARDSON:** A czy na przykład jego najstarsza siostra rozmawiała z tobą kiedykolwiek? Pytam o nią, bo akurat ona przyszła mi na myśl.

**JILL ANDERSON:** To było tak dawno...

**DETEKTYW RICHARDSON:** Czy wyraziła chęć odwiedzenia Paula?

**JILL ANDERSON:** Ja, wie pan...

**PRAWNIK:** Wydaje mi się, że ta sprawa była już...

**JILL ANDERSON:** Tak, poruszaliśmy już tę sprawę.

**PRAWNIK:** Podczas poprzedniego przesłuchania. Nie chciałbym spędzić tu całego dnia...

**JILL ANDERSON:** I to wszystko prawda.

**PRAWNIK:** ...powtarzając w kółko te same rzeczy.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Mimo to chętnie usłyszałbym odpowiedź na moje pytanie.

**JILL ANDERSON:** To trudna sprawa, ponieważ Paul i ja nie marzyliśmy o niczym innym, jak tylko o tym, żeby przyjechali się z nim zobaczyć i żebyśmy mieli z nimi dobre rodzinne stosunki.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Zadałem to pytanie, ponieważ...



**JILL ANDERSON:** Ale tak się nie stało, bo oni nie chcieli mu uwierzyć.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Wspomniałaś, że Paul znajdował się wtedy w łagodniejszym stadium choroby i dlatego mogliście przyjąć waszych amerykańskich przyjaciół?

**JILL ANDERSON:** Tak.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Widywał się z nimi?

**JILL ANDERSON:** Tak.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Nie przyszło wam do głowy skorzystać z jego lepszego samopoczucia i skontaktować się z jego rodziną?

**JILL ANDERSON:** Nie, ponieważ oni wciąż się z nami kłócili. Bałam się jego brata.

**DETEKTYW RICHARDSON:** A co z jego starszą siostrą?

**JILL ANDERSON:** Mówiliśmy już o tym. Było ich czworo na niego jednego. To Paul podjął decyzję. Nie chcę do tego wracać. Ci ludzie nie wierzyli w istnienie zespołu ustawicznego zmęczenia. Uważali go za chorego umysłowo. W kontekście tego, co myślałam i co robiłam, uważałam, że dalsze kontakty z nimi są niemożliwe. On był tego samego zdania, i to on ostatecznie podjął decyzję.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Rozumiem.

**JILL ANDERSON:** Poparłam go jako żona.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Czy zdarzyło się choć raz, żebyś to ty zdecydowała, czy zadzwonić do jego rodziny czy nie, kiedy czuł się lepiej, czy to była wyłącznie jego decyzja?

**JILL ANDERSON:** To była jego decyzja. Ja przez rok próbowałam przekonać przez telefon jego ojca. Paul był zbyt chory, żeby się z nim zobaczyć, a zespół ustawicznego zmęczenia ma to do siebie, że na przemian nasila się i słabnie. Kiedy przyjechali nasi amerykańscy przyjaciele, mógł wstać z łóżka i rozmawiać z nimi przez parę godzin. Potem wrócił do łóżka, a ja zabrałam ich do restauracji. Nie był w stanie z nami pojechać.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Rozumiem.

**JILL ANDERSON:** Byli wspaniali, dodawali mu otuchy, tak jak tego potrzebował, i powtarzali, że są z nim całym sercem. Nie doczekał się tego od swojej rodziny. Rozmawialiście z nimi. Są okropni, i to nie jest w porządku. Było ich czworo na jednego. Teraz zostałam sama. Paul już nie może się bronić.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Musimy kończyć, zostało nam taśmy na jakieś cztery minuty nagrania. Podczas pierwszego przesłuchania zeznałaś, że Paul przechodził w domu kognitywną terapię behawioralną?

**JILL ANDERSON:** Zgadza się. Sam ją przeprowadzał.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Pomagałaś mu?

**JILL ANDERSON:** Nie.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Skonsultował się z lekarzem pierwszego

kontakty?

**JILL ANDERSON:** Nie.

**DETEKTYW RICHARDSON:** A więc sam podjął decyzję, tak?

**JILL ANDERSON:** Tak.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Tak właśnie zeznałaś.

**JILL ANDERSON:** Przepraszam, ale chyba zdaje pan sobie sprawę, że to niewłaściwa interpretacja?

**DETEKTYW RICHARDSON:** Użyłem twoich słów, nie moich.

**JILL ANDERSON:** Sam ją przeprowadzał...

**DETEKTYW RICHARDSON:** Ja przecież nie mogłem tego wiedzieć.

**JILL ANDERSON:** Własnoręcznie robił muchy do wędkowania na pstrągi.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Właśnie.

**JILL ANDERSON:** Z piórek i...

**DETEKTYW RICHARDSON:** Tak, wiem, jak się robi muchy.

**JILL ANDERSON:** To właśnie jest kognitywna terapia behawioralna.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Rozumiem.

## PAŹDZIERNIK 2000

Przyglądał mi się, kiedy się ubierałam. Szłam do pracy w biurze, które urządziliśmy w wiejskim domu przy bezimiennej drodze. Droga wiodła aż do granicy Pateley Moor i dalej, na rozległe, płaskie wierzchołki Gór Pennińskich, ciągnących się przez całą północną Anglię. Odwróciłam się do niego.

– Powinnam schudnąć.

Wiedziałałam, co pomyślał: „Chciałbym mieć takie problemy”. Nie mógł przytyć bez względu na to, co jadł. Zawsze mu tego zazdrościłam.

Trzymał na kolanach otwarty słownik języka włoskiego i przesuwał palcem po stronie. Pokazałam mu brzuch. Oczy mu zalśniły. Z przechyloną głową czekałam na reakcję.

– Bardzo zgrabna kangurza torba – powiedział, opuszczając wzrok z powrotem na słownik. – Przyniesiesz Yellera?

– Jeśli nie zapomnę – odparłam ze zmarszczonymi brwiami.

Yeller był darmową gazetką z ogłoszeniami dotyczącymi wszystkich tematów, jakie tylko można sobie wyobrazić. Kilka dni później wreszcie udało mi się nie zapomnieć i przywiozłam pismo z miasteczka. Od razu zaczął ją wertować, aż wreszcie znalazł to, czego szukał. Zakreślił długopisem trzy ogłoszenia i poprosił, żebym zadzwoniła pod podane numery. Relacjonowałam mu przebieg każdej rozmowy. Drugie ogłoszenie najlepiej pasowało do naszych oczekiwań. Umówiłam się i nazajutrz zmusił się do wyjścia z domu. Ubrał się starannie, usiadł za kierownicą. Znaleźliśmy właściwy adres: zadbane, ładny domek przy ruchliwej ulicy w centrum Leeds. Drzwi otworzyła para sześćdziesięcioparolatków.

– Jesteśmy na emeryturze – wyjaśnił mężczyzna.

Miał zmęczoną twarz, pomarszczoną skórę i niezdrową cerę. W porównaniu z ulicą, dom wręcz lśnił czystością. Ściany były pomalowane na beżowo, jasnobrązowo albo rdzawo, lub były pokryte tapetami w tych kolorach. Wszystko do siebie pasowało.

– Nasze dzieci wyprowadziły się od nas – dodała jego żona. Włosy ufarbowała sobie na krzykliwy, rudobrązowy kolor.

– Tak, chcemy pozbyć się tego, co nam niepotrzebne, i jak najlepiej wykorzystać to, co nam się przyda – zawtórował jej mąż. – Mamy zbyt wiele rzeczy.

Pan domu zaprowadził Paula do sypialni, ja gawędziłam z panią domu w kuchni. Paul szybko podjął decyzję: dwa i pół tysiąca funtów to była prawdziwa okazja. W drodze powrotnej nie patrzył na mnie. Wiedział, że mam zamknięte oczy. To miało być zupełnie nowe doświadczenie.

Instalacja potrwała kilka dni, aż wreszcie wszystko było gotowe. Zestaw do odbioru analogowej telewizji satelitarnej. Sprawdził w fachowych czasopismach pozycje satelitów na niebie, a ja trzymałam drabinę, żeby się nie kołysała.

– Możesz ją bardziej obciążyć?

Postawiłam stopę na najniższym szczeblu i mocniej zacisnęłam dłoń na drabinie. Stała na nierównej powierzchni: częściowo na betonie, a częściowo na żwirze.

– Czemu tak długo?

– Szukam ustawienia, w którym sygnał będzie najsilniejszy.

Myślałam o wszystkim, co jeszcze mam do zrobienia. Zaznaczył krzyżykami miejsca pod otwory i oddał mi linijkę i ołówek. Ja podałam mu wiertarkę. Kiedy wiercił, pył drzewny sypał mi się na włosy i ramiona jak łupież. Kiedy podawałam mu klamry, drabina się zachwiała.

– Ostrożnie! – krzyknął.

Podałam mu antenę. Wywiercił dziurę w futrynie okna, żeby przeciągnąć kable.

Odetchnęłam z ulgą, kiedy wreszcie weszliśmy do domu. Bolały mnie ramiona. Poprosił mnie o włączenie i przesunięcie telewizora w sypialni, a sam z trudem wrócił na dół i ponownie wspiął się na drabinę, żeby dokonać drobnych poprawek w ustawieniu anteny. Wychylona przez okno wysłuchiłam jego wskazówek, po czym wróciłam do telewizora.

– W lewo... bardziej w lewo... teraz w prawo, jeszcze odrobinę...

W końcu, po dłuższym czasie, udało nam się znaleźć ustawienie, przy którym obraz był najwyraźniejszy. Wspiął się po schodach do sypialni i zagłębił w lekturze instrukcji. Jakiś czas potem zawołał mnie i z wyrazem zadowolenia na twarzy zademonstrował CNN, CBS, ABC i Turner Classic Movies.

Rywalizacja Ala Gore'a z George'em Bushem dawała nam siłę napędową do życia, zapewniając codzienną rozrywkę i wypełniając pustkę pozostawioną przez normalne rodzinne życie i przyjaciół. Prezenterów CNN traktowaliśmy jak znajomych.

– Czy jest dzisiaj Wolf? – pytałam, wchodząc do biura.

Dowiedzieliśmy się wszystkiego o dziurkowanych kartach do głosowania. Taką kartę nazywano „chad”. Mieliśmy obsesję na ich punkcie. Stany na mapie USA nieustannie zmieniały barwę z niebieskiej na czerwoną i odwrotnie. Który stan pójdzie w tę, a który w tamtą stronę? Kiedy okazało się, że wszystko rozstrzygnie się na Florydzie, byliśmy niesłychanie podekscytowani. A kiedy już było po wszystkim, i kiedy Bush zwyciężył, spojrział na mnie i powiedział:

– Po tych wyborach mnóstwo dzieci w Stanach dostanie na imię Chad.

Dwa lata później kupiłam mu zestaw do odbioru cyfrowej telewizji satelitarnej. Zainstalowali go dwaj monterzy ze Sky. Przyglądał się, jak montują

drugą antenę w pobliżu pierwszej. Gawędzili od niechcienia. Jeden z nich powiedział, że zamierza przez całe lato instalować anteny, a zimą za zarobione pieniądze pojechać do Tajlandii. Paul odparł, że kiedyś planowaliśmy przeprowadzkę na południe Francji, blisko Pirenejów. To była jedna z naszych fantazji.

Pomogłam schować pod wykładziną kable biegnące wzdłuż ściany sypialni, zupełnie jakbym zaganiała węże do gniazda. Później położył mi na poduszce kartkę przypominającą bilet do kina, z datą, godziną i tytułem filmu, który mieliśmy oglądać wieczorem. Często włączał swój ulubiony film, *Szklana pułapka*, i podśpiewywał *Let it snow, let it snow*, podczas kiedy ja przeglądałam gazetę albo jakieś czasopismo. *Szklana pułapka* szybko mi się znudziła, ale on ją uwielbiał.

**TAŚMA 6: 25 STYCZNIA 2004, 13.27–14.10, C.D.**

**DETEKTYW RICHARDSON:** W porządku. Zeznałaś, że błagałaś lekarzy o jakieś lekarstwo dla niego?

**JILL ANDERSON:** Błagałam? Po prostu prosiłam. Możliwe, że za często używam słowa „błagać”.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Rozumiem.

**JILL ANDERSON:** Angielski można rozumieć na wiele sposobów, niektóre słowa mają wiele znaczeń. Staram się mówić to, co naprawdę wiem.

**PRAWNIK:** Czyli, jeśli dobrze rozumiem, chciałaś po prostu powiedzieć, że prosiłaś więcej niż raz?

**JILL ANDERSON:** Tak, coś w tym rodzaju.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Rozumiem.

**JILL ANDERSON:** Właśnie, dziękuję.

**DETEKTYW RICHARDSON:** No tak, ale obawiam się, że to nie ja użyłem słowa „błagać”...

**JILL ANDERSON:** Nie, to ja.

**DETEKTYW RICHARDSON:** W porządku.

**JILL ANDERSON:** Chodzi mi o to, że chyba za często go używam, prawda?

**DETEKTYW RICHARDSON:** O jaki lek chodziło?

**JILL ANDERSON:** Brał mnóstwo różnych leków. To był jego pomysł. Starał się wyzdrowieć. Miał rozmaite pomysły. Oni nie mieli żadnych, więc podsuwaliśmy im nasze. Mówiliśmy: wiemy, że nie potraficie wyleczyć tej okropnej choroby. Nie wiemy, z czym mamy do czynienia, jaki to wirus. Może spróbowalibyśmy tego? Ale to był on, nie ja. On to wszystko mówił.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Rozumiem.

**JILL ANDERSON:** Szłam z nim do lekarza, siadałam i słuchałam. Prosił o rozmaite leki stosowane przy reumatyzmie, stwardnieniu rozsianym, wszystkim, co przyszło mu do głowy, ale rezultaty były odwrotne do zamierzonych.

*Chyba najlepiej będzie zacząć od niepodważalnych faktów. Paul Anderson umarł osiemnastego lipca 2003 roku. W chwili śmierci miał czterdzieści trzy lata. Przyczyną śmierci było zatrucie morfiną. Sekcja zwłok nie wykazała, by do zgonu przyczyniła się jakakolwiek choroba. Nie cierpiał na żadne schorzenia natury fizycznej, nie stwierdzono żadnych zmian w układzie kostnoszkieletowym. Gdyby pomoc medyczna została wezwana zaraz po tym, jak Paul Anderson poinformował oskarżoną o przedawkowaniu leków, dało by się uratować mu życie. Na ratunek było za późno dopiero w krótkim, końcowym czasie, kiedy Paul Anderson przestał oddychać.*

*Taka prosta czynność mogła ocalić mu życie.*

*Jill Anderson powinna była wezwać karetkę.*

Z mowy końcowej oskarżyciela

## **TAŚMA 7: 25 STYCZNIA 2004, 14.51–15.24**

**DETEKTYW RICHARDSON:** Według oficer Boulton zeznałaś, że wróciłaś do domu około osiemnastej, a ja powiedziałem, że nie ma dla mnie większego znaczenia, czy była to osiemnasta, czy osiemnasta trzydzieści. Powiedziałaś jej też: „Wydaje mi się, że tym razem wziął dosyć”. Pamiętasz to?

**JILL ANDERSON:** Nie, bo naprawdę było tak: weszłam na górę, Paul czekał na mnie, siedząc na krawędzi łóżka. Powiedział: „Wybacz, nie wytrzymam bólu, tym razem wziąłem wystarczająco dużo”, po czym opadł na łóżko. Tak więc to on wypowiedział te słowa, nie ja.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Rozumiem. Jak ci się wydaje, co Paul miał wtedy na myśli?

**JILL ANDERSON:** Że tym razem wziął wystarczająco dużo leków. Byłam w szoku, nie potrafiłam wziąć na siebie odpowiedzialności. Podeszłam do nocnej szafki, żeby sprawdzić, ile połknął, ale zanim tam doszłam, zawróciłam, mając nadzieję, że jednak nie przedawkował, że wystarczy pozwolić mu się wyspać, a potem się on obudzi i wszystko będzie jak dawniej.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Ale myślałaś wtedy, że wziął dosyć czy nie?

**JILL ANDERSON:** Nie wzięłam na siebie odpowiedzialności. Nawet nie sprawdziłam zawartości jego nocnej szafki.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Przyszło ci do głowy, że rzeczywiście mógł połknąć tabletki, żeby popełnić samobójstwo?

**JILL ANDERSON:** Wydaje ci się, że to się nigdy nie wydarzy. Przechodziłaś to już tyle razy. Dwa razy wzywałaś pogotowie. Szarpałaś się w garażu z gumowym węzłem. Od lat walczyłaś o jego życie.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Przyszło ci do głowy, że usiłował popełnić samobójstwo?

**JILL ANDERSON:** Po prostu nie wierzyłam, że to się zdarzy. Nie wiem, nie potrafię powiedzieć. Byłam w szoku, jak oziębiała. Nie mogłam nawet podnieść słuchawki. Nie zadzwoniłam po pogotowie. Wcześniej zrobiłam to dwa razy. Od razu zasnął.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Zasnął czy stracił przytomność?

**JILL ANDERSON:** Nie potrafię powiedzieć, czy zasnął, czy stracił przytomność.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Ale czy nie powinno ci się zaświecić światelko alarmowe, po tym jak wybełkotał „Tym razem wziąłem wystarczająco dużo” i natychmiast zasnął? Czy to nie wyglądało raczej na utratę przytomności?



**JILL ANDERSON:** Głęboko zasnął.

**DETEKTYW RICHARDSON:** To cię nie zaniepokoiło?

**JILL ANDERSON:** Powinnam była wezwać pogotowie. Przykro mi. Powiedział, że mu przykro. Mnie też jest przykro. Nam obojgu było przykro.

*Przed naszymi sądami, niemal podczas każdej rozprawy mamy do czynienia z przestępstwem zawierającym w sobie elementy oszustwa, pożądania albo przemocy. Ktoś komuś coś ukradł, ktoś kogoś zgwałcił, ktoś popełnił jakąś straszliwą zbrodnię. Ta rozprawa jest jedyna w swoim rodzaju, ponieważ oskarżona nie kierowała się podobnymi pobudkami. Oskarżona traktowała z miłością, oddaniem i zrozumieniem kogoś, kto musiał znosić okropny, nieustający ból. W związku z tym ośmielamy się twierdzić, że Jill Anderson nie popełniła żadnego przestępstwa.*

Z mowy końcowej obrońcy

**TAŚMA 7: 25 STYCZNIA 2004, 14.51–15.24, C.D.**

**DETEKTYW RICHARDSON:** Co prawda nie chciałem poruszać tego tematu, ale chyba nie pomyłę się, mówiąc, że Paul miał już dosyć?

**JILL ANDERSON:** Codziennie rozmawialiśmy o jego powrocie do zdrowia. Codziennie. Nigdy nie poruszaliśmy tematu samobójstwa. Owszem, próbował to zrobić, a ja mu wybaczałam. Nie chciałam, żeby umarł. Chciałam, żeby żył. Chciałam dożyć dziewięćdziesiątki u jego boku.

**DETEKTYW RICHARDSON:** W takim razie, dlaczego nie zadzwoniłaś po pogotowie?

**JILL ANDERSON:** Przykro mi. Nie potrafiłam wziąć na siebie odpowiedzialności.

**DETEKTYW RICHARDSON:** W trakcie drugiego przesłuchania powiedziałaś, że przez cały weekend starałaś się ocalić mu życie. Co przez to rozumiesz?

**JILL ANDERSON:** Był w samobójczym nastroju, a ja przez cały weekend starałam się go uratować. Rozmawialiśmy o przyszłości. Nie mówiliśmy o samobójstwie. Nie pomagałam mu w tym. Staralam się ocalić mu życie.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Ustalmy więc fakty, Jill. Powiedziałaś, że mu nie pomagałaś, ale czy on sam wspominał o zamiarze pozbawienia się życia?

**JILL ANDERSON:** Wie pan, bardzo się o niego martwiłam. Byłam...

**DETEKTYW RICHARDSON:** Z jakiego konkretnie powodu się martwiłaś?

**JILL ANDERSON:** Z powodu... Chodziło o to, jak się czuł i jak bardzo cierpiał.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Czy w ten weekend mówił o samobójstwie?

**JILL ANDERSON:** Nie wiem, czy można powiedzieć, że mówił o samobójstwie. Powtarzałam: „Proszę, nie umieraj”. To chyba jest pewna różnica.

**DETEKTYW RICHARDSON:** I co?

**JILL ANDERSON:** Mówiłam też... Pamiętam tylko tyle, że mówiłam mu, że dla niego poszłabym nawet pieszo na księżyc.

**DETEKTYW RICHARDSON:** I co?

**JILL ANDERSON:** Że zrobiłabym wszystko, żeby tylko żył.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Czy wspomniał coś o samobójstwie?

**JILL ANDERSON:** Ja... Być może, ale nie pamiętam.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Czy w ten weekend podejmował jeszcze jakieś próby?

**JILL ANDERSON:** Nie.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Chciałbym teraz wrócić do lekarza, Internetu i recept. Jakże konkretnie leki kupowałaś mu w sieci?

**JILL ANDERSON:** Przyjaciele przysyłali nam ze Stanów ziołowe leki nasenne, które chyba znalazłam w Internecie.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Czyli nie kupowałaś niczego bezpośrednio?

**JILL ANDERSON:** Kupiłam mu poduszkę ortopedyczną, ale była do niczego.

**DETEKTYW RICHARDSON:** A więc można stwierdzić, że nie kupowałaś mu lekarstw w sieci?

**JILL ANDERSON:** Tak.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Żadnych?

**JILL ANDERSON:** Żadnych. Realizowałam wyłącznie recepty wystawiane przez lekarza pierwszego kontaktu i specjalistów.

**Detektyw Richardson:** W porządku. Czy miałaś jakikolwiek wpływ na to, jakie leki mu przepisują? Prosiłaś o jakieś konkretne środki, upierałaś się przy czymś?

**JILL ANDERSON:** Paul się tym zajmował. Ja tylko robiłam to, o co prosił.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Rozumiem. Czy molestowałaś lekarza pierwszego kontaktu o jakieś leki?

**JILL ANDERSON:** Molestowałam?

**DETEKTYW RICHARDSON:** W imieniu Paula, dlatego że on czegoś chciał.

**JILL ANDERSON:** Ja tylko prosiłam.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Rozumiem.

**JILL ANDERSON:** Może ktoś powie, że byłam nachalna, ale nic mnie to nie obchodzi, bo starałam się ocalić mu życie. Próbowałam wyeliminować ból. Więc nawet jeśli byłam nachalna, to wcale tego nie żałuję.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Staram się nie używać słowa „żebrać”.

**JILL ANDERSON:** Dziękuję. Przepraszam.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Dlatego użyłem słowa „molestować”. Wcale nie twierdzę, że to robiłaś ani że byłaś nachalna. Chciałbym po prostu wiedzieć, czy zdarzało ci się wielokrotnie prosić o jakieś leki, których zażyczył sobie Paul?

**JILL ANDERSON:** Owszem, zazwyczaj lekarzy pierwszego kontaktu, oni starali się chyba najbardziej. Publiczna służba zdrowia jest niedofinansowana i przepracowana, ale zastanawialiśmy się wspólnie jak mu pomóc. Starali się nas zrozumieć. Co innego mogli zrobić? Taki pacjent jak Paul jest bardzo frustrujący dla każdego lekarza.

**DETEKTYW BOSOMWORTH:** Czy odniosłaś kiedykolwiek wrażenie, że lekarz przepisuje jakiś lek niechętnie i tylko dlatego, że ty albo Paul wielokrotnie o to prosiliście?

**JILL ANDERSON:** Nic mi o tym nie wiadomo. Staraliśmy się wszystko robić profesjonalnie, a on potwornie cierpiał. Nie mieli żadnych pomysłów, więc staraliśmy się im je podsunąć.

MAJ 1997

Zbliżył do oka szkło powiększające i przyjrzał się grzybowi. Był oślizgły, z białą nóżką i brązowym kapeluszem. Zajrzał do atlasu, po czym zwrócił się do mnie:

– Muchomor plamisty, *agaricus langei*, a może uda nam się znaleźć *abortiporus biennia*, różnoporka dwuwarstwowego. – Mrugnął. – Albo purchawkę.

– Mmm, zapowiada się wspaniale – odparłam.

Stałam przy nim, on zaś oglądał znaleziony grzyb. Położył go na dłoni, wziął w dwa palce, uniósł do światła, po czym wyjął z kieszeni kurtki torebkę śniadaniową i dołożył grzyb do tych, które znalazł wcześniej. Zaraz po tym przeszedł do kolejnego zbiorowiska grzybów.

Zjawiliśmy się w lesie około południa. Z Rose Cottage było to całkiem niedaleko, jechało się drogą łączącą Pateley Bridge z Ripon. Był cudowny wiosenny dzień. Wzdłuż ścieżek i u podnóża drzew – dębów, brzoź i osik – rosły prymulki i dzwonki. Głośno śpiewały ptaki, promienie słoneczne z trudem przedzierały się przez baldachim nad naszymi głowami. Stanął w plamie słońca. Czy witamina D mogła mu pomóc? Stał z twarzą zwróconą ku słabym promieniom słońca przebijającym się zza chmur.

Wyglądało na to, że wie, czego szuka. Wciąż dokładał do torebki nowe grzyby. W pewnej chwili trafiliśmy na skupisko białych muchomorów. Zbadał je dokładnie, odwrócił się do mnie i powiedział:

– *Amanita verna*, anioł śmierci, spokrewniony z muchomorem sromotnikowym. Nigdy ich nie jedz, są śmiertelnie trujące.

Popatrzył na mnie znad okularów zsuniętych na czubek nosa.

Nazrywał sporo leśnych kwiatów. Mówił mi ich nazwy, marszcząc czoło, kiedy jakiejś nie znał. Tego dnia przeszliśmy czternaście, może nawet piętnaście kilometrów. Minęliśmy dom, wokół którego kręciło się mnóstwo pawi. Gapiliśmy się na nie, kiedy z domu wyszła kobieta i zapytała, co robimy.

– Podziwiamy pani pawie.

Obrzuciła nas „miejscowym” spojrzeniem oznaczającym „znikajcie”. Przywykliśmy do takich spojrzeń. Tutejsi chcieli mieć okolicę wyłącznie dla siebie, i choć turystyka stanowiła ich główne źródło przychodów, turystów chętnie widziano jedynie na obszarze wyznaczonym przez miejscową społeczność, czyli przy głównych ulicach, gdzie rozlokowały się sklepy z pamiątkami, oraz w zabytkach, które zwiedzało się za opłatą.

W końcu musieliśmy wracać. Już po zachodzie słońca obeszłam cały dom, podziwiając bukiety dzikich kwiatów. Zajrzałam do sypialni; siedział w łóżku,

pogrążony w lekturze swojej botanicznej książki, dokoła niego na kocu leżały kwiaty i lupa. Był bardzo skupiony. Zostawiłam go i wyszłam. Kiedy weszłam do kuchni, zauważyłam, że piekarnik jest włączony, i poczułam dziwny zapach. Otworzyłam piekarnik: wewnątrz, ułożone w równych rzędach, suszyły się grzyby.

**TAŚMA 7: 25 STYCZNIA 2004, 14.51–15.24, C.D.**

**DETEKTYW BOSOMWORTH:** W porządku, Jill. Przechodzimy do kolejnej części przesłuchania. O ile się nie mylę, twój dom został przeszukany?

**JILL ANDERSON:** Tak.

**DETEKTYW BOSOMWORTH:** Przejrzeliśmy przedmioty, które stamtąd zostały zabrane. Mam nadzieję, że je rozpoznasz, a na razie chciałbym zadać kilka pytań. Przede wszystkim chodzi mi o dziennik, w którym zapisywałeś niemal wszystkie swoje myśli.

**JILL ANDERSON:** To terapia, ale raczej nieskuteczna.

**DETEKTYW BOSOMWORTH:** Rozumiem. Czyli jest to sposób...

**JILL ANDERSON:** Sposób na radzenie sobie.

**DETEKTYW BOSOMWORTH:** Na dojście do ładu?

**JILL ANDERSON:** Tak. Odczuwałam gniew i frustrację, co jest zupełnie normalne u osób opiekujących się ciężko chorymi.

**DETEKTYW BOSOMWORTH:** Rozumiem.

**JILL ANDERSON:** Może pan porozmawiać z dowolnym opiekunem w kraju, jest ich sześć milionów. ME Association poprosiło mnie o spisywanie moich odczuć, a poza tym jestem też pisarką amatorką. Znajdziecie sporo ciekawych rzeczy mojego autorstwa. W trakcie przeszukania otworzyliście szufladę, do której nikt nigdy nie powinien zaglądać. Rozumiem, że prowadzicie śledztwo, że badacie okoliczności śmierci człowieka. Wszystko to rozumiem, ale Paul nigdy nie zaglądał do tej szuflady i nikt nie miał się dowiedzieć o jej istnieniu, więc znajdziecie tam wiele interesujących rzeczy. Byłam sfrustrowana i wściekła, i radziłam sobie z tym w taki sposób, że to spisywałam.

**DETEKTYW BOSOMWORTH:** Nie zamierzamy...

**JILL ANDERSON:** Nie chciałam nikogo skrzywdzić.

**DETEKTYW BOSOMWORTH:** Zamierzamy pokazać ci rzeczy, które wydają nam się istotne. Nie chcemy... Staramy się szanować twoją prywatność, na ile to jest możliwe, i będziemy to robić nadal.

**JILL ANDERSON:** Zobaczycie rzeczy, których nikt nigdy nie miał oglądać, nawet mój mąż.

**DETEKTYW BOSOMWORTH:** Jesteśmy zawodowcami.

**JILL ANDERSON:** Oczywiście. Ja tylko dawałam w ten sposób upust gniewowi i frustracji.

**DETEKTYW BOSOMWORTH:** W jaki sposób Isla uczyniła cię opiekunką Paula?

**JILL ANDERSON:** Przyjechała z wizytą razem z całą rodziną, spojrzała mi



w oczy i powiedziała: „Zaopiekuj się moim chłopcem”. To samo powtórzyła w szpitalu, na krótko przed śmiercią: „Zaopiekuj się moim chłopcem”.

**DETEKTYW BOSOMWORTH:** Jak to zinterpretowałaś?

**JILL ANDERSON:** Zostałam jego opiekunką. Nie planowałam tego. Byliśmy normalnym małżeństwem, jak inni. Wszystkim wiadomo, że życie nie jest łatwe: zdarzają się różne rzeczy, czasem trzeba zmieniać plany, wiele osób opiekuje się chorymi partnerami.

**DETEKTYW BOSOMWORTH:** Rozmawialiśmy o problemach w rodzinie. Posłużyłaś się terminem „zastraszenie”.

**JILL ANDERSON:** Owszem.

**DETEKTYW BOSOMWORTH:** Co przez to rozumiesz?

**JILL ANDERSON:** Moja rodzina miała problemy ze zrozumieniem, czym jest zespół ustawicznego zmęczenia. Twierdzili, że Paul powinien wstać z łóżka i wziąć się do pracy, co całkowicie rozumiem.

**DETEKTYW BOSOMWORTH:** Masz na myśli swoją matkę, prawda?

**JILL ANDERSON:** Tak. Przypuszczam, że chce jak najlepiej dla swojej córki.

**DETEKTYW BOSOMWORTH:** Mimo to powiedziała: „Paul, wstawaj z łóżka i bierz się do pracy”?

**JILL ANDERSON:** Wcale tego nie powiedziała.

**DETEKTYW BOSOMWORTH:** Powtórzyłam tylko twoje słowa.

**JILL ANDERSON:** Źle się wyraziłam. Nie rozumiała, na czym polega ta choroba i dlaczego Paul ciągle leży w łóżku.

**DETEKTYW BOSOMWORTH:** Czy miałaś również problemy z innymi członkami swojej rodziny?

**JILL ANDERSON:** Tak, oni mają bardzo staroświeckie poglądy. Teraz zrozumieli, że to, co mówili wtedy, wcale nam nie pomagało, ale i ja rozumiem, dlaczego to robili. My też byliśmy sfrustrowani. Proszę pamiętać, że bardzo chcieliśmy należeć do rodziny. Chętnie napilibyśmy się z nimi herbaty, ja gawędziłabym z moją matką, a Paul w tym czasie naprawiałby zepsuty kontakt. Zostaliśmy tego wszystkiego pozbawieni, więc po obu stronach pojawiła się frustracja, ale oni mimo wszystko starali się przy nas wytrwać. Proszę pamiętać, że często bardzo gniewamy się na najbliższych i chowamy do nich mnóstwo urazy, więc znajdziecie wiele złych emocji ubranych w słowa. Pisałam o mojej rodzinie rzeczy, które miały trafić wyłącznie do „szuflady gniewu”, bo tak poradzono mi w ME Association.

**DETEKTYW BOSOMWORTH:** ALG czterdzieści sześć A. Koperta zawierająca te wszystkie...

**JILL ANDERSON:** Tak, to właśnie to.

**DETEKTYW BOSOMWORTH:** Pamiętasz to? Znaleźliśmy to w twoim

domu, więc nigdy tego nie wysłałaś.

**JILL ANDERSON:** Zgadza się.

**DETEKTYW BOSOMWORTH:** Zamierzałaś to wysłać?

**JILL ANDERSON:** Nie, nigdy. Ani jednej z tych rzeczy. To moja szuflada. Nikt na świecie nie mógł do niej zaglądać, nawet Paul.

**DETEKTYW BOSOMWORTH:** W porządku. Mowa o kopercie wypełnionej różnymi papierami adresowanymi do jego ojca.

**JILL ANDERSON:** Zapisywałam sobie te rzeczy i często o nich myślałam. Nasze rozmowy często były gwałtowne i agresywne, ale Paul nigdy tego nie powiedział. Był miły.

MAJ 1994

Zewsząd otaczały nas motyle. Byliśmy w motylarni w Syon Park na przedmieściach Londynu. Powietrze parzyło skórę, skądś wydobywała się para. Motyle miały wszystkie barwy tęczy. Po obu stronach zatłoczonej ścieżki rosły rośliny tropikalne – smukłe palmy, oliwkowe bambusy, soczyście zielone paprocie, białe, różowe, fioletowe i błękitne orchidee. Choć była zimna, deszczowa sobota, to w tym zakątku czuliśmy się jak w południowoamerykańskiej dżungli.

Ogromny motyl ze skrzydłami w piękne, czarno-białe wzory usiadł przed nami na różowej orchidei, wysunął trąbkę i zanurzył ją w kielichu. Razem z innymi obserwowaliśmy go zafascynowani. Było tu też dużo ciem, nie wiadomo dlaczego znacznie bardziej agresywnych i mniej przyjaznych niż motyle, ale nie mniej fascynujących. Kilka razy przeszliśmy w tę i z powrotem przez całe pomieszczenie. Jeden z motyli usiadł na ramieniu Paula. Przyglądaliśmy się, jak szuka pożywienia. Był wielki, pomarańczowy, z subtelnym białym wzorkiem na skrzydłach. Potem poszliśmy do kawiarni i, trzymając się za ręce, zamówiliśmy ciasteczka i herbatę. Motyle napełniły nas poczuciem spokoju i lekkości.

**TAŚMA 7: 25 STYCZNIA 2004, 14.51–15.24, C.D.**

**DETEKTYW BOSOMWORTH:** Znajduje się tam między innymi wzmianka o tym, że Paul był maltretowany przez ojca. Co konkretnie miałaś na myśli?

**JILL ANDERSON:** To było podczas jednej z rozmów telefonicznych z jego ojcem. Był bezustannie wściekły. Przypuszczam, że jednym z powodów była rozpacz po stracie Isli. Powiedział wtedy: „Jeżeli Paul poskarży ci się, że biłem go, kiedy był dzieckiem, to będzie nieprawda”. Powtórzyłam to Paulowi, a on wtedy powiedział: „To prawda. Bił mnie”. W gruncie rzeczy nie ma w tym nic nadzwyczajnego, ale chodziło o to, że ojciec Paula temu zaprzeczył. Nie mam pojęcia, dlaczego to zrobił. Powiedział to bez żadnego powodu, zupełnie niespodziewanie. Ja w ogóle nie poruszałam tego tematu. Mnie też zdarza się być sfrustrowaną i wściekłą. Przelewam wtedy swoje uczucia na papier.

**DETEKTYW BOSOMWORTH:** Czy to pomaga?

**JILL ANDERSON:** Tak, naturalnie.

**DETEKTYW BOSOMWORTH:** W takim razie, jak czułaś się po tym, kiedy to zrobiłaś?

**JILL ANDERSON:** Lepiej, bo wyraziłam to, co chciałam powiedzieć, a czego nigdy bym nie powiedziała.

**DETEKTYW BOSOMWORTH:** To jasne, że traktowałaś z pogardą wszystkich, którzy się z tobą nie zgadzali. Przyjrzymy się temu dokładniej. Gardziłaś nimi, ponieważ mieli inne zdanie niż ty i Paul.

**JILL ANDERSON:** Z pogardą? To była ich wina. Zaczynaliśmy od dobrych stosunków ze wszystkimi, a potem robiło się coraz gorzej, zupełnie jak z jego ciałem. Nie potrafię tego wyjaśnić. Pogarda... Nie znoszę, nie lubię tego słowa. Ja byłam na nich po prostu zła.

**DETEKTYW BOSOMWORTH:** No dobrze. W takim razie kto...

**JILL ANDERSON:** Nie chodziło o to, że się z nami nie zgadzają, ale o to, że są agresywni. Jak by pan się czuł, gdyby zadzwonił pański brat i powiedział, że chętnie by pana zabił?

**DETEKTYW BOSOMWORTH:** Och, robił to już mnóstwo razy.

**JILL ANDERSON:** No tak.

**DETEKTYW BOSOMWORTH:** Kim jest „doktor W.”? Przypominam ci, że to też jest z czerwonej książeczki.

**JILL ANDERSON:** Naprawdę nie pamiętam, o którego z nich mogło chodzić.

**DETEKTYW BOSOMWORTH:** To ktoś, kto miał inne zdanie niż ty, czy

ktoś, komu się sprzeciwiłaś?

**JILL ANDERSON:** Ciężko było znosić tę chorobę. Czułam się okropnie, obserwując, jak mój mąż staje się coraz bardziej niedołężny.

## WRZESIEŃ 1993

Wokół nas wirowały srebrzyste samochodziki z fioletowymi i żółtymi światełkami. Trzymaliśmy się kurczowo burt, aż kręciło nam się w głowach. Między wagonikami uwijał się wysoki, szczupły mężczyzna, odpychając je, kiedy zanadto zbliżały się do siebie. Można było odnieść wrażenie, że ryzykuje życie, ale był bardzo sprawny. Fioletowe, czerwone i pomarańczowe reflektory oślepiały nas blaskiem, odbijanym przez stalową, srebrzystą podłogę. Ludzie krzyczeli ze strachu i podniecenia, a my razem z nimi.

Za jednym naciśnięciem guzika wszystkie samochodziki nagle znieruchomiały. Popatrzyliśmy na siebie i po otaczających nas zaróżowionych, roześmianych twarzach. Wygramoliwszy się z samochodziku, ruszyliśmy przed siebie, przyglądając się kolejnym atrakcjom. W końcu dotarliśmy do straganu z wiatrówkami, z których za drobną opłatą można było strzelać do kaczek lecących nad rzeką. Paul zmierzył się z wyzwaniem, ale po kilku strzałach przyjrzał się uważnie lufie.

– Celowo ją skrzywili – stwierdził.

– Chyba więc nie ma zbyt wielu zwycięzców – zauważyłam.

Uparł się i próbował tak długo, aż zaliczył trzy trafienia. Właściciel straganu nie ukrywał zaskoczenia.

– Proszę wybrać nagrodę – rzekł, obracając się w stronę kolekcji pluszowych zwierzaków.

Paul spojrział na mnie.

– Zrobiłem to dla ciebie.

– Wezmę tego – powiedziałam, wskazując na niedużego niedźwiadka polarnego z błękitnymi oczami i w pasiastej granatowej kamizelce.

Mężczyzna przyjrzał mi się uważnie.

– Niech zgadnę, skąd jesteście... – Miał twarz zniszczoną słońcem i deszczem, jak ktoś, kto dużo przebywa na świeżym powietrzu i dużo podróżuje. Typowy przedstawiciel jarmarcznej profesji. – Zjeździłem cały kraj i potrafię rozpoznać każdy akcent. Sheffield.

– Ma pan całkowitą rację – stwierdziłam z podziwem. Niewielu jest ludzi potrafiących rozpoznać mój akcent.

Mężczyzna z uśmiechem wręczył mi pluszaka.

– Do zobaczenia.

Ruszyliśmy dalej. Dostrzegliśmy Pociąg Grozy i chwilę potem siedzieliśmy w wagoniku, który zagłębił się w mroczny tunel pełen duchów, upiórów i wampirów. Ludzie wrzeszczeli, ja chowałam twarz na piersi Paula. Wreszcie

przejażdżka dobiegła końca i na uginających się nogach wysiedliśmy z pociągu. Skierowaliśmy się do wyjścia z wesołego miasteczka. Przytuliłam niedźwiadka najpierw do swojej twarzy, potem do twarzy Paula.

– Jak go nazwiemy? – zapytałam.

– Oszust.

– Nie, to nieładne. Może Pierre?

– Przecież nie jest Francuzem.

Rozejrzeliśmy się. Obok nas przemknęła furgonetka z napisem RUSZTOWANIA OD MARTINA. Paul spojrzął na mnie.

– Mart – powiedział.

Skinęłam głową i wręczyłam misia Paulowi, a ten wsadził go pod pachę i we trójkę poszliśmy dalej.

**TAŚMA 7: 25 STYCZNIA 2004, 14.51–15.24, C.D.**

**DETEKTYW BOSOMWORTH:** Przypominasz sobie, dlaczego zezłościłaś się na doktora W.?

**JILL ANDERSON:** Nie. Mam wrażenie, że któryś z lekarzy kazał mi wracać do domu i wziąć aspirynę. Nie jestem szczególnie dumna ze swojego postępowania, ale to są prywatne sprawy i nikt o nich nie wiedział. Kiedy miałam do czynienia z jego rodziną, starałam się być miła i uprzejma.

**DETEKTYW BOSOMWORTH:** Wspominasz tu o ukrytych homoseksualistach i o kimś z problemami emocjonalnymi.

**JILL ANDERSON:** Mhm.

**DETEKTYW BOSOMWORTH:** Czy to twoje autentyczne opinie, czy tylko próbowałaś w ten sposób dać upust gniewowi?

**JILL ANDERSON:** Byłam paskudna, i tyle.

**DETEKTYW BOSOMWORTH:** Rozumiem. Wspominasz też, że „prawdziwi mężczyźni” nie podrywają kobiet. Czy możesz to wyjaśnić?

**JILL ANDERSON:** Tak. Napastował mnie właściciel domu.

**PRAWNIK:** Zaczynam się trochę niepokoić, ponieważ pani Anderson siedzi tu od wpół do jedenastej rano. Teraz poproszono ją o przejrzenie dużej ilości dokumentów i najwyraźniej ma z tym problemy. Chciałbym zaproponować, żebyśmy zakończyli to przesłuchanie.

**DETEKTYW BOSOMWORTH:** I co?

**PRAWNIK:** I zrobili długą przerwę, ponieważ ona siedzi tu już od pięciu godzin.

**DETEKTYW BOSOMWORTH:** W porządku, nie widzę problemu.

**PRAWNIK:** To dobrze.

**DETEKTYW BOSOMWORTH:** Sam chciałem to zrobić.

**PRAWNIK:** W porządku.

**DETEKTYW BOSOMWORTH:** Co prawda planowaliśmy na dłużej...

**PRAWNIK:** Wiem, ale nie wiedziałem, że mamy tyle dokumentów.

**DETEKTYW BOSOMWORTH:** Wspominałem o tym.

**PRAWNIK:** Ale nie mówił pan, że jest ich aż tak dużo.

**DETEKTYW BOSOMWORTH:** Proponowaliśmy posiłek.

**Prawnik:** Nie chodzi o posiłek, tylko o to, że od dziesiątej trzydzieści ta kobieta jest poddawana intensywnemu przesłuchaniu, czwartemu z kolei. Pokazujecie jej mnóstwo dokumentów, do których ma się ustosunkować, w związku z tym wydaje mi się, że ma prawo do solidnej przerwy.

**DETEKTYW BOSOMWORTH:** Nie widzę żadnego problemu. Możemy



przerwać.

**PRAWNIK:** Ona tego potrzebuje.

## **TAŚMA 8: 26 STYCZNIA 2004, 9.54–10.37**

**DETEKTYW BOSOMWORTH:** Przede wszystkim dziękuję za informacje medyczne i finansowe, które udostępniłaś nam bezpośrednio przed rozmową. Chciałbym zacząć tam, gdzie skończyliśmy wczoraj. Jeśli pozwolisz, odświeżę ci pamięć. Wspomniałem o jednym z zapisków z czerwonej książeczki, który zwrócił moją uwagę. „Prawdziwi mężczyźni nie podrywają kobiet”. Czy możesz mi wyjaśnić sens tego zapisu?

**JILL ANDERSON:** Nie pamiętam, żebym pisała coś takiego, ale najwyraźniej chciałam dać upust swoim uczuciom.

**DETEKTYW BOSOMWORTH:** Bardzo podobnie wyraziłaś się później, pisząc wspomnienie o zmarłym.

**JILL ANDERSON:** Tak, ale ono było przeznaczone wyłącznie dla najbliższych przyjaciół, dla nikogo więcej.

**DETEKTYW BOSOMWORTH:** Kiedy je napisałaś?

**JILL ANDERSON:** Nie jestem w stanie panu odpowiedzieć.

**DETEKTYW BOSOMWORTH:** Chciałbym odświeżyć także własną pamięć. Jest tu też wzmianka o Isli. Możesz mi wyjaśnić, co oznacza i w jakim kontekście się pojawiła?

**JILL ANDERSON:** Chodzi tylko o to, że filozofia Isli i Paula polegała na tym, żeby wychodzić do ludzi i czynić ich szczęśliwymi. Takie właśnie miał podejście do życia.

## CZERWIEC 1997

Któregoś dnia w Rose Cottage przywołał mnie do łóżka. Sypialnia była niewielka, na podłodze leżała puszysta błękitna wykładzina ze sztucznego tworzywa, tapeta była biała, w różyczki. Po obu stronach naszego łóżka stały białe szafki nocne, telewizor i magnetowid znalazły miejsce na regale z książkami. On spał od strony małego, przekrzywionego okna. Było to niebezpieczne, ponieważ rama była stara i spróchniała, a szyby sprawiały wrażenie, jakby lada chwila miały wypaść. Dom stał w centrum osady zamieszkaney przez dziewięćdziesiąt siedem osób. Składał się z dwóch części – do nas należała jedna z nich. Przypominał wiejską chatę – i pewnie po prostu nią był. Prawie przed stuleciem wzniesiono go z szarego kamienia z Yorkshire. Niektórzy powiedzieliby „nic wielkiego”, ale nam chodziło przede wszystkim o lokalizację. Gdzie jak gdzie, ale na wsi powinno się najłatwiej odzyskać zdrowie.

Ze względu na nazwę, posadziliśmy przed drzwiami różę o nazwie Lady Hillingdon. Powoli oplatała drzwi, ale wyprowadziliśmy się, zanim zdążyła naprawdę się rozrosnąć. Była jeszcze jedna róża, biała i dzika. Nie znaleźmy jej nazwy. Była stara, od lat rosła przy frontowej ścianie. Obficie kwitła w czerwcu, a potem mały trawnik przed wejściem był cały obsypany konfetti z jej płatków.

To był koniec dnia ciężkiej pracy. Kiedy zbliżyłam się do drzwi sypialni, poruszyły się. Kiedy weszłam do pokoju, obrazek poruszył się na ścianie. Światło było wyłączone, z zewnątrz sączyła się szarawa, stłumiona poświata, wypełniająca sypialnię bardziej cieniem niż światłem. Kiedy podeszłam do szafy, poruszyła się jedna z ozdób. Chwilę potem usłyszałam donośny śmiech. Do każdego z tych przedmiotów przywiązał białą bawełnianą nitkę. Sterował nimi z łóżka, niczym lalkarz marionetkami. Nić oplatała jego palce i stopy. Miał zamiłowanie do duchów i wszystkiego związanego z zaświatami.

Zawsze lubił płać figle. Pamiętam historie na ten temat, jakie opowiadali jego krewni. Tych parę chwil dało nam okazję do śmiechu i wytchnienia po całym dniu pracy. Zdarzało się, że musiał spędzić w łóżku non stop nawet pół tygodnia, żarty stanowiły więc miłe urozmaicenie.

Przy innej okazji wskoczyłam do niego do łóżka i natychmiast uciekłam. W pościeli powitał mnie ogromny czarny żuk. Wyciął go z papieru i pomalował czarnym flamastrem. Był wykonany z najdrobniejszymi szczegółami. Żuk z sześciorami nogami. Kiedy przyjrzałam mu się dokładniej, zobaczyłam białe, ostre zęby, odsłonięte w uśmiechu.



**TAŚMA 8: 26 STYCZNIA 2004, 9.54–10.37, C.D.**

**DETEKTYW BOSOMWORTH:** Wspominasz też o prześladowaniu. Wyjaśniłaś już, co wcześniej miałaś na myśli. Czy tym razem też chodzi o coś takiego, o czym mówiłaś w kontekście waszego gospodarza?

**JILL ANDERSON:** Nie. Kiedy to pisałam, byłam wściekłą, sfrustrowaną kobietą, ponieważ codziennie oglądałam chorego i przykutego do łóżka męża. W żaden sposób nie mogłam mu pomóc i dlatego pisałam wtedy te wszystkie rzeczy, ale to było bardzo osobiste.

**DETEKTYW BOSOMWORTH:** Wspomniałaś, że wstydzisz się waszych rodzin. Dlaczego tak się wyraziłaś? Co miałaś na myśli?

**JILL ANDERSON:** To przez frustrację spowodowaną stale pogarszającym się zdrowiem Paula. Nie mógł osiągnąć w życiu tego, czego pragnął. Zazdrościłam im. Mój mąż chciał mnie utrzymywać i zapewnić mi wspaniałe życie, chciał zarabiać pieniądze, ale wszystko to okazało się niemożliwe ze względu na jego problemy zdrowotne.

**DETEKTYW BOSOMWORTH:** Czy to było wymierzone w twoją matkę, ze względu na coś, co zrobiła albo powiedziała?

**JILL ANDERSON:** Miałyśmy typowe relacje matki z córką. Wciąż się kłóciłyśmy.

**DETEKTYW BOSOMWORTH:** A do czego konkretnie nawiązywałaś? Co się takiego stało, że aż tak bardzo się nakręciłaś?

**JILL ANDERSON:** Nie mam pojęcia.

**DETEKTYW BOSOMWORTH:** W porządku.

**JILL ANDERSON:** To normalne relacje matki z córką. Na niej się wszystko skupiło.

**DETEKTYW BOSOMWORTH:** Rozumiem.

**JILL ANDERSON:** Bardzo mi przykro, że tak wtedy myślałam. Byłam wściekła, bo nie mogłam pomóc mężowi. On sam też nie mógł sobie pomóc. Próbował wszystkiego. Spotkałam się z nią w Harrogate i potwornie się pokłóciłyśmy, nie mam pojęcia o co. Kiedy wróciłam, Paul powiedział mi to co zwykle: „Twoja matka cię kocha, nie zwracaj na to uwagi, ona na pewno tak nie myśli”.

**DETEKTYW BOSOMWORTH:** Czy kłótnia miała związek z chorobą Paula?

**JILL ANDERSON:** Kłóciłyśmy się od czterdziestu ośmiu lat. Naturalnie martwiła się o mnie i o Paula.

**DETEKTYW BOSOMWORTH:** Naturalnie.

**JILL ANDERSON:** Pytała o naszą sytuację finansową, a ja mówiłam jej, że wszystko jest świetnie, choć oczywiście nie było, i tak dalej.

**DETEKTYW BOSOMWORTH:** Rozumiem.

**JILL ANDERSON:** Ona była matką, która kochała swoją córkę, a ja nie postępowałam jak należy. Chętnie to przyznam, a Paul, gdyby tu był, z pewnością by to potwierdził.

**DETEKTYW BOSOMWORTH:** Rzecz jasna wspierałaś Paula w kontaktach z jego rodziną.

**JILL ANDERSON:** To była jego decyzja. Byłam jego żoną. On liczył się dla mnie najbardziej.

**DETEKTYW BOSOMWORTH:** Czy można więc powiedzieć, że wykorzystywałaś Paula jako broń przeciwko jego rodzinie?

**JILL ANDERSON:** Skądże znowu. Nigdy nie zrobiłabym czegoś takiego. Miałam nadzieję i modliłam się o to, że któregoś dnia zjawią się, żeby nas przeprosić. Wiem, że pisali listy. Przeczytał list od siostry i sam podjął decyzję. Powiedział, że sobie z tym nie poradzi. Był za bardzo chory, żeby tracić siły na drobne sprzeczki, a ja byłam za bardzo zajęta opiekowaniem się nim, więc podjął taką decyzję.

*Cierpiał bezustannie, ona zaś bezustannie się poświęcała. Gotowała, sprzątała, prowadziła samochód, robiła zakupy, zmieniała pościel, pisała listy. To było bardzo smutne życie, tym bardziej że w towarzystwie mężczyzny, który nie mógł jej wspierać ani chronić. Nikt by się chyba nie zdziwił, gdyby to ona przedawkowała leki, żeby rozstać się z tym światem.*

Z mowy końcowej obrońcy

**TAŚMA 8: 26 STYCZNIA 2004, 9.54–10.37, C.D.**

**JILL ANDERSON:** On podejmował wszystkie decyzje dotyczące jego rodziny, a ja dotyczące mojej. Powiedział mi na samym początku znajomości, i kocham go za to jeszcze bardziej, że nigdy nie będzie ingerował ani w moje stosunki rodzinne, ani w przyjaźnie. I tak rzeczywiście było.

**DETEKTYW BOSOMWORTH:** Czy Paul wiedział o zapiskach, które pokazywałem ci wczoraj i dzisiaj?

**JILL ANDERSON:** Nie. Był cudowny. Pozwalał mi odreagować, ale wszystko zostawało między nami. Nigdy się nie wtrącał. Miałam prywatną szufladę, miałam własne książki, do których nigdy nie zaglądał. Pamiętam, jak kiedyś w biurze znalazł maleńki skrawek papieru. Podniósł go, zerknął na niego i oddał mi bez słowa.

**DETEKTYW BOSOMWORTH:** Czy to było coś podobnego do zapisków, które ci pokazałem?

**JILL ANDERSON:** Rozumiał mnie. Wszystko tam zapisywałam, ale nikt nigdy się o tym nie dowiedział.

**DETEKTYW BOSOMWORTH:** Nigdy tego nikomu nie wysłałaś?

**JILL ANDERSON:** Nigdy. To znaczy, napisałam kilka listów do jego lekarza pierwszego kontaktu. Macie je w aktach, to są profesjonalne listy. Te tutaj nie są profesjonalne, one służyły tylko temu, żebym mogła po swojemu zmierzyć się z sytuacją. Chwilami trochę ponosiła mnie wyobraźnia. Bardzo chciałam, żeby świat jakoś zareagował na to, że Paul cierpi na zespół ustawicznego zmęczenia, a tymczasem ta choroba nawet nie jest jeszcze powszechnie uznana za chorobę. Na pewno zdążyliście się już o tym dowiedzieć. Wyobrażałam sobie, jak by było wspaniale, gdyby wszyscy lekarze podpisali się pod tym listem. Zresztą nieważne. To nic nie znaczy. To tylko ja.

**DETEKTYW BOSOMWORTH:** Twoje myśli.

**JILL ANDERSON:** Moje myśli i mój sposób na to, żeby poradzić sobie z...

**DETEKTYW BOSOMWORTH:** Wcale nie twierdzę, że to cokolwiek innego. Po prostu staram się zrozumieć, przez co przeszłaś.

**JILL ANDERSON:** Tak, rozumiem. Bardzo dziękuję.

**DETEKTYW BOSOMWORTH:** Czy mam więc rację, zakładając, że chodzi o coś w rodzaju utopijnej idei?

**JILL ANDERSON:** Tak.

**DETEKTYW BOSOMWORTH:** I że chętnie zgodziłabyś się z diagnozą lekarza pierwszego kontaktu i specjalistów, że jednak chodzi o zapalenie mózgowo-rdzeniowe?



**JILL ANDERSON:** Tak, ale to już historia, bo sporo się zmieniło. W pewnym sensie Paul został zrehabilitowany, bo wiele z tego, co opowiadał o swoich objawach i przebiegu choroby, zostało potwierdzone, udokumentowane i uznane przez świat medyczny. Tyle że lekarze nadal nie wiedzą, co robić. Starali się, jak mogli, a wszyscy mamy się czego uczyć.

**DETEKTYW BOSOMWORTH:** Pozwól, że pokażę ci ALG czterdzieści trzy. To podobny list, mniej więcej z tego samego okresu co tamten.

**JILL ANDERSON:** To nieistotne. To tylko ja.

**DETEKTYW BOSOMWORTH:** Ten, zdaje się, został napisany we wrześniu. Tamten jest z października, i jest bardzo podobny.

**JILL ANDERSON:** Po prostu musiałam dać upust uczuciom. Nigdy go nie wysłałam, bo...

**DETEKTYW BOSOMWORTH:** Różnica polega na tym, że na dole jest też nazwisko lekarza Paula.

**JILL ANDERSON:** Tak.

**DETEKTYW BOSOMWORTH:** A także nazwisko Paula i twoje.

**JILL ANDERSON:** To tylko taka fantazja. Miałam dość zdrowego rozsądku, żeby nikomu tego nie pokazywać.

**DETEKTYW BOSOMWORTH:** Rozumiem.

**JILL ANDERSON:** Takie właśnie uczucia kotłowały się we mnie w tamtym czasie.

**DETEKTYW BOSOMWORTH:** Skąd ta wzmianka o szacunku?

**JILL ANDERSON:** Wydaje mi się, że wszyscy używamy słowa „szacunek”, prawda? To tylko słowo.

**DETEKTYW BOSOMWORTH:** Ale ten list ma szczególny kontekst, dlatego trochę mnie to zdziwiło.

**JILL ANDERSON:** To tylko...

**DETEKTYW BOSOMWORTH:** Dlaczego użyłaś słowa „szacunek”?

**JILL ANDERSON:** Pewnie dlatego, że szacunek oznacza, że się kogoś słucha. Moim zdaniem każdy, kto się kimś opiekuje, może się uważać za bohatera. Spotkałam wiele osób, które to robią, a w przyszłości chciałabym działać w którejś z ich organizacji.

**DETEKTYW BOSOMWORTH:** ALG czterdzieści cztery. Bardzo podobny list, tym razem do rodzin.

**JILL ANDERSON:** Tak, poużywałam sobie na nich, wystarczy, że zajrzy pan na którąkolwiek ze stron poświęconych zespołowi ustawicznego zmęczenia, żeby zobaczyć, jakie wielkie rodzinne konflikty wywołuje ta choroba. Chory nie jest w stanie wypełniać swoich codziennych obowiązków. My bardzo chcieliśmy ich odwiedzić, ale nie mogliśmy tego zrobić. Wie pan doskonale, że to długa droga, a ja nie wytrzymałam i obrzuciłam ich wyzwiskami, ale to nic nie znaczy.

**DETEKTYW BOSOMWORTH:** Każdego z osobna.

**JILL ANDERSON:** Nie wysłałam tego listu.

**DETEKTYW BOSOMWORTH:** Zdaję sobie z tego sprawę, ale czy rzeczywiście czułaś i myślałaś to wszystko, o czym pisałaś?

**JILL ANDERSON:** To tylko uczucia. Gdybym opowiedziała o nich psychiatrze albo jakiemuś innemu lekarzowi, powiedzieliby, że to zupełnie normalne. To uczucia i emocje. W gruncie rzeczy wszystko sprowadzało się do mojego poczucia bezradności.

**DETEKTYW BOSOMWORTH:** Ten list jest utrzymany w najostrzejszym tonie. Są tu wzmianki o mordowaniu kobiet, i jeszcze inne.

**JILL ANDERSON:** Akurat wtedy w telewizji wciąż mówili o talibach. Wyprowadzili kobietę na boisko piłkarskie i strzelili jej w głowę. Widocznie widziałam to, wściekłam się i przelałam wszystko na papier.

**DETEKTYW BOSOMWORTH:** Czyli to mieszanka reakcji na to, co działo się na świecie, i twoich uczuć?

**JILL ANDERSON:** Tak.

**DETEKTYW BOSOMWORTH:** Zgadzasz się z taką opinią?

**JILL ANDERSON:** Podjęłam decyzję, żeby z nim zostać, bo nie chciałam zostawiać go samego. Media stanowiły wtedy dużą, niezwykle ważną część naszego życia. Staraliśmy się sensownie wykorzystać czas. Myślał pozytywnie i tak samo działał. Jak pan widzi, ja mam znacznie bardziej negatywne nastawienie. Żałuję tego, ale czasem odnoszę wrażenie, że opiekunowie stają się bardziej nerwowi od swoich podopiecznych. On był wręcz wzorowym pacjentem. Opiekowanie się nim to była czysta przyjemność.

**DETEKTYW BOSOMWORTH:** A tu mamy DE jeden. Wygląda jak szkic listu i różni się nieco od poprzednich, w których wyrażałaś swoje uczucia. Zaczęłaś go tak: „Moja Najdroższa, Prawdziwa i Szczera Przyjaciółko”. Do kogo był skierowany?

**JILL ANDERSON:** Do mojej przyjaciółki Vanessy. Umarła tuż przed świętami. Miała pięćdziesiąt trzy lata, chorowała na raka. Jej rodzice ocalili z Auschwitz.

**DETEKTYW BOSOMWORTH:** Są tu oczywiste odniesienia do twojego życia, oraz do tego, co nas najbardziej interesuje, a mianowicie do rozłamu w rodzinie.

**JILL ANDERSON:** Za życia Isli byłam przekonana, że to najbardziej fantastyczni ludzie na świecie. Powiedziałam im to, ale ponieważ doszło do paru spięć, oni uznali, że sobie z nich kpię, i obrazili się na mnie. Nic nie mogłam na to poradzić.

**DETEKTYW BOSOMWORTH:** Są tu też wzmianki o ultraprawicy i o nazistach. Czy tak myślałaś o rodzinie Paula i o wszystkich, którzy się z tobą nie

zgadzali?

**JILL ANDERSON:** Nie, to tylko ta moja niewyparzona gęba. To nic nie znaczy. Możliwe, że akurat wtedy oglądałam ten serial dokumentalny. Nie wiem, czy go pan widział. Szedł na Channel Five. Świetny program o Hitlerze i ludziach, którzy dla niego pracowali. Wszyscy robimy różne rzeczy i każdemu z nas zdarzy się czasem powiedzieć więcej, niż powinien.

**DETEKTYW BOSOMWORTH:** Piszesz o tym, że tamci cieszyli się z pogarszającego się stanu zdrowia Paula i z jego finansowego upokorzenia. Naprawdę tak uważałaś?

**JILL ANDERSON:** Jego matka powiedziała mi kiedyś, że jest takie niemieckie słowo, schadenfreude. Oznacza radość z czyjegoś niepowodzenia. Każdy z nas musi przyznać, że niekiedy odczuwa coś takiego. Taka jest ludzka natura: cieszyć się z tego, że komuś powinie się noga. Tacy już jesteśmy.

**DETEKTYW BOSOMWORTH:** Ale czy w to wierzyłaś?

**JILL ANDERSON:** Nie bardzo. To przykre, kiedy twoje marzenia rozwiewają się jak dym, ale nikt nie ucierpiał na naszym bankructwie. Zostało przeprowadzone w sposób profesjonalny. Przyznał to nawet sam komornik. Nie chcieliśmy, żeby tak się stało, ale kiedy już do tego doszło, zrobiliśmy wszystko co w naszej mocy, żeby nikt nie został pokrzywdzony.

**DETEKTYW BOSOMWORTH:** Wspominasz o chwale i walce.

**JILL ANDERSON:** Wieczne pielgrzymowanie.

**DETEKTYW BOSOMWORTH:** Co konkretnie miałaś na myśli? Możesz to wyjaśnić?

**JILL ANDERSON:** Zwykła historia ludzkiego życia. Dla większości to nieustająca walka.

**DETEKTYW BOSOMWORTH:** Masz na myśli chorobę Paula czy to bardziej ogólna refleksja?

**JILL ANDERSON:** I to, i to. Zresztą nieważne. Tak po prostu jest, i tyle.

LUTY 1994

Ranek był przeraźliwie zimny. Paul wyjrzał przez okno naszego mieszkania, studia na szóstym piętrze bloku w południowo-zachodnim Londynie. Miasto przykryła gruba, dusząca pierzyna chmur. Szykował się do wyjścia do pracy. Był kurierem motocyklowym, jego zarobki były uzależnione od liczby kursów. Znał mnóstwo skrótów. Wziął się w garść, wyremontował kupionego z drugiej ręki kawasaki. Rozłożył brezentową płachtę na podłodze w salonie, rozmontował silnik na części i złożył go z powrotem. Pomalował motor na czerwono. Zdawał sobie sprawę, że mnie irytuje. W drodze do kuchni potykałam się o elementy silnika, lakiery i narzędzia. Założył kilka grubych swetrów, grubą nieprzemakalną kurtkę i nieprzemakalne spodnie. Przed włożeniem butów owinął sobie stopy gazetami. Ten zwyczaj pozostał mu z dzieciństwa. Przywykł wtedy do chłodu. W jego rodzinie często brakowało pieniędzy na podstawowe potrzeby, nawet na elektryczność. Bardzo dobrze jeździł motocyklem, być może ze względu na drobną budowę ciała. Na pożegnanie cmoknęliśmy się w policzki. Wyszedł z kaskiem pod pachą, ja zaś, jak zwykle, poszłam do pracy.

Pracowałam od dziewiątej rano do piątej po południu w administracji pobliskiej szkoły średniej. Do domu zwykle wracałam przed nim. Dziś czekałam na niego z niepokojem. Nie podobała mi się jego praca. Chciałabym, żeby ją zmienił. Kiedy wreszcie przyszedł, objął mnie, koszmarnie brudząc przód mojej bluzki. Wyglądał jak górnik; w pokrytej grubą warstwą brudu twarzy błyskały białka oczu. Szybko przygotowałam mu kąpiel i wskoczył do wanny.

Był piątkowy wieczór, zamierzaliśmy wyjść do miasta. Zwykle siedzieliśmy w domu przy jakimś filmie i zamawialiśmy jedzenie z indyjskiej restauracji, ale dzisiaj było inaczej. W piątki lubiliśmy się stroić. Umył głowę i jeszcze raz się ogolił, skorzystał z wody kolońskiej, sprawdził stan paznokci. Założył modne spodnie khaki, wyprasowaną koszulę, sweter, skórzane brązowe buty, długi wełniany płaszcz, a nawet jedwabny krawat. Był soczyście burgundowy, z marynistycznym motywem. Miał tylko ten jeden krawat i bardzo go lubił.

Ubrałam się rozrywkowo. Podobały mu się moje nogi, więc odsłoniłam je, zakładając krótką czerwoną spódniczkę, obcisły top, pończochy i pantofle na wysokim obcasie. Zrobiłam też mocniejszy makijaż niż zazwyczaj. Lubił to. Często prosił: „Więcej szminki”. Podobałam mu się z mocno umalowanymi ustami i ciemnymi cieniami na powiekach. To go podniecało. Wyglądaliśmy całkiem zwyczajnie, nie zwracaliśmy na siebie uwagi. On był szczupły, z rudobrazowymi włosami i błękitnozielonymi oczami. Miał wrażliwą twarz, mały nos i kpiarski uśmiech. Sterczały mu włosy, ponieważ strzygł się sam i zwykle wychodziło mu

coś w rodzaju żywopłotu. Ja też miałam rudobrzęde włosy i oczy tego samego koloru co on. Oboje lekko się garbiliśmy ze względu na długie godziny spędzane przy komputerze i dlatego że w dzieciństwie zbyt dużo czytaliśmy. Kiedy tak wspólnie szykowaliśmy się do wyjścia, czuliśmy się doskonale.

Piątkowe wieczory spędzaliśmy w różnych miejscach, ale jego ulubionym był pub Pod Łabędziem w Bayswater. Często chodził tam na spotkania z kolegami, dziś jednak wybraliśmy się razem. Czasem prowadziłam ja, a czasem on. Dzisiaj była moja kolej, ale nigdy się o to nie kłóciliśmy. Tyle że jeśli to ja siedziałam za kółkiem, bez przerwy pouczał mnie szorstkim tonem: „Patrz w lusterka, trąb częściej, żeby inni wiedzieli, gdzie jesteś, patrz do przodu, nie do tyłu, nie tak blisko, nie tak szybko”. Starał się mnie uczyć, a ja starałam się z tego korzystać. Jeżeli już dochodziło do sprzeczki, to zazwyczaj właśnie w samochodzie, jeśli pomyliłam trasę albo jechałam za wolno, albo przez jakiegoś idiotę, który zajechał nam drogę. Miał skłonność do napadów wściekłości za kółkiem. Zwrócił uwagę, że zbyt rygorystycznie podchodzę do przepisów drogowych.

– Musisz być bardziej asertywna – powtarzał. – Twoja nadmierna ostrożność może stanowić zagrożenie.

Wzruszałam ramionami i jechałam dalej.

Dotarliśmy do pubu i zamówiliśmy przy barze to co zawsze. Zaczęli się schodzić jego znajomi. Aktor Richard i prawnik Graham regularnie spędzali z nami czas. Richarda często odwoziliśmy do domu. Przyszli też inni. Później wspięliśmy się po krętych drewnianych schodach w głębi lokalu do sali na piętrze. Tego wieczoru tłoczyło się tam chyba ze trzydziestu Skandynawów. Zajęliśmy miejsca obok starszej szwedzkiej pary i wymieniliśmy pozdrowienia. Wszyscy mówili po angielsku. Ci jasnowłosi, błękitnooccy ludzie z lodowatej północy przyjęli nas wyjątkowo ciepło. Myśleli tylko o jednym, a mianowicie o śpiewaniu. *Hello, Dolly!*, *Kabaret*, *Oklahoma*, *Downtown*, *New York, New York*, *Hey Jude*, do tego mnóstwo skandynawskich piosenek, a na koniec *Auld Lang Syne*. Wracaliśmy do domu z rumieńcami na policzkach i śmiechem na ustach.

**TAŚMA 8: 26 STYCZNIA 2004, 9.54–10.37, C.D.**

**DETEKTYW BOSOMWORTH:** Wspominasz także o „kotle, w którym bezustannie kipiała zazdrość”.

**JILL ANDERSON:** Tak, zazdrość otacza nas zewsząd, nieprawdaż?

**DETEKTYW BOSOMWORTH:** Owszem, ale czy miałaś na myśli kogoś konkretnego? Na przykład rodzinę Paula?

**JILL ANDERSON:** Możliwe. To też tylko taka gadanina.

**DETEKTYW BOSOMWORTH:** Była między wami zazdrość?

**JILL ANDERSON:** Jestem głęboko przekonana, że większość jego problemów wynikała z zazdrości o stosunki z Islą. Było nas troje.

**DETEKTYW BOSOMWORTH:** Tak, oczywiście, mówiłaś o tym.

**JILL ANDERSON:** Byliśmy sobie tacy bliscy! Pamiętam, jak nieraz jeździliśmy do Szkocji, kiedy jeszcze czuł się w miarę dobrze, i gadaliśmy prawie bez przerwy. To było niesamowite. Myślę, że zazdrość jest wszędzie, a już szczególnie w rodzinach. Była cudowną kobietą, która tak samo kochała wszystkie swoje dzieci, ale jego jednak jakby odrobinę bardziej.

**DETEKTYW BOSOMWORTH:** Wywnioskowałaś to z jej słów i czynów, zgadza się?

**JILL ANDERSON:** Miał niezwykle dzieciństwo. Nie wiem, czy opowiadali panu o jego dzieciństwie.

**DETEKTYW BOSOMWORTH:** Widzieliśmy jego dokumentację medyczną i oczywiście są tam również informacje na temat jego dzieciństwa.

**JILL ANDERSON:** W wieku trzynastu lat zrezygnował ze szkoły i dalej kształcił się samodzielnie. Niesamowite jest to, że matka mu na to pozwoliła. Sama mi to powiedziała. Opowiadał mi, że potem zjawił się w szkole, zdał wszystkie egzaminy, a nauczyciele zapytali go, czy miał udane wakacje. Dostał dobre oceny.

**DETEKTYW BOSOMWORTH:** Był zdolny.

**JILL ANDERSON:** Był samoukiem.

**DETEKTYW BOSOMWORTH:** Nie jestem psychologiem, więc trudno mi wypowiadać się na ten temat, ale chyba zgodzisz się ze mną, że przez ostatnie pół roku życia Paula żyłaś w niesamowitym stresie. Ten stres przejawiał się między innymi tym wszystkim, co pisałaś. Czy to prawda?

**JILL ANDERSON:** Bardzo się o niego martwiłam. Zależało mi tylko na tym, żeby przeżył.

**DETEKTYW BOSOMWORTH:** Czy zauważyłaś jakieś zmiany w swoim charakterze?

**JILL ANDERSON:** Z pewnością określiłabym siebie jako osobę żyjącą

w ciągłym napięciu.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Zostało nam około trzech minut.

**DETEKTYW BOSOMWORTH:** Dobrze, dokończmy ten temat.

**JILL ANDERSON:** Walczyłam o jego życie.

**DETEKTYW BOSOMWORTH:** Zdaję sobie z tego sprawę, ale odnoszę wrażenie, że to było nawet coś więcej. Sama użyłaś tutaj słowa „paranoja”. Trudno by mi było je w tej chwili zdefiniować, ale wspominasz o zmianach w charakterze. Na przykład niewłaściwie interpretujesz działania innych, co, wydaje mi się, nie zdarzało ci się jeszcze rok wcześniej. Czy korzystałaś z pomocy medycznej? Czy zdawałaś sobie sprawę ze zmian w swoim charakterze i starałaś się coś z tym zrobić?

**JILL ANDERSON:** Problem polega na tym, że przez osiem lat dzień w dzień zajmowałam się wyłącznie opieką nad nim, od świtu do nocy, a wtedy człowiek nie jest w stanie wszystkiego dostrzec.

**DETEKTYW BOSOMWORTH:** To prawda. A teraz, patrząc z perspektywy czasu, dostrzegasz zmiany w swoim charakterze?

**JILL ANDERSON:** Będę się nad tym zastanawiać do końca życia.

**DETEKTYW BOSOMWORTH:** Widzisz to?

**JILL ANDERSON:** Wiem, że żyłam pod presją, ale chodziło mi o to, żeby uratować mu życie.

**DETEKTYW BOSOMWORTH:** Przeszłaś załamanie nerwowe?

**JILL ANDERSON:** Nikt tego u mnie nie stwierdził. Po prostu byłam bardzo, bardzo zajęta.

**DETEKTYW BOSOMWORTH:** Martwiłaś się swoim stanem psychicznym?

**JILL ANDERSON:** Po prostu starałam się robić wszystko najlepiej jak umiem.

**DETEKTYW BOSOMWORTH:** W porządku, Jill.

*Lekarz stwierdził jasno i wyraźnie: „On naprawdę cierpiał, choć nie wiadomo z jakiej przyczyny. Nie wymyślił sobie tego bólu. Gdziekolwiek było jego źródło, w ciele czy w umyśle, ból był jak najbardziej autentyczny”.*

*Ilość morfiny w jego organizmie była zabójcza. Dziesięciokrotnie przekraczała dawkę leczniczą, taką, która mogła pomóc.*

*Fakt, że Paul wierzył w to, że jego ból i jego choroba mają naturę fizyczną, z pewnością nie dowodzi jakichkolwiek zaburzeń umysłowych. Miał prawo do swojej opinii.*

Z mowy końcowej obrońcy



**TAŚMA 9: 26 STYCZNIA 2004, 10.58–11.16**

**DETEKTYW RICHARDSON:** Sprzeczałaś się z matką?

**JILL ANDERSON:** Matki, córki... Jak wszyscy ludzie. Ten powie to, tamten coś innego, ktoś coś doda, jak to w rodzinie.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Czy, nazwijmy to w ten sposób, krytyka ze strony twojej matki była dla ciebie łatwiejsza do zniesienia niż krytyka rodziny Paula?

**JILL ANDERSON:** Myślę, że krytykę trudno jest przyjąć, niezależnie od tego, skąd pochodzi, i że nie daję sobie z nią zbyt dobrze rady.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Ale czy sądzisz, że łatwiej byłoby ci ją przyjąć od własnej matki niż, na przykład, od rodziny Paula?

**JILL ANDERSON:** Być może, bo z matką łączą mnie przecież więzy krwi. Trudno jest przyjmować wszystko ze spokojem, prawda?

**DETEKTYW RICHARDSON:** Mój kolega przejrzał mnóstwo notatek, które kiedyś robiłaś. Chyba można powiedzieć, że to była część twojego „systemu zarządzania gniewem”, jeśli można to tak nazwać.

**JILL ANDERSON:** Tak.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Czujesz się lepiej teraz, kiedy to wszystko napisałaś?

**JILL ANDERSON:** Naturalnie. To część terapii, to jest przeznaczone wyłącznie dla mnie.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Dlaczego więc zachowałaś te notatki?

**JILL ANDERSON:** Bóg jeden wie. Powinnam była je zniszczyć, wiem. Powinnam była opróżnić szufladę, ale to była jedna z tych rzeczy, które ma się do zrobienia, a na które ciągle brakuje czasu.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Zachowałaś je więc bez żadnego szczególnego powodu?

**JILL ANDERSON:** Tak jest. Od dawna chciałem posprzątać w tej szufladzie, ale jakoś nigdy się na to nie zdobyłam.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Rozumiem. Dość często używasz słowa „doradzać”. Co przez to rozumiesz? Na przykład, co rozumiesz przez to, że Paul doradzał ci po tym, jak pokłóciłaś się z matką?

**JILL ANDERSON:** Że mówił mi, co mam zrobić.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Czyli „doradzać” znaczy tyle co „mówić komuś, co należy zrobić”?

**JILL ANDERSON:** Tak. Jak już mówiłam, on nigdy nie wtrącał się w moje rodzinne sprawy i był bardzo miły dla mojej matki.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Jego siostra wspomniała podczas rozmowy z nami, że uwielbiasz odwracać kota ogonem i że często nawet sama tak mówiłaś.

**JILL ANDERSON:** Przykro mi, jeśli tak było.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Mhm.

**JILL ANDERSON:** Ale nie wydaje mi się. Staram się mówić tylko o faktach i ich się trzymać.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Może jego siostra ma rację w tym sensie, że lubisz odwracać kota ogonem, żeby ułatwić sobie życie, albo też po to, żeby to, co zostało powiedziane, umieścić w innym kontekście?

**JILL ANDERSON:** Nie wydaje mi się, żeby tak było naprawdę. Zawsze staram się być życzliwa dla ludzi, słuchać ich, pomagać im i być dla nich uprzejma. Dla niej też taka byłam.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Zdaję sobie sprawę, że trudno to policzyć, ale czy byłabyś w stanie oszacować, jak dużo pieniędzy wydałaś w związku z chorobą Paula?

**JILL ANDERSON:** Na leki bez recepty wydawałam jakieś pięćdziesiąt funtów miesięcznie.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Tylko na leki bez recepty?

**JILL ANDERSON:** Tak.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Nie licząc prywatnych wizyt u lekarzy i podobnych wydatków?

**JILL ANDERSON:** Tak.

**DETEKTYW RICHARDSON:** W takim razie, co z receptami?

**JILL ANDERSON:** Przez ostatni rok dostawał recepty bezpłatne, dzięki temu udało nam się wiązać koniec z końcem.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Przeglądając twoje notatki, mój kolega trafił na...

**JILL ANDERSON:** Tak?

**DETEKTYW RICHARDSON:** Trafił na zapisek, że gdyby te notatki zobaczył psychiatra, z pewnością uznałby cię za całkowicie normalną. Czy sugerowaliśmy, że nie jesteś normalna?

**JILL ANDERSON:** To moja osobista uwaga. Każdy ma do nich prawo.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Oczywiście, ale zastanawiam się nad wyborem słowa „normalna”. Czy kiedykolwiek leczyłaś się psychiatrycznie?

**JILL ANDERSON:** Nie. Byłam na jednej wizycie u psychiatry w Pateley Bridge, ale to była raczej towarzyska rozmowa.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Rozumiem. Z pewnością jest to w twojej dokumentacji medycznej?

**JILL ANDERSON:** Tak. Poszłam do doktor Marion Anderson, która bardzo mi pomogła.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Powiedziałaś, że rodzina Paula obraziła się na was.

**JILL ANDERSON:** Tak.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Czy ty i Paul też się na nich obraziliście?

**JILL ANDERSON:** Można tak powiedzieć, ponieważ nastąpiło całkowite zerwanie stosunków.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Przekonywałaś nas, że starałaś się doprowadzić do kompromisu. W jaki sposób?

**JILL ANDERSON:** Tak jak mówiłam, zaraz po śmierci Isli często rozmawiałam z jego ojcem.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Rozumiem. Czy kiedykolwiek powiedziałaś komuś z rodziny Paula, że już nigdy nie zobaczą Paula?

**JILL ANDERSON:** Nie.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Kiedy nastąpiło bankructwo?

**PRAWNIK:** Czy może pan trochę zwolnić?

**DETEKTYW RICHARDSON:** Przepraszam.

**PRAWNIK:** Wiem, że chodzi o to, żeby...

**DETEKTYW RICHARDSON:** Taaaak...

**PRAWNIK:** ...żeby zasypać panią Anderson pytaniami, ale to jest dla niej bardzo trudne, bo znajduje się w wyjątkowo stresogennej sytuacji. Rozumiem, że stara się pan jak najszybciej posuwać naprzód, byłbym jednak zobowiązany, gdyby zechciał pan nieco zwolnić tempo.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Kiedy ogłoszono bankructwo?

**JILL ANDERSON:** W tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym dziewiątym.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Skąd wiesz, że Paul w wieku trzynastu lat rzucił szkołę?

**JILL ANDERSON:** Sam mi powiedział.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Paul i Isla byli ze sobą bardzo zżyci, prawda?

**JILL ANDERSON:** Wyjątkowo.

**DETEKTYW RICHARDSON:** I powiedziałaś chyba coś takiego, że nawet jeśli nie był jej ukochanym dzieckiem, to miała do niego słabość, choć jednakowo kochała wszystkie swoje dzieci?

**JILL ANDERSON:** Wszystkie kochała jednakowo.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Ale miała do niego słabość?

**JILL ANDERSON:** Z pewnością.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Czy wydaje ci się, że po śmierci Isli zajęłaś jej miejsce w życiu Paula?

**JILL ANDERSON:** To interesujące pytanie. Przeczytałam w jakimś artykule, że większość ludzi, szukając sobie męża albo żony, stara się wybrać

kogoś podobnego do matki albo ojca. Nie wiem, czy zetknął się pan z tą teorią. Myślę, że byłam do niej podobna. Mam podobną osobowość, ale nie sądzę, żebym mu ją zastąpiła. Nigdy nie traktowałam go jak dziecka. To był układ mężczyzna – kobieta. Byliśmy małżeństwem.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Rozumiem.

MARZEC 1998

– Co to było? Spadająca gwiazda?

– Może kometa – odparł.

Coś błysnęło na niebie. Było tuż przed północą, staliśmy w ogrodzie przy Rose Cottage. Tu, z dala od świateł wielkich miast, nocne niebo było krystalicznie czyste. Głęboko wciągnęłam przejrzyste, świeże nocne powietrze. Słuchałam jego słów. Właśnie czytał niedawno kupioną książkę o kosmosie. Wskazał na migoczącą konstelację nad naszymi głowami.

– To Wielki Wóz.

– Aha.

– A tam jest Gwiazda Polarna, ta jaśniejsza.

Przeniosłam wzrok bardziej na północ. Miał rację: świeciła jaśniej od innych gwiazd.

– A to Mała Niedźwiedzica.

– Uroczą.

– I Droga Mleczna.

Wskazał ręką szeroką rzekę gwiazd. Niebo migotało milionem światełek.

Poszliśmy dalej w głąb ogrodu i oświetliliśmy latarkami oczko wodne, które urządził. Uciekając przed światłem, do wody wskoczyło kilka żab i ropuch. Naliczyliśmy około siedmioro stałych mieszkańców rozmaitych rozmiarów. Wszystkie, niezależnie od wielkości, miały takie samo imię: Nurek. Był więc Nurek Pierwszy, Nurek Drugi, Nurek Trzeci, i tak dalej. Zaglądaliśmy do nich niemal co noc. Były czymś w rodzaju rodziny. Moja latarka zaczęła przygasać. Potrząsnęłam nią.

– Bateria mi się wyczerpała. Co za dziadostwo. – Latarka całkiem zgasła, przysunęłam się więc do Paula. – Myślisz, że sąsiedzi uważają nas za świrów?

– Dlaczego mieliby zwracać uwagę na to, co robimy?

– Bo są sąsiadami.

– No i co z tego. – Wzruszył ramionami. – Są tak samo szurnięci jak my.

Szliśmy dalej przez ogród. Wzrok przyzwyczaił mi się do ciemności. Znałam wszystkie ścieżki, wiedziałam, gdzie są grządki i rabaty. Dotarliśmy do rabatki z żonkilami. Już przekwitwały. Zerwałam trochę brązowych płatków i rzuciłam na kompost. Tulipany właśnie wystrzeliły w górę, powietrze z dnia na dzień robiło się coraz słodsze.

Wyszliśmy z ogrodu i mijaliśmy domy sąsiadów. W oknach było ciemno, żadnego ruchu. Wróciliśmy ścieżką do naszych drzwi, zdjęliśmy gumowce.

– Zrobię gorącą czekoladę – oświadczyłam.

Paul bez słowa poszedł na górę, do sypialni. Weszłam do salonu. Ogień w kominku dogasał, coś poruszyło się na dywanie. Podeszłam bliżej. Przed paleniskiem siedziała duża ropucha. Wyglądało to tak, jakby chciała się ogrzać. Przez jakiś czas przyglądałyśmy się sobie. Wcześniej kilka razy widziałam ją tuż przed wejściem do domu. Jakoś udało jej się przedostać do środka, pewnie wtedy, kiedy zakładaliśmy gumowce i byliśmy zajęci szukaniem latarek. Podeszłam do schodów.

– Paul, mamy gościa.

– Co takiego?

Zszedł na dół.

– Spójrz.

Ropucha siedziała bez ruchu, nie zwracając na nas najmniejszej uwagi.

– No chodź, chodź...

Wziął płaza w ręce, wyniósł przed drzwi i postawił na ziemi. Ropucha odmaszerowała, nie wydając żadnego dźwięku.

**Taśma 9: 26 stycznia 2004, 10.58–11.16, c.d.**

**JILL ANDERSON:** Nigdy nie zachowywałam się jak jego matka. Był dorosłym mężczyzną i sam podejmował decyzje. On decydował o większości spraw w naszym małżeństwie. Rozmawialiśmy o wszystkim, ale to on dowodził.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Powiedziałaś, że chodziło ci przede wszystkim o to, żeby uratować mu życie. Czy na tym polegała twoja opieka nad nim?

**JILL ANDERSON:** Tak. Kochałam go. Chciałam, żeby żył, żeby wyzdrowiał.

**DETEKTYW RICHARDSON:** A więc ludzie umierają z powodu zespołu ustawicznego zmęczenia?

**JILL ANDERSON:** Modliłam się i marzyłam, żeby Paul pozbył się tej choroby.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Rozumiem, nie mam więcej pytań.

**JILL ANDERSON:** Powiem tylko tyle: jego przypadek był bardzo ciężki, ponieważ, jak pan wie, od dzieciństwa miał osłabiony system odpornościowy. Kiedy złapał tego wirusa, to był już koniec.

**DETEKTYW BOSOMWORTH:** Jill, wiesz o tej chorobie bardzo dużo. Spędziłaś mnóstwo czasu, szukając informacji w Internecie.

**JILL ANDERSON:** Owszem.

**DETEKTYW BOSOMWORTH:** Zapewne pod przewodnictwem Paula, zgadza się?

**JILL ANDERSON:** Tak. Robiłam to w jego imieniu.

**DETEKTYW BOSOMWORTH:** I dowiedziałaś się mnóstwa rzeczy, być może wiedziałaś nawet więcej niż lekarze, którzy się w tym nie specjalizowali.

**JILL ANDERSON:** Owszem.

**DETEKTYW BOSOMWORTH:** Wspomniałaś wcześniej, że ludzie raczej nie umierają na tę chorobę.

**JILL ANDERSON:** Tak.

**DETEKTYW BOSOMWORTH:** Ale ich życie, sądząc po przykładzie Paula, staje się nie do zniesienia.

**JILL ANDERSON:** Zmienia się radykalnie. Przypadek Paula był szczególnie ciężki ze względu na jego osłabiony system odpornościowy, no i te problemy z kośćmi.

**DETEKTYW BOSOMWORTH:** Rozumiem.

**JILL ANDERSON:** Wielu ludziom jest ciężko, ale nie aż tak.

**DETEKTYW BOSOMWORTH:** Nie wiem, czy do tej pory

powiedzieliśmy to wprost, ale wszystko wskazuje na to, że Paul popełnił samobójstwo.

**JILL ANDERSON:** Zgadza się.

**DETEKTYW BOSOMWORTH:** Zrobił to ze względu na ból?

**JILL ANDERSON:** Tak.

**PRAWNIK:** Wie pani o tym na pewno, pani Anderson?

**JILL ANDERSON:** Nie, nie wiem. Napisał w liście pożegnalnym, że potwornie cierpi.

**DETEKTYW BOSOMWORTH:** Ile osób wie o tym, że smutna śmierć Paula nastąpiła w wyniku samobójstwa?

**JILL ANDERSON:** Ile osób?

**DETEKTYW BOSOMWORTH:** Właśnie patrzę na wspomnienie pośmiertne, które napisałaś. Wspominasz tu, że Paul zasnął spokojnie w twoich ramionach. Czy ci, do których to wysłałaś, wiedzą, że Paul nie umarł, tylko popełnił samobójstwo?

**JILL ANDERSON:** Tak.

**DETEKTYW BOSOMWORTH:** Czy kiedykolwiek sugerowałaś komuś, że Paul umarł z powodu swojej choroby?

**JILL ANDERSON:** Nie.

**DETEKTYW BOSOMWORTH:** W porządku. Twoja kolej, Richardson.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Chwilowo nie mam więcej pytań. Zatrzymamy teraz taśmę, skonsultujemy się i, być może, rozpoczniemy ostatnie przesłuchanie.

**JILL ANDERSON:** Dobrze.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Tak w każdym razie zamierzamy. Jak skończymy, urządzimy sobie dłuższą przerwę. Czy chciałabyś może coś dodać albo uzupełnić coś, co powiedziałaś?

**JILL ANDERSON:** Nie.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Czyli wszystko w porządku, tak?



*Nie uznacie jej za niewinną dlatego, że nigdy nie miała problemów z prawem, że już dość się wycierpiała, że ta sprawa ciągnie się już od dwudziestu dwóch miesięcy, że jest oczywiste, iż od pewnego momentu nosił się z myślą popełnienia samobójstwa, że nie pozwolono jej pogrążyć się w żałobie ani że Paul Anderson z pewnością by nie chciał, żeby zasiadła na ławie oskarżonych. Waszym zadaniem jest wziąć pod uwagę standardy, jakimi kieruje się społeczeństwo, które reprezentujecie, i orzec, czy uchybienie, jakiego się dopuściła, jest tak poważne, by uznać ją winną zabójstwa. Naszym zdaniem jest kobietą, która wykazała się oddaniem i odwagą, która, być może, miała niezwykle poglądy, ale wiele wycierpiała, a przede wszystkim nie jest przestępcą. Musicie wydać wyrok wyłącznie na podstawie przedstawionych dowodów. Wnoszę o werdykt, który wreszcie zakończy koszmar, w jakim żyje zdecydowanie zbyt długo.*

Z mowy końcowej obrońcy

**Taśma 10: 26 stycznia 2004, 12.28–12.49**

**DETEKTYW RICHARDSON:** No, dobrze. Wśród dokumentów zabezpieczonych w twoim domu mamy też twoje CV. Czy możesz potwierdzić, że to twoje CV i że sama je przygotowałaś?

**JILL ANDERSON:** Tak jest.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Kiedy je sporządziłaś, Jill? Pytam z ciekawości.

**JILL ANDERSON:** Jakiś czas temu szukałam pracy w okolicy, bo mieliśmy problemy finansowe i potrzebowaliśmy pieniędzy.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Wspomnieliśmy ci wczoraj, że od jego rodziny uzyskaliśmy informację, jakobyś wcześniej była już zamężna, w Ameryce. Z tego CV wynika, że rzeczywiście przebywałaś w Ameryce, zgadza się?

**JILL ANDERSON:** Tak.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Od roku tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego do osiemdziesiątego drugiego mieszkałaś w rejonie Zatoki San Francisco.

**JILL ANDERSON:** Tak.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Gdzie konkretnie?

**JILL ANDERSON:** Na Sacramento Street.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Czy mieszkałaś sama?

**JILL ANDERSON:** Z mężczyzną. Jest teraz w Australii.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Wyszłaś za niego za mąż?

**JILL ANDERSON:** Nie. Paul był moim pierwszym i jedynym mężem. Czekałam na niego trzydzieści siedem lat. Był jedyny. Nie macie czego szukać w Ameryce. Nie wzięłam tam ślubu.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Doceniam informację, że nie mamy tam czego szukać.

**JILL ANDERSON:** Tak jest.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Niestety, obawiam się, że musimy. I to dokładnie.

**JILL ANDERSON:** Jak pan uważa.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Od tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego drugiego do osiemdziesiątego czwartego pracowałaś w kwaciarni.

**JILL ANDERSON:** Tak.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Na Brooklynie, w Nowym Jorku.

**JILL ANDERSON:** Tak.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Gdzie wtedy mieszkałaś?

**JILL ANDERSON:** W kilku miejscach. Przez jakiś czas przy Siódmej Alei, a potem przeprowadziłam się na Union Street. To było na Brooklynie.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Mieszkałaś sama?

**JILL ANDERSON:** Nie, ze znajomymi.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Jak się nazywają?

**JILL ANDERSON:** Mogę podać wam nazwiska moich znajomych, z którymi wtedy mieszkałam. Mogę wam podać ich nazwiska i adresy, żebyście mogli sprawdzić, że byłam wtedy sama.

**DETEKTYW RICHARDSON:** To dobry pomysł. Naprawdę możesz to zrobić?

**JILL ANDERSON:** Przecież macie mój notes z adresami.

**DETEKTYW RICHARDSON:** W takim razie, czy możesz podać tylko ich nazwiska?

**JILL ANDERSON:** Na przykład Migdalia. Ona akurat się przeprowadziła. Teraz mieszka w New Jersey. Nie mam pojęcia, skąd zdobyłam jej numer. Wyślę wam go mailem.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Wystarczy, że podasz go swojemu prawnikowi, a on przekaże go nam.

**JILL ANDERSON:** Mogę wam podać nazwiska wszystkich moich przyjaciół z tamtego okresu. O nikim nie zapomniałam. Jest Carla z San Francisco, są inni. Mam wam podać wszystkie nazwiska, tak?

**DETEKTYW RICHARDSON:** Tak.

**PRAWNIK:** Najlepiej będzie, jeśli podasz je mnie.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Skorzystamy z pośrednictwa twojego prawnika, bo nie powinienem się z tobą kontaktować, kiedy stąd wyjdiesz za kaucją.

**JILL ANDERSON:** Rozumiem.

**DETEKTYW RICHARDSON:** To by było wysoce niestosowne.

**PRAWNIK:** Prześlij mi je, Jill, a ja przekażę je detektywowi Richardsonowi.

**JILL ANDERSON:** Moi przyjaciele powiedzą wam to samo, że nie wyszłam za mąż w Ameryce.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Byłaś też menedżerem do spraw kontaktów z klientami?

**JILL ANDERSON:** Mhm.

**DETEKTYW RICHARDSON:** W katalogu wysyłkowym dla kobiet „Royal”?

**JILL ANDERSON:** Zgadza się.

**DETEKTYW RICHARDSON:** To było między osiemdziesiątym czwartym a osiemdziesiątym szóstym. Mieszkałaś wciąż w tej samej okolicy?

**JILL ANDERSON:** Tak, na Brooklynie. Mam wam podać nazwiska przyjaciół?

**DETEKTYW RICHARDSON:** Jeżeli pamiętasz. Możesz to zrobić później, przez prawnika.

**PRAWNIK:** Wszystkie, jakie sobie przypomni. Przekażę panu.

**DETEKTYW RICHARDSON:** W porządku, ale najpierw chciałbym skończyć z tą sprawą. Od osiemdziesiątego szóstego do osiemdziesiątego ósmego pracowałaś jako przedstawiciel handlowy w firmie komputerowej z Nowego Jorku?

**JILL ANDERSON:** Tak.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Zauważyłem lukę między tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym ósmym a dziewięćdziesiątym.

**JILL ANDERSON:** Wróciłam do Anglii ze względu na stan zdrowia ojca i pracowałam dorywczo. Potem, we wrześniu tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego dziewiątego, dostałam pracę w London Weekend Television. Też tymczasową.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Latem tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego byłaś już w Leeds. Mieszkałaś tam przez dwa lata?

**JILL ANDERSON:** Od osiemdziesiątego dziewiątego do dziewięćdziesiątego drugiego pracowałam w telewizji.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Zgadza się.

**JILL ANDERSON:** To wszystko były umowy czasowe.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Zgadza się.

**JILL ANDERSON:** Później, latem tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego dziewiątego, pracowałam też dla telewizji w Yorkshire, a później wróciłam do Londynu. To wszystko jest w CV.

**DETEKTYW RICHARDSON:** W porządku. Masz jakieś pytania w tej sprawie, Bosomworth?

**DETEKTYW BOSOMWORTH:** Chciałem tylko zapytać, kiedy dokładnie wróciłaś do Wielkiej Brytanii?

**JILL ANDERSON:** W tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym ósmym.

**DETEKTYW BOSOMWORTH:** Pamiętasz, jaki to był miesiąc, albo przynajmniej porę roku?

**JILL ANDERSON:** Lipiec, może sierpień.

**DETEKTYW BOSOMWORTH:** Wróciłaś na stałe?

**JILL ANDERSON:** Tak.

**DETEKTYW BOSOMWORTH:** Rankiem osiemnastego lipca ubiegłego roku w twoim domu zjawiała się policja.

**JILL ANDERSON:** Tak.

**DETEKTYW BOSOMWORTH:** W związku ze śmiercią twojego męża, Paula.

**JILL ANDERSON:** Tak.

**DETEKTYW BOSOMWORTH:** Jako pierwsza rozmawiała z tobą oficer Boulton.

**JILL ANDERSON:** Zgadza się.

**DETEKTYW BOSOMWORTH:** Oficer Boulton sporządziła coś, co nazywamy raportem dla koronera. Formularz sześćdziesiąt osiem. Polega to w gruncie rzeczy na tym, że spisuje wszystko, co jej powiedziano, oraz opisuje miejsce i okoliczności zdarzenia. Według tego raportu początkowo oświadczyłaś, że znalazłaś ciało o dziesiątej rano, ale później zmieniłaś to na piątą rano. Wiem, że pytałem już o to wcześniej, ale chciałbym ostatecznie ustalić, skąd wzięła się ta zmiana?

**JILL ANDERSON:** Nie mogę... To znaczy, nie mam pojęcia, bo, jeśli dobrze pamiętam, powiedziałaś, że Paul zszedł między piątą a szóstą rano i umarł około wpół do dziesiątej, więc naprawdę nie wiem, skąd wzięła się ta rozbieżność.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Oficer Boulton napisała również w raporcie, że poprzedniego dnia wróciłaś do domu około szóstej wieczorem. Nie chodzi nam o pół godziny w tę czy w tamtą, ale o to, że powiedziałaś jej, że znalazłaś wtedy kartkę z tekstem: „Wybacz, Kocham cię, ale nie zniosę już tego bólu. Twój misiaczek Paul”, i że był jeszcze w stanie rozmawiać. Czy tak właśnie było?

**JILL ANDERSON:** Tak.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Kartka leżała na nim?

**JILL ANDERSON:** Nie pamiętam dokładnie, gdzie leżała. Ja... Kiedy tamtego dnia wszyscy weszliście do naszego domu, byłam w głębokiej rozpacz. Nie jestem w stanie przypomnieć sobie wszystkiego, co się wtedy działo. To było... Kiedy go znalazłam, wpadłam w odrętwienie.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Nie zaprzeczasz jednak, że powiedziałaś to wszystko oficer Boulton?

**JILL ANDERSON:** Nie pamiętam, co jej mówiłam. Byłam w szoku. To było najbardziej wstrząsające wydarzenie w moim życiu.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Ona twierdzi, że powiedziałaś jej, że wróciłaś do domu około szóstej wieczorem i znalazłaś tę kartkę na Paulu.

**JILL ANDERSON:** Owszem, znalazłam kartkę, ale nie pamiętam dokładnie, w którym miejscu. Może na łóżku, może obok niego... Nie jestem pewna.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Ale na pewno zobaczyłaś ją zaraz po powrocie do domu?

**JILL ANDERSON:** Tak.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Nie później, kiedy sam ci powiedział, że tym razem wziął chyba dosyć?

**JILL ANDERSON:** Nie.

**DETEKTYW BOSOMWORTH:** I była szósta wieczorem albo coś koło tego?

**JILL ANDERSON:** Nie wiem, która to była godzina. Wyszłam z domu, ale poprosiłam go, żeby nic nie robił.

**DETEKTYW BOSOMWORTH:** Staram się tylko ustalić, że z całą pewnością znalazłaś kartkę na łóżku lub gdzieś w pobliżu.

**JILL ANDERSON:** Tak było.

**DETEKTYW BOSOMWORTH:** Zaraz po tym, jak około szóstej wieczorem wróciłaś do domu ze sklepu?

**JILL ANDERSON:** Nie pamiętam dokładnie.

**PRAWNIK:** Przecież mówi, że nie pamięta dokładnego czasu.

**JILL ANDERSON:** Tak, nie pamiętam.

**DETEKTYW BOSOMWORTH:** W takim razie, może być niedokładny.

**JILL ANDERSON:** Nie wiem, czy zobaczyłam ją od razu, czy później. To tylko kolejność wydarzeń.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Nie chodzi nam o czas, bo jak już powiedziałem, nie ma dla nas znaczenia, czy coś się wydarzyło pół godziny wcześniej, czy później. Chodzi o to, że oficer Boulton twierdzi, że zobaczyłaś kartkę natychmiast po powrocie ze sklepu. Czy to prawda?

**JILL ANDERSON:** Nie wiem.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Podczas przesłuchania, zdaje się, że trzydziestego pierwszego lipca, powiedziałaś, że Paul zszedł między piątą a szóstą rano i że wtedy pomyślałaś: „Mój Boże, tym razem zrobił to na dobre”. Mimo to nie zadzwoniłaś po pogotowie. Dlaczego?

**JILL ANDERSON:** Ponieważ wiedziałam, że już jest za późno. Jeśli siniejesz, to znaczy, że krew rozniosła truciznę po całym ciele.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Ale on jeszcze oddychał.

**JILL ANDERSON:** Tak.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Wspomniałaś także, że w nocy kilka razy zadrżał i przekręcił głowę z boku na bok. Czy poza tym, że poprosił o słuchawkę, mówił coś jeszcze?

**JILL ANDERSON:** Nie.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Czy myślisz, że obudziłby się, gdyby chciał?

**PRAWNIK:** Ona nie jest w stanie odpowiedzieć na to pytanie.

**JILL ANDERSON:** Nie wiem. Nie mam pojęcia.

**PRAWNIK:** Ona nie może na to odpowiedzieć.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Przecież wie, jak zwykle sypiał, czy płytko, czy bardzo głęboko.

**PRAWNIK:** Owszem, ale powtarzam, że ona nie może odpowiedzieć na to pytanie. Jest niewłaściwe i tendencyjne.

**DETEKTYW RICHARDSON:** W jakim sensie?

**PRAWNIK:** W tym, że każda odpowiedź będzie czystą spekulacją.

**DETEKTYW BOSOMWORTH:** Jak to wyglądało u niego zazwyczaj?

**JILL ANDERSON:** Czasem sypiał głęboko, czasem nie. Wtedy brał leki na sen.

MAJ 1993

Na horyzoncie widzieliśmy sarny, ale nie mogliśmy rozpoznać odmiany. Brązowe i czarne kropki oddalały się od nas.

– Leśne albo polne – powiedział.

– Bardzo ładne – odparła moja matka z tylnej kanapy samochodu.

Wieźliśmy ją na Isabella Plantation w Richmond Park w Londynie, żeby obejrzyć azalie. Wiedzieliśmy, że w maju są przepiękne. Zaparkowaliśmy samochód i poszliśmy do ogrodu, gdzie powitała nas feeria czerwonych, różowych, białych i pomarańczowych kwiatów. Moja matka po śmierci męża wciąż cierpiała.

– Może pójdziemy na zakupy? – zaproponowała.

Paul i ja spojrzeliśmy na siebie. Trzymaliśmy się za ręce. Odwróciła wzrok.

– Może poszlibyśmy do Petera Jonesa, do sklepu Johna Lewisa?

Nie wiedziałam, co powiedzieć. Paul nie przepadał za zakupami. Byłam rozdarta między nimi.

– Spójrz, jaki piękny kwiat! Zachwycające – powiedziałam, obejmując dłonią ogromną różową azalię.

Moja matka przystanęła i zakołysała się na piętach.

– Rzeczywiście. Są zupełnie takie same jak te w domu, które twój ojciec posadził w ogrodzie.

Poczułam się głupio, że niechcący przywieźliśmy ją w miejsce, które przypominało jej o moim ojcu. Być może z tego wynikało jej podenerwowanie i brak zainteresowania. Paul zadzwonił kluczykami. Byliśmy w połowie ogromnego ogrodu pełnego azalii, do którego wybieraliśmy się od tygodnia. Wróciliśmy do samochodu i ruszyliśmy w drogę do Fulham, przez most, Parson's Greek i na moją ulubioną ulicę.

– Jesteśmy – powiedziałam.

Moja matka spojrzała przez szybę.

– Tak, pamiętam jak zabrałaś brata na *The Rocky Horror Show* na King's Road, jak tylko się pojawił. Tim Curry.

– A ja zapomniałam o tym już dawno temu. Bardzo się zmienił od tamtej pory.

– Tim?

– Nie, mój brat.

Paul się uśmiechnął, prowadząc.

– Jak wszyscy wiedzą, nigdy nie doszedł do siebie po tym, jak razem z siostrą zrobiłyśmy mu makijaż, kiedy miał dwa lata.

– Nie powinnam była wychodzić z domu – stwierdziła sucho moja matka.



Mijaliśmy luksusowe butiki i galerie. King's Road była równie zadbane i niezwykła jak zawsze. Udało nam się zaparkować na samym końcu ulicy, przy samym Sloane Square.

– Podrożało – zauważyłam, karmiąc parkomat drobniakami.

Paul przestąpił z nogi na nogę i postawił kołnierz.

– Masz ładną fryzurę – powiedział do mojej matki.

Zajrzała do torebki, spojrzała na niego, po czym weszła do domu towarowego. Podążyliśmy za nią. Wkroczyła do siedmiopiętrowego raju handlu detalicznego. Przeszlony budynek z lat trzydziestych sprawiał wrażenie, jakby stał tu od stuleci. Widziałam, jak matka wyraźnie się odprężyła, zdecydowanym krokiem kierując się do działu z wyposażeniem wewnątrz. Była u siebie. Paul i ja wlekliśmy się z tyłu.

Głaskała materiały zasłonowe, dotykała poduszek, sprawdzając, czy są miękkie. Kupiła kilka bawełnianych serwetek. Paul odłączył się od nas i włóczył się po dziale z zegarkami. Zafascynował go zegar z kukułką. Ja cały czas szłam za matką. Jakaś kobieta otarła się o mnie.

– Jill!

Odwróciłam się do niej.

– Cześć, ile to już czasu?

– Miło cię widzieć, Samanto. To moja matka, a to mój chłopak... To znaczy, jest gdzie tutaj...

Moja matka przywitała się z nią, a ja rozejrzałam się po sklepie w poszukiwaniu Paula. Dostrzegłam go w najodleglejszym kącie działu z oświetleniem. Stał odwrócony do nas tyłem. Kiedy rozmawiałam z Samantą, matka bawiła się torebką. Samanta szybko się pożegnała, spieszyła się.

Zjawił się Paul. Niósł coś w sklepowej torbie. Sięgnęłam po nią, ale podniósł rękę. Stałam na palcach, ale torba natychmiast powędrowała wyżej. Pocałowaliśmy się. Moja matka zajęła się oglądaniem albumu z próbkami tapet.

– Daj!

– Nie. – Ponownie cofnął rękę z torbą. – Później.

Tej nocy, kiedy moja matka spała w naszym łóżku, a my położyliśmy się na nadmuchiwanym materacu w holu, rozpakowałam prezent. Czarne skórzane rękawiczki, o jakich zawsze marzyłam. Miękkie jak aksamit. Najbardziej miękka skóra, jaką kiedykolwiek miałam w rękach.

**TAŚMA 10: 26 STYCZNIA 2004, 12.28–12.49, C.D.**

**DETEKTYW RICHARDSON:** Kiedy byłem w twoim domu wieczorem osiemnastego...

**JILL ANDERSON:** Tak.

**DETEKTYW RICHARDSON:** ...spisałem twoje zeznanie dotyczące okoliczności śmierci Paula.

**JILL ANDERSON:** Tak.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Mam je teraz przed sobą. Przede wszystkim chciałbym cię zapytać, czy to twój podpis?

**JILL ANDERSON:** Tak.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Na wszystkich stronach?

**JILL ANDERSON:** Tak.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Czy to ty napisałaś oświadczenie u góry pierwszej strony?

**JILL ANDERSON:** Tak.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Mogłabyś je teraz przeczytać?

**JILL ANDERSON:** Niniejsze zeznanie, składające się z czterech stron podpisanych przeze mnie, złożyłam zgodnie z moją najlepszą wiedzą i przekonaniem. Przyjmuję do wiadomości, że w razie wszczęcia postępowania karnego mogę ponieść konsekwencje prawne, gdyby się okazało, że świadomie zawarłam w nim nieprawdę lub nie wyjawiałam całej prawdy.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Dziękuję. Czy pamiętasz, że składałaś to oświadczenie.

**JILL ANDERSON:** Owszem, pamiętam. Pamiętam też okoliczności. Przyjechał pan wieczorem, przedstawił się jako Pan Nieprzyjemny, zabrał mnie do ogrodu i przesłuchiwał, choć byłam w szoku i rozpaczy. Potem kazał mi pan wszystko podpisać i zapytał, czy chcę przeczytać swoje zeznanie, ale ja, głupia, nie przeczytałam, tylko od razu podpisałam.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Dobrze, czy w takim razie...

**JILL ANDERSON:** Czyli w gruncie rzeczy nie mam pojęcia, co było na tych czterech stronach, które podpisałam.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Chciałbym od razu wyjaśnić dwie sprawy. Po pierwsze, nie wydaje mi się, żebym przedstawił się jako Pan Nieprzyjemny. Powiedziałem tylko, że będę musiał zadać kilka nieprzyjemnych pytań i że to będzie najgorsza część naszej rozmowy. Zgadzasz się z tym czy nie?

**JILL ANDERSON:** Nie wiem. Ja usłyszałam tylko Nieprzyjemny.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Po drugie, mogłaś przeczytać swoje

zeznanie. Sam ci to zaproponowałem. Kiwnęłaś głową, więc zgadzasz się z tym, prawda?

**JILL ANDERSON:** Tak.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Czy możesz to powtórzyć?

**JILL ANDERSON:** Tak, zaproponował mi pan to, ale ja nie skorzystałam, więc nie wiem, co było w tym zeznaniu. Byłam wtedy w głębokim szoku z powodu tego, co mnie spotkało.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Teraz przeczytam ci fragment tego zeznania. Później będziesz też mogła przeczytać je sama. Nie chcę odczytywać całego zapisu, ponieważ znaczna jego część dotyczy tła choroby Paula.

**JILL ANDERSON:** Tak.

**DETEKTYW RICHARDSON:** A ten temat, wydaje mi się, omówiliśmy bardzo dokładnie.

## SIERPIEŃ 1998

Gorący letni dzień, drzewa skołtunione i wyschnięte. Głęboka zieleń poprzeplatana smugami szarości, niektóre gałęzie już zaczęły tracić liście. Trawa, w której roilo się od świerszczy, chrzęściła pod stopami, kiedy szliśmy brzegiem rzeki. Woda w rzece była płytka, byle jaka, rudobrazowa od związków żelaza. Opowiadał mi o łodzi, którą zamierzał zbudować. Na razie mieliśmy dmuchany ponton z dwoma żółtymi, plastikowymi wiosłami. Tu miała być nasza Riwiera, na brzegach rzeki Ure w pobliżu Leyburn, niedaleko od miejsca, w którym mieszkaliśmy. Pasy plecaka wrzynały mi się w ramiona, upchany w nim ponton wydawał się coraz cięższy. On szedł przede mną, niosąc bez widocznego wysiłku wiosła. Chciałam go poprosić, żeby mi pomógł, ale zacisnęłam zęby. Zatrzymałam się, postawiłam plecak na ziemi i wyprostowałam plecy. Szedł dalej, szukając miejsca na obóz i piknik. Wzdłuż brzegu gęsto rosły drzewa. Nieliczne wolne miejsca były już zajęte. Typowa angielska niedziela. W pewnej chwili wypatrzyłam pusty skrawek, zawołałam go. Spojrzał najpierw na urwistą skarpe, potem na mnie.

– Za mało miejsca, a poza tym za stromo. Nie będzie jak spuścić pontonu na wodę.

Miał rację.

– Mam już dosyć taszczenia tego wszystkiego – powiedziałam.

Przyglądał mi się. Niebo było niemal białe. Mimo że nie było upału, twarz miał mokrą od potu. Ja, choć niosłam niemal cały ekwipunek, prawie się nie spociłam.

– Pomógłbym ci, gdybym mógł – powiedział wreszcie. – No chodź, juczny koniku, poszukamy dobrego miejsca. Będzie warto.

Zrezygnowana, podążyłam za nim. Po co wlec się kolejną milę? Przystanął, żeby przyjrzeć się krzakowi z różowymi kwiatkami w kształcie dzwoneczków. Zerwał jeden.

– *Impatiens glandulifera*.

Przewróciłam oczami. Mineliśmy szpaler drzew schodzący do samej wody. Za nim było nieco luźniej, drzewa rosły znacznie rzadziej, ale skarpa nadal miała od półtora do trzech metrów wysokości. Gdzie się podziały łagodne, płaskie brzegi? Bolały mnie nogi. Z każdą chwilą robiłam się coraz bardziej zirytowana. Wtedy oboje równocześnie dostrzegliśmy to miejsce: porośnięty rzadką trawą brzeg łagodnie schodził do samej rzeki.

Przyglądał się, jak nadmuchuję ponton. Powstrzymałam się przed komentarzem. Co chwila powtarzałam sobie, że musi się oszczędzać. Nie

pływaliśmy długo. Dłużej trwało chyba samo pompowanie.

Wiosłował, a ja zanurzyłam dłoń w wodzie. Starał się utrzymać nas z dala od gęstego sitowia rosnącego przy obu brzegach. W pewnej chwili wypuścił wiosła z dłoni. Jego ramiona zwisały bezwładnie, po twarzy ściekał pot. Przejęłam wiosła. Jakoś udało nam się wrócić do obozu. Wygramolił się z pontonu i od razu położył się na kocu.

– Beznadziejnie wiosłujesz – powiedział.

Koc był w tradycyjną szkocką kratę. Wyciągnęłam ponton z wody i wyjęłam zatyczkę. Powietrze szybko uszło. Przyglądał się temu, co robię. Nad jego głową kłębiła się chmara komarów. Sitowie szeleściło cicho. Nalał mi do kubka herbatę z termosu, a ja rozpakowałam kanapki z szynką i pomidorem. Opowiadał o rybach, śpiących na dnie albo myszkujących w poszukiwaniu pokarmu. Powinny tu być szczupaki. Powiedziałam mu o artykule, który niedawno przeczytałam. Piętnastokilogramowy szczupak mało nie odgryzł ręki chłopcu. Wędkarze od dawna na niego polowali. Nazywali go „Wielkim Rudzielcem”. Na podstawie śladu zębów na ręce chłopca wszyscy uznali, że to właśnie jego sprawka. Niedzielne popołudnie miało powoli.

Jakiś czas potem nadeszła pora, by wracać do samochodu. Zebraliśmy sprzęt. Oboje byliśmy zmęczeni. Minęliśmy mniej więcej dziesięcioosobową grupę złożoną w większości z mężczyzn. Wszyscy wędkowali. Chciał się zatrzymać, ale się sprzeciwiłam.

– Chcę do domu – powiedziałam. – Muszę przygotować kolację.

Zignorował mnie. Mężczyźni wyciągali obrzydliwe węgorze, niektóre ponad półtorametrowej długości, bardzo grube. Zastanawiałam się, czy będą je jeść. Kiedy na East Endzie spróbowałam węgorza w galarecie, był kwaśny jak zepsute sardynki. Paul nawiązał rozmowę z wędkarzami; okazało się, że to turyści z Polski. Natychmiast przeszedł na ich ojczysty język. Próbowałam się do nich uśmiechać. Zapałali do niego sympatią, otoczyli go ze wszystkich stron. Stałam na obrzeżu grupy i co chwila spoglądałam na zegarek. Nie miałam pojęcia, o czym rozmawiają. Kiedy odchodziliśmy, żegnali go jak dobrego znajomego. W samochodzie powiedział mi, że jeden z nich zapytał go, z jakiej części Polski pochodzi.

Mrużyłam oczy w blasku zachodzącego słońca. Wisiało nisko nad pofalowanym horyzontem, rozmyte i zamglone. Ptaki umilkły. Wkrótce miała zapaść ciemność.

## **TAŚMA 10: 26 STYCZNIA 2004, 12.28–12.49, C.D.**

**DETEKTYW RICHARDSON:** Pierwszy fragment, który odczytam, dotyczy godziny piątej rano: „Paul zszedł i już wiedziałam, że jest po wszystkim. Powiedział mi wczoraj, że siłę dawała mu miłość do mnie i że wolałby, żebym nie kochała go tak bardzo. Wiedziałałam, że zamierza odebrać sobie życie i że nie chce, bym go powstrzymywała ani wzywała pomocy, bo przeszedł już przez to dwa razy tylko po to, żeby wydobrzeć i znowu cierpieć”. Fragment, który przeczytałem, zaczyna się w tym miejscu, Jill. Czy zechcesz potwierdzić, że to właśnie jest napisane?

**JILL ANDERSON:** Nie przypominam sobie, żebym kiedykolwiek...

**PRAWNIK:** Najpierw potwierdź, że tak właśnie jest napisane.

**JILL ANDERSON:** No tak, tak jest, ale ja nie przypominam sobie, żebym cokolwiek takiego mówiła. Pan to zapisał, ale ja tego nie pamiętam. Owszem, Paul powiedział, że mnie kocha i że byłoby lepiej, gdybym ja go tak bardzo nie kochała, ale na pewno nie wiedziałam, że będzie próbował odebrać sobie życie ani że nie życzyłby sobie, żebym go powstrzymała.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Rozumiem.

**JILL ANDERSON:** Zaskoczył mnie tamtego dnia, byłam jak sparaliżowana. Prosiłam, żeby niczego nie robił, a kiedy wróciłam, okazało się, że mnie nie posłuchał. Nie wiedziałam, ile tego połknął, i miałam nadzieję, że minie mu, jak się porządnie wyśpi.

**DETEKTYW RICHARDSON:** No cóż, najważniejsze, że potwierdziłaś, że to dokładny cytat z twojego zeznania.

**JILL ANDERSON:** Owszem.

**DETEKTYW RICHARDSON:** A ja muszę od siebie dodać, że z pewnością tego nie wymyśliłem i mam nadzieję, że nie sugerowałaś czegoś takiego, mówiąc, że niczego takiego nie powiedziałaś.

**JILL ANDERSON:** Nie wiem. Byłam wtedy w głębokim szoku, chyba nie bardzo nadawałam się do przesłuchania. Tak to teraz widzę.

**DETEKTYW RICHARDSON:** No cóż, spisałem zeznanie w takiej postaci, w jakiej je wtedy złożyłaś. Fragment, który przed chwilą odczytałem, wydaje mi się szczególnie znaczący. Czy rzeczywiście Paul powiedział ci dzień wcześniej, że przy życiu utrzymywała go twoja miłość do niego?

**JILL ANDERSON:** Bez przerwy mi to powtarzał, nie tylko wtedy. Tak się działo przez cały czas trwania naszego związku. To była prawdziwa miłość.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Czy wiedziałaś, że zamierza odebrać sobie życie?

**JILL ANDERSON:** Nie.

**DETEKTYW RICHARDSON:** A czy wiedziałaś, że nie chciałby, żebyś go powstrzymała, gdyby to jednak zrobił?

**JILL ANDERSON:** Nie. Nie wiedziałam, jak dużo połknął, a poza tym byłam w głębokim szoku. Teraz to dla mnie jasne.

**DETEKTYW RICHARDSON:** A więc ten fragment zeznania nie jest prawdziwy? Z powodu tego, że byłaś w szoku, albo z jakiegoś innego?

**JILL ANDERSON:** Wydaje mi się wątpliwy ze względu na to, że byłam w szoku. Wątpię, czy potrafiłam wtedy rozsądnie myśleć.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Tak, stwierdziłaś już, że byłaś w szoku. Nie zamierzamy oskarżyć cię o składanie fałszywych zeznań ani o utrudnianie śledztwa, tylko chcemy wiedzieć, czy dziś, teraz, uważasz, że to, co wtedy powiedziałaś, jest prawdą.

**JILL ANDERSON:** Czy możemy przerwać przesłuchanie, żebym mogła się skonsultować z prawnikiem?

**DETEKTYW RICHARDSON:** Tak. Zrobimy przerwę, a potem zmienię taśmę i będziemy kontynuować, dobrze? Na moim zegarku jest w tej chwili dwunasta czterdzieści dziewięć.

*O trzeciej po południu tego samego dnia zjawił się detektyw. Z pewnością nie spisywałby jej zeznania, gdyby uznał, że jest zbyt wstrząśnięta, zbyt poruszona, żeby się skupić i zastanowić nad tym, co chce powiedzieć. Spisał zeznanie, a ona podpisała oświadczenie i każdą stronę. Podpisała wszystkie błędy i pomyłki, które się tam znalazły. Podpisała, nie czytając tego, co zostało zapisane. Nie ma co do tego żadnych wątpliwości, ponieważ wynika to jasno także z zeznań detektywa.*

Z mowy końcowej obrońcy



**TAŚMA 11: 26 STYCZNIA 2004, 13.02–13.30**

**DETEKTYW RICHARDSON:** Zarządziliśmy przerwę w przesłuchaniu, ponieważ chciałaś zasięgnąć porady prawnika, zgadza się?

**JILL ANDERSON:** Tak.

**DETEKTYW RICHARDSON:** W takim razie, czy to prawda, że ty i Paul pobraliście się dwudziestego piątego lutego... Przepraszam, że Paul urodził się dwudziestego piątego lutego tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego roku?

**JILL ANDERSON:** Tak.

**DETEKTYW RICHARDSON:** I że zaraził się wirusem na trzy dni przed waszym ślubem?

**JILL ANDERSON:** Tak, mniej więcej wtedy.

**DETEKTYW RICHARDSON:** A kiedy dokładnie się pobraliście?

**JILL ANDERSON:** Zdaje się, że dwudziestego czwartego marca tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego piątego.

**DETEKTYW RICHARDSON:** W tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym siódmym i dziewięćdziesiątym ósmym Paul przechodził serię badań, zgadza się?

**JILL ANDERSON:** Tak.

**DETEKTYW RICHARDSON:** W porządku.

**JILL ANDERSON:** Wszystko to jest w jego dokumentacji medycznej dotyczącej zespołu ustawicznego zmęczenia.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Mniej więcej właśnie wtedy zdiagnozowano u niego osłabienie po infekcji wirusowej, prawda?

**JILL ANDERSON:** W dziewięćdziesiątym siódmym albo dziewięćdziesiątym ósmym.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Pytam o to wszystko, bo mogę czegoś nie wiedzieć.

**JILL ANDERSON:** Rozumiem.

**DETEKTYW RICHARDSON:** To dobrze.

**JILL ANDERSON:** Rozumiem też, dlaczego naopowiadałam panu takich rzeczy. Zgodziłam się wtedy złożyć zeznanie, ponieważ byłam w głębokim szoku emocjonalnym. To nie była właściwa pora, bo w głowie miałam kompletny zamęt i nie przeczytałam potem tego, co powiedziałam, ale nie twierdzę, że tego nie mówiłam.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Nie zaprzeczasz też, że miałaś możliwość przeczytać swoje zeznania?

**JILL ANDERSON:** Nie zaprzeczam, ale byłam w głębokim szoku i miałam

kompletny zamęt w głowie. Składając to zeznanie, na pewno nie myślałam całkiem jasno.

**DETEKTYW RICHARDSON:** W porządku. Wracając do fragmentu, który odczytałem i który ty też przeczytałaś...

**JILL ANDERSON:** Tak?

**DETEKTYW RICHARDSON:** Zamierzam jeszcze raz do niego wrócić, Jill.

**JILL ANDERSON:** Rozumiem.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Czasem powtarzam pytania po to, żeby ci pokazać, że mówiłaś mi o rzeczach, o których nie mogłem wcześniej wiedzieć.

**JILL ANDERSON:** Rozumiem.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Nie mogłem się sam dowiedzieć.

**JILL ANDERSON:** Jasne.

**DETEKTYW RICHARDSON:** I że nie mogłem niczego dodać do twojego zeznania.

**JILL ANDERSON:** Tak, rozumiem.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Szczerze mówiąc, bardzo mi się nie podoba, że ktoś mógłby pomyśleć, że dopisałem do twojego zeznania rzeczy, których mi nie mówiłaś.

**JILL ANDERSON:** Przepraszam. Nie chciałam tego sugerować. Nie myślę jasno.

**DETEKTYW RICHARDSON:** W porządku. We fragmencie, który ci odczytałem i który ty potem sobie przeczytałaś, było napisane, że około piątej rano Paul zszedł i że wtedy zorientowałaś się, że już z tego nie wyjdzie. A potem: „Powiedział mi wczoraj, że siłą dawała mu miłość do mnie i że wolałby, żebym nie kochała go tak bardzo. Wiedziała, że zamierza odebrać sobie życie i że nie chce, bym go powstrzymywała ani wzywała pomocy, bo przeszedł już przez to dwa razy, tylko po to, żeby wydobrzcć i znowu cierpieć”. Pokażę ci jeszcze raz miejsce, od którego zaczęłam czytać, o, tutaj. Rozumiem, że nie podajesz już w wątpliwość tego fragmentu?

**JILL ANDERSON:** Nie podaję.

MARZEC 1993

Cicho zaczęła grać muzyka, potem stopniowo stawała się coraz głośniejsza. Byliśmy w mieszkaniu Soni w Hammersmith. Zaprosiła tylko kilka osób, ale wiadomość szybko się rozeszła i zjawilo się mnóstwo ludzi. Większość z nich się nie znała. Tańczyliśmy mniej więcej w środku tłumu, przyciśnięci do siebie. Czyjeś ręce i nogi wciąż plątały się z naszymi.

– Potrzebuję powietrza – powiedziałam.

Uśmiechnął się i ruszył przodem, torując mi drogę. Do naszych uszu docierały strzępy rozmów.

– Byłam kiedyś na imprezie, na którą przyszło tyle ludzi, że część musiała wejść na dach.

– To dopiero był ubaw!

– Przyjechały gliny.

– Dlaczego?

– Zakłócanie spokoju. Kazali ściszyć muzykę.

– I ściszyliście?

– Nie było wyjścia.

– Gdzie to było?

Wydostaliśmy się z mieszkania i zaczęliśmy przeciskać się między ciałami stłoczonymi na klatce schodowej. Do zabawy przyłączyli się sąsiedzi Soni, budynek trząsł się w posadach. Wyszliśmy na ulicę prowadzącą ku rzece. Gdyby pójść w przeciwnym kierunku, doszłoby się do szpitala Charing Cross. Starając się ochłonać, rozmawialiśmy z innymi uczestnikami przyjęcia. Pot spływał strużkami po naszych ciałach. Niektórzy pili z puszek, butelek albo papierowych kubków.

– Poznałem raz taką jedną. Napaliła się na mnie, a miała na pewno ponad czterdziestkę. Uciekałem, aż się kurzyło.

– Wbijałem gwóźdź w ścianę i trafiłem w rurę. Trysnęło jak cholera. To było w samą Wigilię.

– Wczoraj dzwoniłam do Jacka, ale...

– Moim zdaniem w tym kraju nie istnieje już coś takiego jak polityka. Popatrzcie, co się stało z feminizmem!

Paul wdał się w dyskusję o snookerze. Nudziło mi się. Zostawiłam go gawędzącego z facetem z bujną fryzurą i podbitym okiem. Przepchnęłam się przez tłumek dziewcząt w obcisłych topach, z ciemnymi cieniami na powiekach i mocno umalowanymi ustami. Jedna była pijana, reszta pomagała jej zejść po schodach. Wróciłam do mieszkania i poszłam do łazienki. Była kolejka.

– Tam chyba ktoś wymiotuje – powiedziała stojąca przede mną kobieta.

Postanowiłam skręcić do kuchni. Była maleńka, podeszwy kleiły się do mokrej podłogi. W kącie całowała się jakaś para. Potężnie zbudowany, trzydziestoparoletni mężczyzna sącył carling black label z puszkii, równocześnie obmacując stojącą obok niego dziewczynę. Wszędzie wałaly się puste butelki po winie. Sprawdziłam jedną czy dwie, dla pewności. Dzisiaj on prowadził. Znalazłam butelkę cydru. Nalałam sobie szklaneczkę. Ktoś szturchnął mnie w ramię.

– Mieszasz?

To był on.

– Nie.

Odstawiłam szklanę.

Weszła Sonia. Była pijana, z wypiekami na twarzy. Objęła nas.

– Kocham was oboje. – Pocałowała nas w policzki i mocno uścisnęła. – Chodźcie potańczyć.

Zaciągnęła nas do salonu i zaczęła podrygiwać w takt ogłuszającej muzyki. Poszliśmy w jej ślady. „Coś się zaczyna, powiadam, coś się zaczyna...”.

Wyszliśmy około czwartej nad ranem i powoli pojechaliśmy do domu. Drogi były śliskie. Mocno padało. Spod kół tryskały fontanny wody. Zatrzymaliśmy się przy budce z kebabami, zjedliśmy powoli, starannie przeżuując, po czym ruszyliśmy dalej.

Mniej więcej wpół do szóstej otworzyliśmy drzwi domu. Ptaki zaczynały śpiewać w poprzedzającej nadejście świtu szarówce.

**TAŚMA 11: 26 STYCZNIA 2004, 13.02–13.30, C.D.**

**DETEKTYW RICHARDSON:** No dobrze, Jill.

**JILL ANDERSON:** Naprawdę wątpię, żebym była wtedy w stanie rozsądnie myśleć.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Ale nie kwestionujesz tego, co zostało powiedziane?

**JILL ANDERSON:** Nie.

**DETEKTYW RICHARDSON:** To dobrze. W takim razie oficer Boulton i ja usłyszeliśmy od ciebie całkowicie różne wersje wydarzeń.

**JILL ANDERSON:** Tak, ponieważ...

**DETEKTYW RICHARDSON:** Nie, nie.

**JILL ANDERSON:** Chodzi mi tylko o to, że pan wie dlaczego.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Owszem, i przyjmuję to do wiadomości, i dlatego chciałbym cię teraz poprosić, choć wiem, że upłynęło już wiele miesięcy...

**JILL ANDERSON:** Tak.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Chciałem cię poprosić, żebyś jeszcze raz dokładnie opowiedziała mi o tym, co się wydarzyło wieczorem siedemnastego, kiedy pojechałaś po pizzę do Pateley Bridge, ale wróciłaś szybciej, bo się niepokoiłaś.

**JILL ANDERSON:** Dobrze.

**DETEKTYW RICHARDSON:** O ile się nie mylę, powiedziałaś mi, że przygotowujesz listę chorób Paula, żeby udowodnić, że miał powód, żeby wtedy, siedemnastego, przeżyć skrajne załamanie nerwowe.

**JILL ANDERSON:** Taka lista każdego by załamała, ale nie przypominam sobie, żeby był załamany. Wręcz przeciwnie, miał wyjątkowo pozytywne nastawienie do życia, co zresztą nieustannie mnie zdumiewało.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Opowiedz mi więc o tym jeszcze raz, Jill.

**JILL ANDERSON:** Dobrze.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Powiedziałaś, że kiedy wróciłaś do domu, Paul siedział na krawędzi łóżka.

**JILL ANDERSON:** Tak.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Po której stronie?

**JILL ANDERSON:** Wydaje mi się, że po jego, bliżej okna, czyli po lewej stronie łóżka.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Czy był ubrany?

**JILL ANDERSON:** Miał na sobie piżamę.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Po czym przewrócił się i zasnął?

**JILL ANDERSON:** Tak.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Przykryłaś go? Kiedy przyjechaliśmy, leżał w pozycji embrionalnej. Czy tak zwykle sypiał?

**JILL ANDERSON:** Byłam otępiała, nie pamiętam.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Wiesz, co mam na myśli, mówiąc o pozycji embrionalnej?

**JILL ANDERSON:** Tak. Sypiał w najróżniejszych pozycjach.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Czy zdarzało mu się mieć problemy z dotarciem do toalety?

**JILL ANDERSON:** Och, tak. Pomagałam mu wtedy. Robiłam wszystko, czego potrzebował.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Chodziło mi o dotarcie do toalety na czas.

**JILL ANDERSON:** Nie, skądże znowu. Miewał za to okropne bóle nerek, więc owinęłam go kocem, żeby mu było ciepło w nerki.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Mówisz o tej nocy, zgadza się?

**JILL ANDERSON:** Tak.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Czyli jednak w którymś momencie przykryłaś go?

**JILL ANDERSON:** Tak, z pewnością. Owinęłam go kocem.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Nigdy nie podawałam i teraz też nie podaję w wątpliwość twojej miłości do Paula. Czy pamiętasz, kiedy dokładnie go okryłaś?

**JILL ANDERSON:** Nie mam pojęcia.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Tak sobie myślę, że gdybym zobaczył, jak ktoś siedzi na brzegu łóżka, a potem nagle się przewraca, to chyba nie przyszłoby mi do głowy go przykryć.

**JILL ANDERSON:** Przykryłam go, żeby było mu miło i bezpiecznie.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Zdaje się, że dodatkowo owinęłaś go w pasie ręcznikiem.

**JILL ANDERSON:** To ze względu na te okropne bóle nerek. Poza tym, dzięki temu było mu jeszcze cieplej.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Owinęłaś go?

1: Najwyraźniej. Nie pamiętam dokładnie.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Wybacz.

**JILL ANDERSON:** Nie wiem. Nie pamiętam. Byłam w szoku.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Jasne. Tak czy inaczej, rozumiem, że nie ma wątpliwości co do tego, że był owinięty w pasie ręcznikiem. Nie pamiętam jakiego koloru, ale zdaje się, że niebieskim.

**JILL ANDERSON:** Nie mam niebieskich ręczników.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Rzeczywiście. Ale miał ręcznik owinięty

wokół dolnej części ciała.

**JILL ANDERSON:** Nie wiem.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Powiedziałaś, że nie pomogłaś mu w samobójstwie.

**JILL ANDERSON:** Zgadza się.

**DETEKTYW RICHARDSON:** I że to była jego własna decyzja.

**JILL ANDERSON:** Tak.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Tylko jego.

**JILL ANDERSON:** Zrobił to zupełnie sam.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Mówiłaś dość szybko, ale i tak zdążyłem zanotować. „To była jego decyzja”. Sam zdecydował o tym, żeby odebrać sobie życie.

**JILL ANDERSON:** Tak, nie było żadnej dyskusji. Zupełnie mnie zaskoczył. Nie mogłam pilnować go przez dwadzieścia cztery godziny na dobę, to oczywiste. Wcześniej próbował już dwa razy. Wzywałam karetkę. Potem była ta historia w garażu, o której już wam opowiadałam. Na pewno znaleźliście na tym gumowym wężu odciski naszych palców. Uratowałam mu wtedy życie.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Co prawda nie mamy żadnego węża z odciskami palców, ale nigdy nie kwestionowałem tego, co mówiłaś o wydarzeniach w garażu.

**JILL ANDERSON:** Błagałam go tak długo, aż wreszcie wrócił do domu.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Tak jest.

**JILL ANDERSON:** To trudna sytuacja, prawda?

**DETEKTYW RICHARDSON:** Zapisałem też, że miałaś nadzieję, że nie wzięł. Domyślałem się, że chodziło ci o tabletki?

**JILL ANDERSON:** Tak. Miałam nadzieję, że nie wzięł wystarczająco dużo. Wiedziałam, że coś połknął, już to mówiłam.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Mówimy przede wszystkim o morfinie, prawda?

**JILL ANDERSON:** Tak, z pewnością.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Wybacz, Jill, ale mówisz „z pewnością”, a on przecież miał mnóstwo rozmaitych leków.

**JILL ANDERSON:** Tak, w domu było mnóstwo leków.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Dlaczego więc twierdzisz, że to była morfina?

**JILL ANDERSON:** Tak mi się wydawało. Brał morfinę, zoplikon, mnóstwo innych lekarstw, przez tyle lat nazbierała się tego cała masa.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Powiedziałaś, że miałaś nadzieję, że nie wzięł dosyć, czyli musiałaś wiedzieć, że jednak coś wzięł.

**JILL ANDERSON:** Tak.

**DETEKTYW RICHARDSON:** I zasnął.

**JILL ANDERSON:** Tak.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Dlaczego natychmiast nie zadzwoniłaś po pogotowie?

**JILL ANDERSON:** Bo nie byłam pewna. Pomyślałam, że dam mu się trochę wyspać. Miał whisky, robił to już wcześniej. Człowiek nie dopuszcza do siebie myśli, że coś takiego może się wydarzyć. Nigdy.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Powiedziałaś, że się przewrócił.

**JILL ANDERSON:** Sama nie wiem. W pewnym sensie jakby czekał na mnie, a kiedy przyjechałam, po prostu zasnął, i to wszystko.

**DETEKTYW RICHARDSON:** W drodze do Pateley Bridge w twojej głowie rozdzwoniły się dzwonki alarmowe, zgadza się?

**JILL ANDERSON:** Wcale nie. Po prostu martwiłam się o niego, i tyle. Nie nazwałabym tego dzwonekami alarmowymi. Moim zadaniem było dopilnować, żeby nie stało mu się nic złego, ale, jak już wspomniałam, nie byłam w stanie dyżurować przez dwadzieścia cztery godziny na dobę. Ryzyko istniało przez cały czas, ale nie przypuszczałam, że to zrobi. Wcześniej dwa razy ocaliłam mu życie. Przy tamtych próbach udało się go uratować. Łudziłam się, że już nigdy tego nie zrobi.

**DETEKTYW RICHARDSON:** W takim razie, dlaczego wróciłaś z Pateley Bridge?

**JILL ANDERSON:** Bo bałam się i martwiłam o niego. Chciałam sprawdzić, jak się czuje.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Dlaczego?

**JILL ANDERSON:** Chciałam się upewnić, że wszystko w porządku.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Na przykład z czym?

**JILL ANDERSON:** Czy żyje, czy czuje się dobrze, sama nie wiem, co panu powiedzieć.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Powiedziałaś: „czy żyje”.

**JILL ANDERSON:** Tak.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Czy w drodze do Pateley Bridge przyszło ci do głowy, że może spróbować popełnić samobójstwo?

**JILL ANDERSON:** Nie. Nie wiem, co wtedy myślałam. Chciałam się tylko upewnić, że wszystko z nim w porządku. Robiłam to już wcześniej. Zdarzało się, że dokądś wyruszałam, ale zwracałam z drogi, żeby sprawdzić, czy nic mu nie jest. Robiłam wszystko, żeby ocalić mu życie.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Przeczytałem gdzieś, choć akurat w tej chwili nie mogę sobie przypomnieć gdzie, że wyraźnie powiedziałaś, i mnie, i oficer Boulton, że kiedyś już zawróciłaś z Pateley Bridge. Poszłaś do niego, a on zapewnił cię, że wszystko jest w porządku i że nie zrobił nic głupiego. Czy tak



było?

**JILL ANDERSON:** Tak mi powiedział. Wróciłam, a on dał mi słowo, że nie zrobi niczego głupiego, że wszystko jest w porządku i że nie muszę się o niego martwić. Ale ja i tak ciągle się martwiłam. Przez ostatnie pół roku bardzo się posunął i nikt nie mógł na to nic poradzić. Dostawał morfinę, nikt nie mógł wymyślić nic innego, ale ból się nasilał, więc presja, pod jaką się znajdowałam, wciąż narastała. Teraz zdaję sobie sprawę... Ufałam mu.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Miałaś nadzieję, ale nie miałaś pewności.

**JILL ANDERSON:** Zgadza się. Uspiał moją czujność. Wcześniej dwa razy wzywałam pogotowie, ale przyjeżdżało niepotrzebnie, bo

– jak wiecie z jego kartoteki w szpitalu – za każdym razem zażył za mało. Nie umarłby. Nie musieli go ratować. Podłączyli go tylko do aparatury i zrobili badania. Miałam nadzieję, że tym razem będzie tak samo, ale nie było.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Opowiadałaś...

**JILL ANDERSON:** Wcześniej też zostawiał listy pożegnalne.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Opowiadałaś nam, jak trudno było być jego opiekunką.

**JILL ANDERSON:** Tak.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Wcześniej...

**JILL ANDERSON:** Powiedziałaś mu o tym.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Wcześniej dwukrotnie wezwałaś pomoc, żeby go uratować. Czy nie wydaje ci się, że kiedy po powrocie do domu stwierdziłaś, że zażył duże ilości leków, powinnaś była natychmiast zadzwonić po pogotowie? A już na pewno wtedy, kiedy znalazłaś list pożegnalny? Albo kiedy zauważyłaś, że zrobił się siny?

**JILL ANDERSON:** Patrząc z perspektywy czasu, uważam, że powinnam była wezwać karetkę. Byłam w szoku. Nie pomyślałam, że mógł przedawkować.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Użyłaś kiedyś sformułowania „samobójstwo wspomagane”. Co wiesz na ten temat?

**JILL ANDERSON:** Nic nie wiem i nie pomagałam mu popełnić samobójstwa.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Czy nie było tak, że kiedy wróciłaś z Pateley Bridge, a raczej zawróciłaś z drogi do Pateley Bridge i porozmawiałaś z Paulem, to potem wyszłaś z domu, doskonale zdając sobie sprawę z tego, że zażyje lekarstwa, i po prostu znikłaś z domu po to, żeby mu nie przeszkadzać?

**JILL ANDERSON:** Absolutnie nie. To było kompletne zaskoczenie.

**DETEKTYW BOSOMWORTH:** Wspomniałaś, że nie byłaś pewna, czy wziął wystarczająco dużo?

**JILL ANDERSON:** Zgadza się.

**DETEKTYW BOSOMWORTH:** Powiedziałaś też, że chciałaś podejść do

szafki, żeby sprawdzić, ile połknął, ale nie mogłaś.

**JILL ANDERSON:** Tak, nie byłam w stanie tego zrobić.

**DETEKTYW BOSOMWORTH:** Ale można chyba powiedzieć, że sprawdzając zawartość nocnej szafki, miałaś szansę sprawdzić, czy i ile wziął leków?

**JILL ANDERSON:** Tak, choć tak naprawdę nie byłoby to łatwe, bo tam zawsze było mnóstwo lekarstw, więc wątpię, czy udałoby mi się zorientować, co połknął, a czego nie.

**DETEKTYW BOSOMWORTH:** Nawet biorąc pod uwagę fakt, że to ty zaopatrywałaś go w leki, w tym w morfinę?

**JILL ANDERSON:** Tak.

**DETEKTYW BOSOMWORTH:** Czy wiedziałaś o tym, że brał lekarstwa na własną rękę?

**JILL ANDERSON:** Tak.

**DETEKTYW BOSOMWORTH:** Powiedziałaś wcześniej, że chciałaś podejść do nocnej szafki, żeby sprawdzić, ile wziął. Wynika z tego, iż zakładałaś, że będziesz mogła to ocenić, tyle że nie dotarłaś do szafki.

**JILL ANDERSON:** Chyba tak. Tak, tak właśnie było.

**DETEKTYW BOSOMWORTH:** Dlaczego nie podeszłaś?

**JILL ANDERSON:** Nie wiem. Ogarnęło mnie jakieś otępienie, choć to raczej nie jest właściwe słowo.

**DETEKTYW BOSOMWORTH:** Jill, przedstawię ci pewien scenariusz. Paul, jak wszyscy wiemy, bardzo cierpiał. Zmagał się z trudnym do zniesienia bólem. Ty z kolei cierpiałaś, patrząc na cierpienia osoby, którą kochasz. Zdawałaś sobie sprawę z tego, co się dzieje. Paul nie mógł już dłużej wytrzymać i postanowił odejść. Chciał wreszcie uwolnić się od bólu. Byłaś świadoma tego, że podjął kroki, by rozstać się z życiem, ale nie uczyniłaś nic, by mu przeszkodzić. Czy tak właśnie było?

**JILL ANDERSON:** Nie wydaje mi się. Nie chciałam w to uwierzyć. To była przerażająco długa walka. Byłam wycieńczona obawami i patrząc wstecz na to, co się wydarzyło, wierzyłam, że nie wziął wystarczająco dużo, że się obudzi, ale tak się nie stało. Teraz muszę z tym żyć do końca życia. To wystarczająca kara.

**DETEKTYW BOSOMWORTH:** Nie oceniam cię, to nie moja rola.

**JILL ANDERSON:** Wiem o tym. Jestem panu wdzięczna.

**DETEKTYW BOSOMWORTH:** Rozumiem, w jak okropnej sytuacji znaleźliście się oboje z Paulem, ale to moja osobista opinia, którą muszę odsunąć na bok.

**JILL ANDERSON:** Rozumiem.

**DETEKTYW BOSOMWORTH:** Muszę starać się ustalić, co się naprawdę stało. Przedstawiłaś nam swoją wersję wydarzeń, wciąż jednak nie wiemy zbyt

dokładnie, co wtedy myślałaś.

**JILL ANDERSON:** Nie wiem, co myślałam. Nie mam pojęcia. Pamiętałam o tym, że muszę kupić jedzenie i mu je przygotować. Obiecałam mu zrobić masaż, robiłam to codziennie. Powiedziałam: „Zaczekaj, aż wrócę, zrobię ci masaż”.

**DETEKTYW BOSOMWORTH:** Przypominasz sobie, żebyś podejmowała jakieś świadome decyzje?

**JILL ANDERSON:** Myślałam tylko o gotowaniu i o paru innych sprawach.

## LIPIEC 2000

Przedzierałam się przez nierówne ściernisko. Skoszona długa trawa koloru miodu leżała powiązana w złociste bele. Zapadał zmierzch, zachodzące słońce miałam za plecami. Panowała ciepła cisza. Wyobrażałam sobie, jak to było przed stu laty, kiedy zwożono skoszone siano, jak parobcy zaprzęgali konie pociągowe do wozów. Dziewczęta znosiły dzbany z piwem. Pot i brud na twarzach, kiedy gasili pragnienie po ciężkiej pracy. Szłam po polu oznaczonym belami siana, nad którymi unosił się oszałamiający zapach świeżo skoszonej trawy. Gdzieś daleko przeciągle, gardłowo, śpiewał drozd.

Znalazłam Paula na brzegu małej rzeczki płynącej wzdłuż granicy pola. Stał wśród drzew, odwrócony do mnie plecami, bez ruchu, na palcach, nad samą wodą. Było lato, w rzece był niski poziom wody. Stał tam – szczupły, niewysoki, lekko przygarbiony. Gałązka trzasnęła mi pod stopą. Odwrócił się do mnie z uśmiechem.

- Miło tu.
- Rzeczywiście.
- Złapałem jedną.
- Świetnie.

Podeszłam, objęłam go od tyłu, przytuliłam się. Przytrzymałam go, żeby nie upadł. Uśmiechnął się, kiedy tak chwialiśmy się na brzegu. Wokół nas uwijały się przedwieczorne owady. Spławik spływał z nurtem.

- Gdzie jest? – zapytałam.
- Wypuściłem ją. Była malutka.
- Twoja pierwsza ryba.
- Tak, ale za młoda, żeby ją zatrzymać.

Oboje się uśmiechnęliśmy. Usiadłam obok niego. Łowił dalej. Słońce zniżało się coraz bardziej.

- Niedługo zrobi się ciemno – zauważyłam.
- Rzeczywiście.
- A więc nie będzie pstrąga na kolację.
- Nie.
- Coś wymyślę. Zdaje się, że mamy żeberka na grilla. Mogą być?
- Jasne.

Nad nami majestatycznie przeleciała czapla ze skrzydłami rozpiętymi jak żagle i wyciągniętą długą szyją. Mieszkała tu na stałe.

- O, jest!
- Podniósł głowę.
- Aha.

– Wracasz już?

– Jeszcze chwileczkę.

Wstałam i ruszyłam w drogę powrotną przez pole. Zatrzymałam się na skraju ogrodu. Czulałam zapach tytoniu; intensywny, słodki, cukierkowy, zachwycał mnie każdego lata. Odwróciłam się, by sprawdzić, czy idzie za mną. Jeszcze nie. Słońce już prawie skryło się za horyzontem. Tuż obok przemknął nietoperz. Ruszyłam do domu.

**TAŚMA 11: 26 STYCZNIA 2004, 13.02–13.30, C.D.**

**DETEKTYW BOSOMWORTH:** Przyjmijmy na chwilę scenariusz, w którym wiedziałaś, że Paul zażył leki. Miałaś szansę sprawdzić, ile ich połknął.

**JILL ANDERSON:** Raczej nie, bo, jak powiedziałam, w nocnej szafce zawsze było mnóstwo lekarstw, więc nie mogłabym stwierdzić, ile ubyło.

**DETEKTYW BOSOMWORTH:** Opieram się tylko na tym, co sama powiedziałaś: że chciałaś podejść do szafki, żeby sprawdzić, ile wziął, ale nie dałaś rady. Z tego wynika, że miałaś wtedy świadomość, że jednak możesz to ustalić.

**JILL ANDERSON:** Nie, nie wydaje mi się. Mogłam podejść i popatrzeć, ale i tak niczego bym się nie dowiedziała. To jasne, jeśli się nad tym zastanowić.

## PAŹDZIERNIK 2002

Dynia była jaskrawopomarańczowa. Obracał ją w dłoniach, szukając miejsca na wycięcie oczu, nosa i ust. Położył ją na łóżku i zaczął pracować swoim myśliwskim nożem. Wyciął trójkątne oczy i owalny nos, po czym starannie wyrzeźbił usta z zębami. Zadowolony z dzieła, postawił je na komodzie i wstawił do środka świecę.

Wieczorem patrzyliśmy, jak świeci. Usiedliśmy blisko siebie. Na zewnątrz było zimno. Włączył radio i zaczął szukać historii o duchach. Trafił na „W kleszczach lęku” Henry’ego Jamesa; słuchaliśmy, jak narrator mówi coraz bardziej upiornym głosem. Przysunęłam się jeszcze bliżej. Blask z dyni padał na ścianę i sufit. Zmienił stację; w tej audycji słuchacze opowiadali o swoich spotkaniach z siłami nadprzyrodzonymi. Słowa przelatywały przeze mnie na wylot.

– Jechaliśmy z przyjaciółmi wąską drogą przez las. Nagle pojawił się bardzo stary samochód, który pędził na nas z przeciwnej strony. Usiłowałem zjechać na bok, ale droga była wąska, a wszędzie dokoła rosły drzewa. Tamten samochód po prostu przeniknął przez nas. Zdążyliśmy tylko dostrzec czyjeś czerwone oczy...

– To była leśna droga. Żona, dzieci i ja szukaliśmy jagód. Dzień był jasny i słoneczny, ale nagle zapadła ciemność. Nic nie było widać. W życiu tak się nie bałam jak wtedy. W pewnej chwili rozległo się coś jakby wilcze wycie. Objęliśmy się mocno...

– U stóp mojego łóżka stała jakaś bezkrwista postać. Jej okrutne oczy zdawały się wpatrywać w moją duszę. Zacisnęłam powieki, po czym uniosłam je ostrożnie. Długa, koścista dłoń wskazywała w moją stronę. Zjawa powiedziała coś bezgłośnie, po czym ruszyła w moim kierunku. Otuliłam się szczelnie kołdrą, ale ona zerwała ją ze mnie. Krzyczałam, lecz z moich ust nie wydobywał się żaden odgłos. Nagle kotary w oknie wydeły się, jakby uderzył w nie gwałtowny podmuch wiatru. Bezkrwista postać była coraz bliżej, już czułam bijący od niej smród zgnilizny. Stopniowo przeistaczała się w długi czarny cień, który wpełzł na ścianę i rozprzestrzenił się po suficie nad moją głową... „Czego chcesz?!”, wykrztusiłam. „Ciebie”, odparł nieziemski głos. Usłyszałam donośny huk i zjawa znikła. Wstałam, drżąc na całym ciele. Moja koszula nocna była cała wymięta. Zeszłam na dół. Wszystkie szafki w kuchni były pootwierane, cała zastawa znalazła się na podłodze. Wszędzie piętrzyły się sterty potłuczonej porcelany. Stół leżał przewrócony do góry nogami. Z pracy wrócił mój mąż. Jest nocnym portierem. Krótco potem wyprowadziliśmy się z tego domu i od tej pory nigdy nie chodzę tą ulicą. Nigdy.

Spojrzałam na dynię. Wyciekała z niej stearyna, spływała po komodzie.

Zerwałam się na nogi i złapałam ręcznik z grzejnika, żeby powstrzymać powódź, zanim dotrze do wykładziny. Za późno: było tam już kilka plam. Pomyślałam, że będę musiała wywabiać je, prasując te miejsca żelazkiem przez papier do pakowania. Wróciłam na łóżko i czekałam, aż stearyna zaschnie i stwardnieje. Roześmialiśmy się, bo dynia zabawnie oklapła.

Kontynuowaliśmy wędrówkę przez krainę duchów. Odłamałam zaschniętą stearynę i wyrzuciłam ją, a Paul przyniósł latarkę, włączył ją i włożył do dyni, która znowu ożyła. Zasnęliśmy przytuleni do siebie, słuchając opowieści.



**TAŚMA 11: 26 STYCZNIA 2004, 13.02–13.30, C.D.**

**DETEKTYW BOSOMWORTH:** Dlaczego nie mogłaś tego zrobić?

**JILL ANDERSON:** Po prostu...

**PRAWNIK:** Przecież już panu powiedziała, i to dwa razy.

**JILL ANDERSON:** Tak, byłam jak odrętwiała.

**DETEKTYW BOSOMWORTH:** Byłaś jak odrętwiała i dlatego nie mogłaś tego zrobić?

**JILL ANDERSON:** Tak.

**DETEKTYW BOSOMWORTH:** Czy jest możliwe, że nie mogłaś tego zrobić, ponieważ nie chciałaś się przekonać, czy połknął wystarczająco dużo leków, żeby pożegnać się z życiem?

**JILL ANDERSON:** Nie wiem.

**DETEKTYW BOSOMWORTH:** Czy podjęłaś świadomą decyzję, żeby tego nie robić właśnie z takiego powodu?

**JILL ANDERSON:** Nie wiem. Przecież zna pan odpowiedź, prawda? Patrząc wstecz, wiem, że powinnam była zadzwonić po karetkę, ale tego nie zrobiłam.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Chcesz jeszcze coś dodać, Jill?

**PRAWNIK:** Moim zdaniem nie. Nie mamy nic więcej do powiedzenia. Powiedzieliśmy wystarczająco dużo, a to wszystko trwało zdecydowanie za długo. Z całym szacunkiem, ale doskonale wiecie, że po prostu próbujecie ją zmęczyć, ale nic z tego.

**DETEKTYW RICHARDSON:** Nie mogę się zgodzić z tą uwagą. Właśnie skończyliśmy przesłuchanie i zapytałem Jill, czy chciałaby jeszcze coś dodać.

**PRAWNIK:** A ja poradziłem jej, żeby już nic więcej nie mówiła.

*Tak łatwo jest podnieść słuchawkę i wybrać 999, że możecie zadać sobie pytanie: Na Boga, dlaczego ona tego nie zrobiła? Wiemy, że go kochała. Jedyne odpowiedzi, jaka nasuwa się po zapoznaniu się z materiałem dowodowym, jest taka, że wiedziała, że chciał odejść. Z godnością.*

Z mowy końcowej obrońcy

## EPILOG

## KWIECIEŃ 2005

20 kwietnia 2005 roku, po niemal dwuletnim okresie przebywania na wolności za kaucją, Jill Anderson stanęła przed sądem w Leeds oskarżona o zabójstwo. Aresztowano ją w lipcu 2003 roku, dwanaście dni po śmierci Paula, pod zarzutami nieumyślnego spowodowania śmierci i pomocy przy samobójstwie. Przez trzy dni była przesłuchiwana w komendzie policji w Harrogate. We wrześniu 2004 roku wezwano ją na tę samą komendę i oskarżono o zabójstwo. Zarzuty dotyczące pomocy przy samobójstwie zostały wycofane, ponieważ władze nie były w stanie znaleźć dowodów świadczących o tym, że Jill pomogła Paulowi targnąć się na życie. W rzeczywistości uczyniła wszystko co możliwe, by do tego nie dopuścić. W razie uznania jej za winną, groziło jej do piętnastu lat więzienia. Odebrano jej paszport, co tydzień miała meldować się na posterunku policji. Trzykrotnie składała do sądu wnioski o złagodzenie warunków zwolnienia za kaucją. Zabroniono jej także jakichkolwiek kontaktów z rodziną Paula.

Rozprawę poprzedziło czterodniowe przesłuchanie wstępne. Obrona wnioskowała, by zostało ono wykorzystane w trakcie procesu, bez konieczności składania kolejnych zeznań, ale sędzia Geoffrey Grigson odrzucił ten wniosek i zdecydował, że sprawą zajmie się ława przysięgłych. Tak więc przez sześć kolejnych dni intymne szczegóły związku Jill z jej mężem były analizowane i dyskutowane przez zespół oskarżycieli kierowany przez prokuratora Davida Perry'ego i zespół obrońców pod przewodnictwem mecenasa Paula Worsleya, w obecności ławy przysięgłych złożonej z ośmiu mężczyzn i czterech kobiet. Lekarz uznał, że Jill, ze względu na depresję i skrajne wyczerpanie, nie może uczestniczyć w rozprawie. Po zaledwie dwugodzinnych obradach ława przysięgłych wydała wyrok „niewinna”. Już poza salą sądową obrońca Jill wydał następujące oświadczenie:

„Przez minione dwadzieścia dwa miesiące Jill Anderson musiała zmagać się z rozpaczą po śmierci męża, upokorzeniem związanym z aresztowaniem, ciągnącym się bez końca śledztwem, wreszcie rozprawą sądową. Dzisiejszy werdykt ławy przysięgłych stwierdza, że siedemnastego i osiemnastego lipca dwa tysiące trzeciego roku nie zrobiła niczego złego. Działała tak, jak uważała za słuszne i stosowne, i co najważniejsze, w sposób, jakiego – jej zdaniem – życzyłby sobie jej mąż. Teraz potrzebuje czasu na refleksję, na powrót do zdrowia i na żałobę. Zależy jej wyłącznie na tym, by odbudować swoje życie”.

Krewni Paula wyrazili odmienną opinię: „To oczywiste, że jesteśmy rozczarowani werdyktem. Śmierć Paula była niepotrzebna. Zawiodła go jedyna osoba, której ufał. Odwołując się do powszechnie przyjętych standardów ludzkiego

postępowania, uważamy, że działania Jill, a raczej ich brak, skutkujący nieudzieleniem mu pomocy, był moralnie niewybaczalny”. Określili także mianem „okrutnej” jej decyzję o powiadomieniu ich o śmierci Paula z półrocznym opóźnieniem.

W trakcie trwającej osiem lat choroby Paul odwiedził ponad trzydziestu pięciu lekarzy w ośmiu szpitalach. Po jego śmierci stosunek środowiska medycznego do zapalenia mózgowo-rdzeniowego (ME)/zespołu ustawicznego zmęczenia uległ zmianie; w Zachodnim Yorkshire powstał ośrodek zajmujący się tym schorzeniem. Trzeba będzie jednak jeszcze wielu badań, szczególnie w związku z depresją, na którą cierpi wielu chorych z chronicznymi przypadłościami.

Wkrótce po rozprawie Jill przeprowadziła się do Exeter, żeby spróbować zapomnieć o tych tragicznych wydarzeniach i zacząć nowe życie. Postanowiła także napisać tę książkę o swoich doświadczeniach i podjąć starania o upowszechnienie wiedzy o tej chorobie.

MARZEC 1995

Zacząłam zakładać rajstopy, ale okazało się, że lakier na paznokciach jeszcze nie wysechł. Ściągnęłam rajstopy i podeszłam do szafy, niemal ocierając się o niego. Byliśmy w salonie, w naszym studio na ostatnim piętrze. W pokoju panował nieprawdopodobny bałagan. Mamrocząc i klnąc pod nosem, gwałtownie wysunęłam szufladę i zaczęłam rozrzucać majtki i rajstopy, szukając nowej pary. Zapytał, czy dobrze zawiązał krawat. Poprawiłam odrobinę. Wrócił przed lustro.

– Popsułaś.

– Wcale nie.

– Właśnie że tak.

– Nie mogę znaleźć nowych rajstop, a taksówka będzie lada chwila.

Zadzwoił dzwonek. Spojrzeliśmy na siebie, po czym zaczęliśmy biegać jak szaleni, zgarniając potrzebne rzeczy: moją torebkę, jego portfel, to i tamto. Dzwonek zadzwonił ponownie.

Podszedł do domofonu i nacisnął przycisk, a ja usiłowałam przyklepać sterczące włosy. W końcu wsadziłam na nie kapelusz – słomkowy, z wielkim rondem, granatowym wykończeniem i granatową wstążką wokół denka. Po raz kolejny wygładziłam błękitny jedwabny kostium, stanęłam przed lustrem i obracałam się w tę i w tę, szukając niepożądanych wypukłości.

– Znowu kwiaty – oznajmił, wracając od drzwi.

Klapnęliśmy na kanapę i spojrzeliśmy na siebie. Miał na sobie jasnoszary wełniany garnitur z wplecionymi delikatnymi czerwonymi i granatowymi nitkami. Nasze stroje kupiliśmy przed kilkoma dniami w centrum handlowym w Kingston, gadając z podnieceniem przez całą drogę tam i z powrotem.

Mieszkanie było ozdobione kartkami z życzeniami i kwiatami. Dostaliśmy tyle bukietów od rodziny i przyjaciół, że zabrakło nam wazonów. Na kanapie między nami leżał bukiet od jego starszej siostry: lilie, róże, alstremerie, irysy. Znowu zadzwonił telefon. Od samego rana bez przerwy dzwonili ludzie z życzeniami.

Przyjechała taksówka. Wsiadliśmy i około południa dotarliśmy na King's Road w Chelsea. Ruchliwa zwykle ulica dzisiaj sprawiała wrażenie sennej. Jak na marzec, pogoda była całkiem niezła; nie padało. Słońce co jakiś czas wychylało się zza budynków, niebo było błękitne, w kolorze mojego kostiumu. Znaleźliśmy pub w pobliżu wejścia do urzędu. Zamówiliśmy gin z tonikiem i wypiliśmy kilka łykami. Milczeliśmy. Oboje byliśmy zdenerwowani. Spojrzeliśmy na siebie, po czym Paul przyniósł kolejne dwa drinki. One też szybko znikły.

– No to siup – powiedział.

– Może sprawdzimy, czy ktoś już przyjechał? – zapytałam, po raz kolejny sprawdzając w lusterku, czy nie rozmazała mi się szminka.

Wyszliśmy na ulicę, mrużąc oczy. Rzadko zdarzało nam się pić o tak wczesnej porze. Chichocząc, wzięliśmy się za ręce i przeszliśmy na drugą stronę, gdzie znajdował się urząd. Moja matka stała przed schodami wiodącymi do potężnych dębowych drzwi. Obrzuciła wzrokiem mój bukiet z białych róż i gipiurki, a następnie, całkowicie ignorując mojego przyszłego męża, jakby był tylko jakimś dodatkiem, z niepokojem przyjrzała się mojej twarzy, szukając rozmazanego tuszu albo krost. Mój ojczym górował nad nami wzrostem. Twierdzi, że w jego żyłach płynie krew wikingów. Często jest brany z Norwega, ma błękitne oczy i jasną cerę. Pojawili się mój brat z dziewczyną, a następnie młodsza siostra Paula z partnerem i synem. Zależało nam na tym, żeby uroczystość była skromna i krótka. Obiecaliśmy wszystkim dużą imprezę, jak tylko przeprowadzimy się do Yorkshire. Byliśmy bardzo podekscytowani tą perspektywą.

Dzień szybko minął. Złożyliśmy przysięgę, wymieniliśmy się obrączkami, po czym pojechaliśmy taksówkami przez Hyde Park do hotelowej restauracji, którą moja matka wynajęła na niewielką uroczystość. Pokroiliśmy zamówiony przez nią tort, a następnie przenieśliśmy się do szwedzkiej restauracji, którą wybrał Paul.

Po powrocie do domu padliśmy jak nieżywi i przespaliśmy całą noc poślubną. Nazajutrz czekała nas praca, nie było miesiąca miodowego. Postanowiliśmy dać pierwszeństwo naszemu kiełkującemu biznesowi. Na wakacje przyjdzie czas później. Poza tym parę dni wcześniej powiedział mi, że nie czuje się dobrze.

– Chcesz odwołać ślub?

– Nie.

– Wyzdrowiejesz. Antybiotyk szybko zadziała.

Lekarz pierwszego kontaktu stwierdził wirusową grypę.

## PODZIĘKOWANIA

Wielkie podziękowania należą się Nicky Ferguson, Lizzie Sherwood i doktor Nicky Stead za wasze ciągłe wsparcie, rady, opinie i serdeczność.

Specjalne podziękowania kieruję do doktora Pipa Hayesa i jego kolegów z St Leonard's Medical Practice w Exeter, w hrabstwie Devon, do personelu szpitala w Exeter, a także do Gayle i Emmy za wspierającą opiekę i wsparcie.

Kerri Sharp i jej zespołowi w Simon & Schuster, Claudii Martin i Guyowi Rose – dziękuję za to, że we mnie wierzyliście i że pozwoliliście, aby mój głos został usłyszany. Naturalnie dziękuję też moim wspierającym prawnikom, którzy zatroszczyli się o to, bym nie trafiła do więzienia: mecenasowi Paulowi Worsleyowi, Andrew Woolmanowi i Johnowi Mewiesowi. Nasza wspólna przygoda przeszła do historii prawa.

Chciałabym podziękować mojej rodzinie, szczególnie mojej matce Betty za bezgraniczne wsparcie, bratu Warwickowi za odwagę i ojczymowi Frankowi za to, że dawał mi powody do śmiechu. O przyjęcie podziękowań są też proszeni: Maja Britton, Mei Chung, Caroline Dennis, Mabroka El Salhi z rodziną, Sarah Fanning, Terri i Peter Frier, Gemma Green, Darlene Greene, Janet i the Hilltop Riding Stables, Renata Kaczorowska i jej koledzy, Patrizia Lopez, Donnie i Jan Klatt, Deevah Melendez, dr Alex Rainer, Migdalia Rivera, Jaime Robles, dr Tamsyn Rose-Steel i Mike Rose-Steel, wszyscy z Disability Resource Centre (Uniwersytet w Exeter), grupy wsparcia chorych z zapaleniem mózgowo-rdzeniowym/zespołem ustawicznego zmęczenia, Siostry z Noddfa, Samarytanie, grupy wsparcia dla niedosłyszących samobójców oraz niezliczeni ludzie, których nie sposób wymienić, a którzy w trakcie tej pisarskiej przygody służyli mi nieustającą pomocą i otaczali życzliwością. Szczególne podziękowania należą się: mieszkańcom Cowick Street w Exeter, zwłaszcza zaś Faye, Ann i Kimom. Teraz pora na moich wykładowców z Uniwersytetu w Exeter (panie najpierw): prof. Karen Edwards, prof. Regina Garnier, dr Andy Brown, prof. Philips Hensher, Sam North, prof. Steve Neale, dr Chris Woods. Pamiętam też o personelu pomocniczym Uniwersytetu i mnóstwie innych osób, których nigdy nie zdołałabym wymienić, jak również o moich kolegach ze studiów podyplomowych, którzy radzili mi, żeby nigdy się nie poddawać.

Bez was wszystkich z pewnością nie dobiegłabym mety tego maratonu.



## PYTANIA DO DYSKUSJI

1. Dlaczego chciałaś przeczytać tę książkę?
2. Jak sądzisz, co skłoniło autorkę do podzielenia się z innymi swoją historią?
3. W jaki sposób ta książka zmieniła Twoje nastawienie do autorki? Czy uważasz, że w oczach czytelników chce się ona wybielić? Jak sądzisz, jakie reakcje chciała wywołać u czytelników?
4. Jak zachowałabyś się na miejscu autorki? Czy uszanowałabyś prośbę męża czy próbowała go ratować?
5. Czy uważasz, że mąż miał prawo wymagać od żony takiego poświęcenia?
6. Czy uważasz, że Jill słusznie została oskarżona o zabójstwo męża? Jak jej przypadek ma się do polskiego wymiaru sprawiedliwości?
7. Czy uważasz, że w Polsce powinno być uchwalone prawo do eutanazji?
8. Biorąc ślub, przysięgamy, że będziemy z drugą osobą na dobre i na złe, w zdrowiu i w chorobie. Czy zachowanie zarówno Jill, jak i jej męża nie było złamaniem tej przysięgi?
9. Czy były w książce momenty, w których czułaś, że autorka nie mówi całej prawdy? Czy czułaś się wtedy przez nią oszukana?
10. Co jest najbardziej godne podziwu w postawie autorki?
11. Choroba Paula rozwijała się stopniowo, zabierając coraz więcej czasu i sił ich obojga, coraz częściej wszystko spadało na barki Jill, musiała sobie radzić z życiem swoim i męża. Czy po latach takiej presji psychicznej i obciążenia fizycznego jej zachowanie według Ciebie wynikało z troski czy z rezygnacji?
12. Jak oceniasz stosunki Jill i Paula z ich rodzinami?
13. Jak sądzisz, czy Jill starała się wpływać na nastawienie Paula do jego rodziny i odseparować go od nich?
14. Co sądzisz o chorobie Paula? Czy według Ciebie to kwestia psychiki czy choroba somatyczna?
15. Co sądzisz o wyroku wydanym przez sąd? Jak Ty byś zadecydowała?
16. Co sądzisz o relacji Jill i Paula? Czy była to szczerza miłość i wsparcie czy raczej manipulacja?

## Spis treści

CZEŚĆ I 17 LIPCA 2003 18 LIPCA 2003 19 LIPCA 2003 20 LIPCA 2003 30 LIPCA 2003 31 LIPCA 2003 CZEŚĆ II PRZESŁUCHANIA POLICYJNE, POSTERUNEK W HARROGATE. TAŚMA 1: 31 LIPCA 2003, 11.24–12.00 WRZESIEŃ 1992 TAŚMA 1: 31 LIPCA 2003, 11.24–12.00, C.D. LIPIEC 1993 TAŚMA 1: 31 LIPCA 2003, 11.24–12.00, C.D. MARZEC 2002 TAŚMA 1: LIPIEC 2003, 11.24–12.00, C.D. CZERWIEC 2002 TAŚMA 1: 31 LIPCA 2003, 11.24–12.00, C.D. PAŹDZIERNIK 1999 TAŚMA 1: 31 LIPCA 2003, 11.24–12.00, C.D. KWIECIEŃ 2003 Taśma 1: 31 lipca 2003, 11.24–12.00, c.d. LUTY 2003 TAŚMA 2: 31 LIPCA 2003, 12.26–13.07 CZERWIEC 2003 Taśma 2: 31 lipca 2003, 12.26–13.07, c.d. TAŚMA 2: 21 LIPCA 2003, 12.26–13.07, C.D. CZERWIEC 2000 TAŚMA 2: 31 LIPCA 2003, 12.26–13.07, C.D. MAJ 2003 TAŚMA 2: 31 LIPCA 2003, 12.26–13.07, C.D. GRUDZIEŃ 2002 TAŚMA 2: 31 LIPCA 2003, 12.26–13.07, C.D. TAŚMA 3: 31 LIPCA 2003, 13.27–14.17 CZERWIEC 2001 TAŚMA 3: 31 LIPCA 2003, 13.27–14.17, C.D. MARZEC 2001 TAŚMA 3: 31 LIPCA 2003, 13.27–14.17, C.D. STYCZEŃ 1996 TAŚMA 3: 31 LIPCA 2003, 13.27–14.17, C.D. LIPIEC 1998 TAŚMA 3: 31 LIPCA 2003, 13.27–14.17, C.D. TAŚMA 3: 31 LIPCA 2003, 13.27–14.17, C.D. CZEŚĆ III TAŚMA 4: 25 STYCZNIA 2004, 11.17–11.59 KWIECIEŃ 1998 TAŚMA 4: 25 STYCZNIA 2004, 11.17–11.59, C.D. TAŚMA 4: 25 STYCZNIA 2004, 11.17–11.59, C.D. MAJ 1993 TAŚMA 4: 25 STYCZNIA 2004, 11.17–11.59, C.D. TAŚMA 4; 25 STYCZNIA 2004, 11.17–11.59, C.D. LIPIEC 2001 TAŚMA 4: 25 STYCZNIA 2004, 1.17–11.59, C.D. TAŚMA 5: 25 STYCZNIA 2004, 12.00–12.44 LUTY 2003 TAŚMA 5: 25 STYCZNIA 2004, 12.00–12.44, C.D. SIERPIEŃ 1998 TAŚMA 5: 25 STYCZNIA 2004, 12.00–12.44, C.D. MARZEC 1999 TAŚMA 5: 25 STYCZNIA 2004, 12.00–12.44, C.D. TAŚMA 6: 25 STYCZNIA 2004, 13.27–14.10 PAŹDZIERNIK 1992 TAŚMA 6: 25 STYCZNIA 2004, 13.27–14.10, C.D. LISTOPAD 1998 TAŚMA 6: 25 STYCZNIA 2004, 13.27–14.10, C.D. SIERPIEŃ 1993 TAŚMA 6: 25 STYCZNIA 2004, 13.27–14.10, C.D. TAŚMA 6: 25 STYCZNIA 2004, 13.27–14.10. C.D. LUTY 1993 TAŚMA 6: 25 STYCZNIA 2004, 13.27–14.10, C.D. LISTOPAD 1995 TAŚMA 6: 25 STYCZNIA 2004, 13.27–14.10, C.D. PAŹDZIERNIK 2000 TAŚMA 6: 25 STYCZNIA 2004, 13.27–14.10, C.D. TAŚMA 7: 25 STYCZNIA 2004, 14.51–15.24 TAŚMA 7: 25 STYCZNIA 2004, 14.51–15.24, C.D. MAJ 1997 TAŚMA 7: 25 STYCZNIA 2004, 14.51–15.24, C.D. MAJ 1994 TAŚMA 7: 25 STYCZNIA 2004, 14.51–15.24, C.D. WRZESIEŃ 1993 TAŚMA 7: 25 STYCZNIA 2004, 14.51–15.24, C.D. TAŚMA 8: 26 STYCZNIA 2004, 9.54–10.37 CZERWIEC 1997 TAŚMA 8: 26 STYCZNIA 2004, 9.54–10.37, C.D. TAŚMA 8: 26 STYCZNIA 2004, 9.54–10.37, C.D. LUTY 1994 TAŚMA 8: 26 STYCZNIA 2004, 9.54–10.37, C.D. TAŚMA 9: 26

STYCZNIA 2004, 10.58–11.16 MARZEC 1998 Taśma 9: 26 stycznia 2004,  
10.58–11.16, c.d. Taśma 10: 26 stycznia 2004, 12.28–12.49 MAJ 1993 TAŚMA  
10: 26 STYCZNIA 2004, 12.28–12.49, C.D. SIERPIEŃ 1998 TAŚMA 10: 26  
STYCZNIA 2004, 12.28–12.49, C.D. TAŚMA 11: 26 STYCZNIA 2004,  
13.02–13.30 MARZEC 1993 TAŚMA 11: 26 STYCZNIA 2004, 13.02–13.30, C.D.  
LIPIEC 2000 TAŚMA 11: 26 STYCZNIA 2004, 13.02–13.30, C.D.  
PAŹDZIERNIK 2002 TAŚMA 11: 26 STYCZNIA 2004, 13.02–13.30, C.D.  
EPILOG KWIECIEŃ 2005 MARZEC 1995 PODZIĘKOWANIA PYTANIA DO  
DYSKUSJI

